W. Stefanyk

UTWORY WYBRANE

Czytelnik

STEFANYK

UTWORY WYBRANE

WASYL STEFANYK

UTWORY WYBRANE

1951
»CZYTELNIK«
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

Tytuł oryginału

WYBRANI TWORI

Tłumaczyły:

I. BAJKOWSKA, R. CZEKAŃSKA-HEYMANOWA
K. MARSKA, A. ROTECKA

Okładkę projektował

MAREK RUDNICKI

Redaktor: Irena Bajkowska

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved
Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"
Printed in Poland
Składano i tłoczono w Drukarni Nr 3 „Czytelnika" w Krakowie
Zam. Nr 54. 22. I. 1951. Pap. druk.-sat. 61×86—70 g. Nakł. 10.370
Druk uk. 29. IX. 1951
M-2-10897

Wasyl Stefanyk urodził się 14 maja 1871 r. we wsi Rusów w Stanisławowskiem w rodzinie zamożnego chłopa. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Śniatyniu, w roku 1883 wstępuje do polskiego gimnazjum w Kołomyi. Stefanyka z innymi chłopskimi dziećmi posadzono z polecenia nauczycielstwa na ostatniej ławie. Wykładowcy Niemcy, koledzy szkolni oraz dzieci polskiej szlachty znęcają się nad nim stale z powodu jego chłopskiego pochodzenia. Wskutek tych przykrości w młodym Stefanyku budzi się wcześnie protest przeciw nierównościom społecznym i narodowym.

W okresie gimnazjalnym rodzi się przyjaźń Stefanyka z Łesiem Martowiczem. Obaj byli członkami tajnego kółka uczniowskiego, którego celem była obrona interesów narodu i krzewienie oświaty wśród ludu. Za tę oświatową propagandę wielu członków kółka oświatowego, a wśród nich Stefanyka i Martowicza, usunięto z kołomyjskiego gimnazjum. Obaj przyjaciele dostają się do siódmej klasy gimnazjum w Drohobyczu. Tu Stefanyk po raz pierwszy spotyka Iwana Franko, z którym potem przez całe życie utrzymywał najbardziej przyjacielskie stosunki i którego najwięcej cenił spośród pisarzy ukraińskich.

Po ukończeniu gimnazjum Stefanyk wstępuje na uniwersytet w Krakowie, gdzie studiuje medycynę, ze studiów jednak, jak sam zaznacza, „nic rozsądnego nie wyszło, ponieważ nie lubiłem jej". W latach akademickich Stefanyk bierze czynny udział w życiu społecznym, jeździ po wsiach agitując za chłopskimi kandydatami do parlamentu.

W latach 1896—97 Stefanyk zaczyna tworzyć swoje „obrazki" liryczne, nie drukuje ich jednak, chcąc — jak stwierdza w swych

listach — „wydostać się z lasu różnych literackich kierunków, które teraz opadły mię na rozdrożu i ciągną każdy w swoją stronę". Od białych wierszy młody pisarz przechodzi stopniowo do realistycznych szkiców z życia chłopskiego, które odtwarzają beznadziejną nędzę, rozpaczliwą sytuację ekonomiczną, polityczne bezprawie gnębiące chłopów Ukrainy Zachodniej. Pierwsze nowele ogłasza Stefanyk w roku 1897 w bukowińskiej gazecie „Pracia", wydawanej w Czerniowcach, a pierwszy zbiór jego nowel pt. „Niebieska książeczka" ukazuje się w roku 1899. Następnie wychodzą z druku zbiory opowiadań: „Kamienny krzyż" (1900), „Droga" (1901) oraz wybór nowel: „Moje słowo" (1905). Pozycje te wyczerpują prawie całą twórczość pisarza z okresu 1897—1902 r. I właśnie wtedy, kiedy utwory jego zyskują szeroki rozgłos, kiedy wychodzą w przekładach na język rosyjski, czeski, polski i in. — pisarz milknie na długi okres, bo aż do roku 1916.

W roku 1903 Stefanyk po raz pierwszy wyjeżdża na „Wielką Ukrainę", na uroczystość odsłonięcia pomnika Kotlarewskiego. W czasie pobytu w Kijowie i Połtawie poznaje najwybitniejszych ukraińskich pisarzy: M. Kobylańskiego, Łesię Ukrainkę, M. Staryckiego i in. Od r. 1908 do 1918 (rozpadnięcie się cesarstwa austriackiego) Stefanyk jest posłem do parlamentu austriackiego. Wojna imperialistyczna zaskoczyła pisarza w rodzinnym Rusowie. Pod wrażeniem przeżyć wojennych Stefanyk znowu zaczyna pisać: w roku 1916 powstaje nowela „Dziecięce nieszczęście". Odtąd aż do śmierci Stefanyk nie porzuca już pracy literackiej. W roku 1926 ukazuje się zbiór jego wojennych i powojennych nowel „Ziemia".

W roku 1921 obchodzono pięćdziesięciolecie urodzin Wasyla Stefanyka, a w 1926—27 trzydziestolecie jego pracy literackiej. Od 1923 roku datują się jego stosunki z kulturalnymi i literackimi organizacjami Ukrainy Radzieckiej: radzieckie tygodniki ukraińskie drukują jego nowe utwory, radzieckie wydawnictwa wielokrotnie publikują zbiory jego nowel, nazwisko Stefanyka zdobywa szeroką popularność w ukraińskim społeczeństwie. Rząd Ukrainy Radzieckiej przyznaje pisarzowi dożywotnią rentę.

W odpowiedzi na liczne gratulacje ze Związku Radzieckiego z okazji uroczystości jubileuszowych Stefanyk pisze: „Stoję na progu swej chaty i wyciągam do was ręce. Pozdrówcie ode mnie wszystkich

waszych ludzi wielkiego talentu". Pisarz marzył gorąco o pobycie na Ukrainie Radzieckiej, lecz rząd Piłsudskiego z wielką podejrzliwością traktował jego stosunki z radzieckim społeczeństwem i nie wydał mu wizy wyjazdowej. W latach trzydziestych — pod naciskiem reakcyjnych czynników rządowych — Stefanyk zmuszony był definitywnie zerwać oficjalne stosunki z organizacjami kulturalnymi Ukrainy Radzieckiej. Więzy ideologiczne łączyły jednak pisarza ze społeczeństwem radzieckim i jego literaturą do końca życia.

7 grudnia 1936 roku Stefanyk umiera.

Po przyłączeniu ziem Ukrainy Zachodniej do Ukrainy Radzieckiej — w Rusowie, wiosce rodzinnej pisarza, w domku, w którym żył i pracował, powstało muzeum poświęcone jego pamięci.

Straszne obrazy nędzy i nieszczęść ludu, utrwalone przez Wasyla Stefanyka w jego nowelach, należą już do przeszłości. Nakreślone przez niego obrazy są rażącym kontrastem życia, które dziś, po wprowadzeniu kołchozów, bujnie rozkwita tam, gdzie urodził się, żył i pracował pisarz. I właśnie teraz nadszedł czas ogólnonarodowej sławy Stefanyka — bojownika spraw narodowych, piewcy najbiedniejszego chłopstwa.

Oto co pisze o nowym Rusowie Praskowia Szpuganyk, pracownica kołchozu im. Wasyla Stefanyka.

„Jak czarna chmura minęły dawne lata. Nad Ukrainą rozbłysło słońce Stalinowskiej Konstytucji. Pieszczotliwie opromieniło ono także nasz Rusów...

Kołchoz noszący imię naszego sławnego rodaka Wasyla Stefanyka jest dla nas rodzinnym domem, a my, kołchoźnicy, żyjemy jak jedna rodzina w zgodzie, przyjaźni i dostatku. Gdyby mógł teraz spojrzeć nasz pisarz-rodak na losy nowego Rusowa i na cały radziecki kraj!

Dobrze pamiętamy jeszcze Stefanyka. Zajdzie, bywało, do chaty, uśmiechnie się na powitanie i o wszystko zapyta: i o smutek, co serce toczy, i o nasze nieszczęśliwe życie. Słuchaliśmy go zawsze bardzo uważnie, bo o doli nędzarza mówił tak prawdziwie, jak naprawdę w życiu bywało.

Jak pięknie mógłby napisać teraz o dawnym rusowskim chłopie-biedaku, który stał się panem swego losu!"

Ten list prostej kołchoźnicy jest najpiękniejszym pomnikiem dla pisarza-demokraty. Nie zapomniano o gorących słowach Stefanyka, który swój talent poświęcił obronie praw pracującego chłopstwa dawnej Ukrainy. Demokratyzm, prawda, realizm jego utworów, mistrzostwo artystycznej formy zapewniają mu zaszczytne miejsce wśród klasyków ukraińskiej literatury.

KLONOWE LIŚCIE

I

Pościel była zasłana lnianą płachtą, za stołem siedzieli na ławkach kumowie, na przypiecku rzędem przykucnęły dzieci. Opuściwszy rękawy koszul siedziały cichutko jak stadko wypoczywających przed odlotem przepiórek.

Kumowie siedzieli sztywno, jakby wkopani w swoje miejsca, poruszały się jedynie ich ręce, gdy brali ze stołu chleb czy kieliszek; ale i ręce były zmęczone, podnosiły się z trudem i szybko opadały z powrotem na kolana. Obojętnie, bez radości sięgali po wódkę i zakąskę. Na belce, słabo migocząc, wisiał kaganek, a wielkie, czarne cienie siedzących mężczyzn padały na pułap załamując się fantastycznie.

Koło stołu, zgiąwszy się w ukłonie, stał Iwan, gospodarz chaty i ojciec maleńkiego, dopiero co ochrzczonego dziecka.

— Proszę was z serca, nie gardźcie, kumowie, wypijemy jeszcze po jednym. Chociaż to nie wódka, tylko jakieś paskudztwo, ale chłopu tak zawsze: wszystko co najbardziej gorzkie na świecie — dla niego, a co najcięższe — też dla niego.

— Na to się rodziliśmy — pobożnie odpowiedział kum.

Kiedy kieliszek okrążył siedzących, Iwan postawił go obok butelki, jakby w obawie, że taki drobiazg może spaść na ziemię.

— Przekąście... Patrzcie, jaki kłopot zwalił się na mnie w same żniwa, w najbardziej gorący czas! Sam już nie wiem, co robić? Zostawić żniwa, żeby żony doglądać i gotować dzieciom, czy zostawić ich na łaskę boską, a samemu kosić o głodzie? Ot, masz, Iwanie, dzieciaka i ciesz się, że ich mało!

— Nie bluźnijcie, kumie, nie gniewajcie Pana Boga, bo to Jego wola, nie wasza. A dzieci... piana na wodzie. Padnie na nich choróbsko jakieś, to poniesiecie wszystkie do mogiłki.

— Na moje nie padnie, tam padnie, gdzie jedno dziecko. Biedak

nie powinien nawet dotknąć żony ani nawet patrzeć w jej stronę, to dla niego jedyne wyjście. Wtedy i Bóg nie da...

— Głupstwa gadacie, kumie, nigdy tak nie będzie, ludzie muszą się rodzić.

— Żeby ludzie, ale to nędzarze się rodzą! A co ja mówię? Jakeś nędzarz, nie bądź płodny jak mysz, bądź rad, że masz koszulę na grzbiecie, kawałek chleba i że cię nikt nie bije po mordzie. I czego ci więcej trzeba? A od żony odsuń się zupełnie!

— Kumie Iwanie, dalibyście żonie pokój, w jej stanie nie należy słuchać takich rzeczy, to jej nie da zdrowia. Pogadamy innym razem...

— Darujcie mi to gadanie. Ale czy myślicie, że ja się troszczę o nią albo o siebie? Jak Boga kocham, nie! A niech ich wszystkich zaraza wydusi i mnie razem z nimi! O wa! Pomyślałby kto, że jaki raj stracimy na ziemi, jakie bogactwa zostawimy!

Kumowie nie odzywali się już, nie przeczyli: wiedzieli, że Iwana nie przekonają, chcieli tylko, żeby prędzej się nagadał, by mogli iść spać. Iwan stał pośrodku izby i opuściwszy rękawy koszuli zaczął urągać dzieciom:

— Czemu mi siedzicie na karku? Otworzę wam i okna, i drzwi — kysz, kysz!

Dzieci zeskoczyły z pieca i skryły się w najciemniejszym kącie izby.

— To szarańcza! Tylko im dawaj chleba, chleba i chleba! A skąd ja go wezmę! Jak naharuję się na cudzym polu i nazginam, to z grzbietu do wnątrza ogień bucha! Każda żyłka w sercu kłuje!

Skończywszy przemowę do dzieci Iwan zwrócił się do siedzących w milczeniu mężczyzn:

— A wieczorem, ledwo pokażesz się w chałupie, wyciśnięty jak wiecheć, to żona i dzieci od razu w krzyk: „chleba nie ma!“ A ty, biedaku, zamiast spać — bierzesz cep i młócisz w ciemnościach, żeby z rana było z czym pójść do młyna. Po tej młócce zwalisz się na snop i ockniesz o świcie zdrętwiały, zziębnięty i mokry. Ledwoś oczy otworzył, a już rosa żre ciebie — dla niedoli mało dnia, jeszcze i nocą znajdzie cię i ukąsi! Obmyjesz tylko oczy i wleczesz się znów na pole — taki czarny, że aż słońce chowa się przed tobą za chmury.

— Iwanie, nie rozpaczajcie tak, przecież jeszcze Bóg jest ojcem waszych dzieci, a on większy od was.

— Ja Boga za gardło nie chwytam, ale czemu to on puszcza dzieci na świat tak, jak nie przymierzając, gołego w tarninę?! Puści na ziemię, szczęścia nie da, manny z nieba nie ześle, a potem całe życie krzyczy: „Chłopy-złodzieje, rozbójniki, łotry!“ A w cerkwi właduje się na ambonę grubas taki, tłusty, że mucha po nim nie popełznie, i dalej grzmieć i gromić: „Wy — mówi — nie uczycie dzieci bojaźni bożej, sami posyłacie je na kradzież“. Ech, nawet ja nie umiałbym tak wyzywać chłopów, jak nasz ksiądz! A gdyby koło mojego dziecka była i mamka, i niańka, i gospodyni, gdyby mnie ludziska znosili to wszystko, co jemu znoszą, to i ja, ojczulku, bym wiedział, jak uczyć dzieci! Ale moje dzieci chowają się w burzanach razem z kurami i jeśli przydarzy mi się nieszczęście, jak na przykład teraz, to nikt nie wie, czy moje dzieci są syte. Ja sam nie wiem, czy one kradną albo żebrzą, czy bydło pasą. Kiedy idę kosić cudze pola, to nie tylko o dzieciach zapominam — o sobie zapominam! A taki ksiądz chce, żebym ja cudze pola obrabiał i dzieci uczył? No, może mówię nieprawdę? Przecież sami wiecie, jakie jest nasze życie?

— Wiemy, kumie, wiemy, jakże nie wiedzieć, kiedy sami tak żyjemy.

— Patrzę na swoje dziecko i nie myślę, żeby z niego mogło wyrosnąć coś dobrego, żeby umiało pracować jak należy... Nie czekam, żeby dorosło, nabrało rozumu i żyło sobie przy mnie... Jak tylko bogacz albo pan otworzy paszczę, zaraz je tam rzucam, żeby się go pozbyć! Potem biega za bydłem, nogi ma całe w ranach, rosa je żre, ściernisko kaleczy, a ono skacze i popłakuje. Chciałbyś mu pomóc, pocałować nożyny, to żeś ty je spłodził, sumienie cię dręczy, ale przechodzisz obok i jeszcze kryjesz się, żeby nie widzieć i nie słyszeć...

Iwan zaczerwienił się, jakby dusił się własnymi słowami.

— I tak rośnie ono w chlewie, pod stołem albo pod ławą, żywi się odpadkami, myje się łzami. A jak podrośnie, to zdarzy się, że ukradnie — dziecko nie widzi nigdy nic dobrego i chce choć kradzionym się ucieszyć! Wtedy przyjdzie do ciebie żandarm i stłucze cię jak psa — boś ty ojciec złodzieja, tyś z nim w zmowie! I tak zostajesz złodziejem na całe życie! Ale to jeszcze nie wszystko. Niechby wasz syn, wasze dziecko — złodziej, zgnił w kryminale — złodzieja nie żal! Niechby. Ale oni zabierają mu zdrowie, każą do-

ktorom leczyć, a potem posyłają pismo sołtysowi, żebyś zapłacił za leczenie. Z chaty wypędzają, pod płot wyganiają z gratami! Idziesz do sołtysa, po rękach całujesz: „Sołtysie! Poratujcie w nieszczęściu!" Sołtys na to: „Biedak z ciebie, więc może i pomogę, ale jaką z tego będę miał korzyść?"

Wtedy zginasz grzbiet, składasz się cały jak kozik i mówisz: „Miesiąc wam darmo odrobię". Tak, czy nie tak, ludzie? Prawda to, czy łżę jak pies?

— Wszystko prawda, ani jednego słowa kłamstwa.

Iwan drżał cały, jakby odczuwał przeklęty ciężar swych strasznych słów.

— Nie mówcie, ludzie, że kraczę nad głowami moich dzieci jak kruk nad ścierwem! Ja nie kraczę, ja mówię prawdę, to moja niedola kracze, serce kracze!

Oczy mu zapłonęły, spojrzał w stronę milczących, zbitych w gromadkę dzieci — wzrok jego pełen był rozpaczliwej i wielkiej miłości.

— Może to wygląda, że znęcam się nad tymi dzieciakami gorzej niż wróg... A ja tylko... ot, spojrzałem otwartymi oczami naprzód, na rok, na dwa lata... Popatrzyłem — jak te moje dzieci będą żyły? Co będą robiły? To tak jakbym zaszedł do nich w gościnę... I dlatego o tym mówię. Bo aż krew we mnie zastygła, gdy zobaczyłem to ich życie...

Zapadło milczenie. Po chwili Iwan dodał:

— Żeby to na drodze do Kanady nie było morza, zabrałbym dzieci do worka i poszedł z nimi tam, żeby unieść je jak najdalej od tej nędzy i poniewierki. Obszedłbym to morze brzegiem...

Było już późno. Kaganek dogasał. Kumowie wstali z ławy i pośpiesznie zaczęli się żegnać.

II

Był ranek.

Dzieci siedziały na podłodze i jadły pobrzękując łyżkami o brzeg miski. Obok nich matka — wpół leżąc na ziemi kurczyła się z bólu. Czarne, zmierzwione włosy otaczały chudą, żółtą twarz, skrzywione cierpieniem wargi powstrzymywały jęk. Dzieci, z łyżkami w ustach, spoglądały na nią i znów nachylały się nad miską.

— Semenok, najadłeś się już?

— Już — odpowiedział sześcioletni chłopczyk.

— To weź miotłę, pokrop podłogę i omieć izbę. Mama nie może się schylać, we wnątrzu bardzo boli. Tylko żebyś nie nakurzył...

— Odsuńcie się, przeszkadzacie omiatać.

Matka wstała i z trudem powlokła się do łóżka.

— Semenok, a teraz umyj się porządnie. I Katrusia, i Maryjka niechaj się umyją. Pobiegnij, zaczerpnij wody, a uważaj, żebyś nie wpadł do potoku, nie nachylaj się za bardzo.

— Semenok, weź sito i narwij ogórków. Mama zasoli w garnku. Widzę, że długo przyjdzie mi chorować, to nie mielibyście nic do chleba. Chrzanu też przynieś i liści wiśniowych. Żebyś tylko nie podeptał grządek...

— Semenok, zdejmij z żerdzi koszule, połatam je, bo już chodzicie czarni jak te wrony...

Semenok biegał, robił wszystko, co kazała matka, i od czasu do czasu poszturchiwał młodsze siostry wyrzekając, że dziewczynki nic nie pomagają, tylko jedzą.

— One jeszcze maleńkie, Semenok, ale za to jak wyrosną, będą tobie prały koszule.

— Ja im nie każę prać, jak się najmę do roboty, to mi tam koszule wypiorą.

— Nie ciesz się, synku, nie taka to słodka dola najemnika, jeszcze nieraz na nią zapłaczesz...

— A ojciec jest najemnikiem i dobrze.

— I ty nim będziesz, wiem... oj, skóra potrzaska na tobie od tego dobra... Ale nie gadaj teraz, pobiegnij z obiadem dla ojca. On tam głodny, pewno już oczy wypatruje za tobą.

— Chcę wziąć kij ojca, od psów.

— A jak zgubisz, to ojciec wybije nas oboje. Czekaj, nie idź taki rozczochrany, weź choć ojcową czapkę.

— Jego czapka włazi mi na oczy, drogi nie widać.

— Wymyj naczynie i nalewaj barszcz.

— Nie uczcie mnie, sam wiem.

— Semenok, a uważaj, żeby cię psy nie pokąsały...

III

Semenok wlókł się grzęznąc w głębokim piasku i zostawiał za sobą maleńkie, podobne do białych kwiatów ślady.

— Oj, zanim dojdę, słońce porządnie mnie przypiecze. Trzeba ułożyć włosy tak jak żołnierze, to będzie lżej.

Postawił garnek na drodze i wepchnął włosy pod czapkę, żeby być podobnym do ostrzyżonego żołnierza.

Oczy mu się śmiały. Podskoczył i poszedł dalej, ale za chwilę włosy wysunęły się spod szerokiej czapki i opadły na kark.

— Ta wstrętna czapka. Ale to nic, niedługo najmę się do roboty, wtedy kupię sobie piękną czapeczkę.

Oblizał zaschnięte wargi, przeszedł jeszcze kawałek drogi i znów postawił garnek na ziemi.

— Narysuję duże koło ze szprychami!

Usiadł w piasku pośrodku drogi i wodził kijem dookoła siebie, potem zaczął rysować szprychy, wreszcie zerwał się, przeskoczył przez narysowane koło i zadowolony ruszył naprzód.

Przed każdymi wrotami zwalniał kroku, zaglądał na podwórze, czy nie ma psów, i szybko biegł dalej.

Z jakiegoś podwórka wybiegł pies i zaczął biec za nim. Chłopiec krzyknął przestraszony i przykucnął na piasku. Kij upadł na drogę, a on siedział skulony i czekał, czy pies go ugryzie. Wreszcie odważył się podnieść głowę. Zobaczył wtedy tuż nad sobą czarny pysk. Ale pies stał spokojnie.

— No, Cygan, masz kaszę, tylko nie gryź, bo to boli i twój gospodarz karę zapłaci. A za tę karę to nogi ci połamie.

Skubał kaszę pod chustką, rzucał kawałki i śmiał się, kiedy pies chwytał je w locie. Pies miał otwarty pysk, chłopiec też otworzył usta.

Przechodząca kobieta klapnęła go po plecach.

— A ty łobuziaku! To psy na drodze karmisz kaszą? A co w pole zaniesiesz?

— Pies chciał mnie rozszarpać, a wy jeszcze bijecie!

— Czyjżeś ty?

— Ja Iwana Petrowa, mama urodziła i choruje, więc ja muszę zanieść obiad, psy mnie napadły, a teraz wy bijecie...

— Oj, czy ja ciebie biłam... Dokąd niesiesz obiad?

— Ojcu w pole, tam nad rzekę.

— Chodź ze mną, biedaku, ja też tam idę.

Poszli razem.

— A kto ugotował obiad?

— Mama gotowała, bo ja jeszcze nie umiem, a Maria i Kateryna są młodsze ode mnie.

— To twoja mama chora?

— Jeszcze jak! Po ziemi się katula i jęczy, że aż! Ja robię za nią.

— Patrzcie, jaki ważny robotnik!

— Nie znacie mnie, dlatego tak gadacie. Mamy byście spytali, jaki ja mądry! I całe „Ojcze Nasz" umiem!

Kobieta roześmiała się, a chłopiec wzruszywszy ramionami umilkł.

Pies biegł za nimi, a Semenok udawał, że znów rzuca mu kaszę, i wabił go za sobą.

IV

Minęły trzy dni.

Pośrodku izby siedzi Semenok z siostrami, obok stoi koryto z niemowlęciem. Przed nimi miska z pokrajanymi ogórkami i chlebem. Na łóżku leży matka, dokoła niej zatknięte zielone gałązki wierzby: nad chorą brzęczy rój much.

— Najedzcie się i siedźcie cicho, a ja zaniosę dziecko do Wasyłychy, żeby się nim zaopiekowała. Ojciec mówił, żebym ja zanosił rano, w południe i przed wieczorem, a później sam zajdzie po nie.

— Semenok, nie upuść dziecka!

— Myślałem, że śpicie. Ojciec przykazał dawać wam zimną wodę i bułkę, tylko Maryjka schwyciła tę bułkę i raz ugryzła, ale odebrałem i zbiłem ją za to. Będziecie jeść?

— Nie chcę. Daj mi pić.

— Ojciec zrobił z wosku świeczkę i powiedział, że jak będziecie umierać — mam dać ją wam do ręki i zapalić. Ale ja nie wiem, kiedy to zrobić...

Matka spojrzała na niego ogromnymi, błyszczącymi oczami, w których pojawił się żal, smutek i bezsilny strach. Dwie duże, jasne łzy stoczyły się z rzęs i zastygły na twarzy.

— Ojciec też rano na podwórzu płakał i tłukł głową o ścianę! Potem wziął kosę i wybiegł.

Semenok podniósł z koryta niemowlę, owinął je w chustkę i wyszedł.

— Semenok, nie pozwól macosze bić Katrusi, Maryjki i Wasylka!

Słyszysz? Macocha będzie was bić, odganiać od jedzenia i nie da czystych koszul...

— A ja nie pozwolę i ojcu powiem...

— Nic nie pomoże, syneczku mój mileńki, dzieciątko moje złote! Pamiętaj, żebyście mocno, mocno się kochali. Kiedy urośniesz, to musisz pomagać rodzeństwu i nie dać ich krzywdzić.

— Jak pójdę za najemnika i będę zdrowy, to nie pozwolę nikomu ich krzywdzić i co niedziela przyjdę ich odwiedzić... będę do nich przychodził.

— Semenok, proś ojca, żeby was kochał... Matka, powiedz, przykazywała...

— Jedzcie tę bułkę!

— Nie mogę... Zaśpiewaj maleńkiemu, niech nie płacze...

Semenok kołysał niemowlę, ale śpiewać nie umiał. Matka otarła dłonią suche wargi i zaczęła śpiewać.

W słabym, rwącym się głosie była cała jej dusza, która czule spływała ku dzieciom i całowała ich główki. Ciche, niewyraźne słowa pieśni mówiły o tym, że klonowe listeczki rozleciały się po pustym polu i nikt nie może ich zebrać, że nigdy już nie zazielenią się na nowo. Pieśń wyrywała się poza ściany chaty, żeby lecieć w puste pole razem z listeczkami...

1900 r.

NIEBIESKA KSIĄŻECZKA

Ten pijany Anton, który tam wrzeszczy na wygonie, zawsze był taki jakiś pechowy. Wszystko mu się z rąk wymykało. Jak kupi krowę — to mu zdechnie, jak kupi świnię — to ją choroba najdzie. I to tak zawsze.

A gdy mu żona umarła, a po niej obaj synowie, wtedy jakby go coś odmieniło. Pił, pił i pił; przepił swój zagon, przepił ogród, a teraz i chatę sprzedał. Sprzedał chatę, wziął sobie od starosty niebieską książeczkę — paszport — no i teraz powinien gdzieś nająć się do roboty, pójść gdzieś na służbę.

Siedzi na wygonie pijany i wylicza, żeby cała wieś słyszała, komu sprzedał pole, komu ogród, a komu chatę.

— Sprzedałem i amen! Nie moje — i już! Nie mo-o-je! Ach, gdyby tak mój dziad z grobu wstał i popatrzył! Miał wtedy człowiek cztery woły tęgie jak zakonnicy, cztery morgi [1] ziemi, chatę, że drugiej takiej w całej wsi nie znajdziesz! Wszystko miał! A wnuk — popatrz, co ma!

I pokazywał wsi niebieską książeczkę.

— Oj, piję i jeszcze pić będę. Za swoje piję i nikomu nic do tego. A on mi mówi: „Ej, ty, całą swoją ziemię przepiłeś!" Przykłada pieczęć i wymawia mi! Oho, nie takich to starostów widziałem.

Żeby ci tak lekko było umierać, jak mnie teraz żyć lekko.

Odchodzę z chaty, odchodzę na zawsze, pocałowałem próg i odchodzę. Nie moje — i koniec. Odpędźcie jak psa od cudzej chaty! Można — proszę bardzo! Było kiedyś moje, a teraz cudze. Wychodzę na dwór, a las szumi, jakby mówił: „Wróć, Anton, do chaty, wróć, człowiecze!"

* mórg — około 0,5 hektara.

Anton bije pięściami w pierś, aż się echo po wsi rozlega.

— I wiecie, taki żal mnie bierze, taki żal! Wróciłem do chaty. Posiedziałem sobie, posiedziałem i znowu wyszedłem... Nie moje, co tu gadać, jak nie moje...

— Żeby moim wrogom tak lekko było rozstawać się z życiem, jak mnie z mojej chaty odejść lekko.

— Wyszedłem na dwór i aż mnie za serce chwyciło. Chata mchem zielonym porosła, trzeba by ją na nowo pokryć. Nie, nie ja cię, niebogo, słomą kryć będę. Kamień... kamień by pękł z żalu.

Mówiąc to Anton bił kułakami o twardą ziemię jak o kamień.

— Siadam sobie na przyzbie. Jeszcze nieboszczka ją lepiła, a ja wtenczas taczkami woziłem glinę. Chcę wstać, ale przyzba trzyma, szarpię się — nie puszcza. Och, żal mi, nie, nie żal! Ja ginę, ja... Siedzę i krzyczę, tak krzyczę, jakby mnie ze skóry obdzierano. Ludzie patrzą na moją rozpacz.

— O tam, koło drzwi ksiądz odmawiał modlitwy żałobne. Wszyscy płakali. Dobrą, mówi, była żoną, pracowitą...

— Przewróćcie się w grobie, niebogi: ja stracony! Wszystko przepiłem, do ostatniej nitki. I płótno też. Słyszysz, Mario, i ty Wasylku, i ty Jurczyku: teraz ojciec wasz nie będzie chodził w koszulach z domowego płótna, ale w takich tanich „kupnych"; i panom będzie wodę nosił...

Anton wskazuje na chatę starosty.

— O, starościna — dobra kobieta. Wyniosła mi chleba na drogę, żeby starosta nie widział. Niech Pan Bóg pomaga twym dzieciom, gdzie tylko noga ich stanie. I wam wszystkim niech Bóg ześle lepszą dolę, niż mnie...

Jakim prawem siedzę na cudzej przyzbie? Idę. Tylko wstałem, a już okna we łzach... Płaczą jak małe dzieci. Las im coś opowiada, a one łzę za łzą ronią. Płacze za mną chata. Jak dziecko za matką — tak płacze.

Wytarłem okna połą, niech nie płaczą na darmo: nic i tak nie pomoże — poszedłem.

Oj, tak lekko, jak kamienie gryźć. Pociemniało mi przed oczami.

Anton machnął ręką.

— Ej, mam jeszcze pieniążki, popiję sobie! Z naszymi ludźmi! Wszystko z nimi przepiję. Niech pamiętają, jak to odchodziłem ze wsi.

A za pazuchą mam niebieską książeczkę. To moja chata, moje pole i mój ogród. Idę z nią na koniec świata. Książeczkę tę mam od cesarza, wszędzie przede mną drzwi otwarte. Wszędzie. I u panów, i u szynkarzy, i u ludzi wszystkich stanów.

1897 r.

DZIECI

Położył grabie obok siebie, siadł na miedzy, zapalił fajkę — myśli lecą, jedna goni drugą. I naraz powiedział głośno, na całe pole:

— No, troszeczkę sobie odpocznę spokojnie, bo jak się tylko pokażę w domu, to zaraz dla staruszka robotę znajdą. Synowa, niech zdrowa będzie, zakręci się to tu, to tam — i zaraz przygada: „Nie siedzielibyście..."

Bóg z nieba widzi, że ledwo nogami powłóczę. A ręce, popatrzcie, jak mi pokręciło, i miesiąc już chodzę niegolony, a do cerkwi to już drogi nawet zapomniałem. Bo i w czym pójść, jak ostatnią koszulę z grzbietu ściągnęli?

Z miedzy na miedzę, po całym polu rozlegał się głos dziadka i wszyscy spoglądali w jego stronę. A on skarżył się ciągle:

— Oj, jakie to dziś dzieci! Ale ja, chwała Bogu, jeszcze pamięci nie straciłem, pamiętam, co mówił notariusz. Taki był szczuplutki pan z bródką i tak tłumaczył synowi:

„Dziadek, mówił, jak długo żyć będzie, ma mieć swoje łóżko i może spać, może wylegiwać się nawet do wschodu słońca. A gdy go już, mówi, pod obrazami położycie i gdy go ziemią zasypiecie, wtedy to już możesz z ławy przenieść się do dziadkowego łóżka. A babka, mówi, ma mieć swój piec, niech się staruszka grzeje, niech się modli, a gdy ją umyjecie już i ręce jej na krzyż złożycie, wtedy niechaj synowa na piec wlezie, odtąd on do niej należeć będzie".

Jesienny wiatr rozwiewał siwe włosy dziadka.

— Ach, gdyby tak notariusz niespodzianie zajrzał wieczorem do chaty. Syn w łóżku, synowa na piecu, a ja ze staruszką na ziemi, na słomie leżymy. I tak ma być? A gdzie jest Bóg? Ci ludzie Boga w sercu nie mają, oj, nie mają...

I jeszcze głową pokiwał, że to młodzi Boga w sercu nie mają.

— Zdychajcie, mówi, starzy, bo dla was i łyżki barszczu szkoda. Mleczko piją, twarożek jedzą — a my jak głodne szczenięta na nich patrzymy. A ja im dałem krówkę, dałem owieczki i pług dałem, całe gospodarstwo dałem. Tak jak wszyscy ludzie dają, tak i ja dałem. A oni dziś mówią: wyście starzy, słabi, to i jedzcie mniej. Ot, tak nam mówią nasze dzieci.

Głos mu zadrgał — dziadek przestał się skarżyć.

— A pochowają nas jak psy, na pewno i butów na nogi nie włożą...

Stado bocianów opuszczając się w szuwary załopotało skrzydłami nad dziadkiem — aż się nastraszył. Bociany zbierały się już do odlotu w ciepłe kraje.

— Oho, już jesień. Tak, to i Boże Narodzenie za pasem.

I pomyśleć, jakie to mądre, chociaż ptak — tyle tylko, że nie mówi. Kiedy mu źle, to szuka lepszego miejsca. W zimie mróz, nie ma żab, a on wie o tym wcześniej. To nie tak jak człowiek, który musi całe swe długie życie na jednym miejscu spędzić.

Wstał z miedzy, schował fajkę, wziął grabie i powlókł się w stronę domu. Kilka razy obejrzał się jeszcze za bocianami — i przystanął.

— Ej, gdyby się znalazł jakiś dobry człowiek i przepowiedział, czy my z babką doczekamy i czy je zobaczymy jeszcze, gdy tu znów wrócą? Ale chyba któreś z nas już nie doczeka, nie zobaczymy już pewnie bocianów....

1897 r.

ODPROWADZAŁA GO WIEŚ CAŁA

Na zachodzie zawisła nieruchomo purpurowa chmura.

Wokół niej wieczorna zorza rozrzuciła swoje białe pasma. Chmura podobna była do skrwawionej głowy jakiegoś świętego, zza której przeświecały promienie słońca.

Na podwórzu stał tłum ludzi. Jak od rozpalonego do czerwoności kamienia padał nań odblask zachodu słońca — surowy i nieruchomy. Z sieni jeszcze wysypywali się ludzie. Wychodzili smutni — jakby w domu tym żegnali nieboszczyka.

Za nimi wyszedł młody chłopak z krótko ostrzyżoną głową. Wszyscy patrzyli na niego. Myśleli o tym, że głowie chłopca oświetlonej teraz krwawą poświatą sądzone będzie lec gdzieś hen, daleko, na cesarskiej drodze. Tam w obcych krajach, pod upalnym słońcem spadnie gdzieś na drogę i będzie się poniewierać w prochu.

Na progu stała matka.

— Idziesz już, synku?

— Idę, mamo.

— I z kimże ty nas zostawiasz?

Zaszlochały baby, siostry w rozpaczy załamały ręce, a matka biła głową o framugę okna.

Ojciec podszedł do syna.

— Siadaj, syneczku, na furę, bo się spóźnimy na kolej.

— Jeszcze choć jedną nockę u mnie zostań, synku! Tak trudno cię było wychować! Ciągle tylko drżałam o ciebie. Rankiem o wschodzie słońca przygotuję cię do drogi i nie będę płakała. Przenocuj, przenocuj, dziecinko!

Pociągnęła go za rękaw do chaty.

Tłum przysunął się bliżej drzwi.

Po chwili wyszła matka z synem. Twarz jej była blada jak płótno.

— Synku — pytał ojciec — a któż mi będzie pleć kukurydzę?

Popłakali się chłopi. Ojciec upadł na furę, ciało jego drżało jak liść.

— No, jedziemy!

Matka zatrzymuje chłopca:

— Nie odchodź, Mykołuszka! Zanim wrócisz, próg ten wykrzywi się i węgły chaty pogniją. Mnie wśród żywych już nie zastaniesz, a i sam przecież możesz nie wrócić.

Objęła syna za nogi.

— Bodaj bym cię już na tamten świat wyprawiała.

Ruszyli.

Ci, którzy stali u wrót, poszli odprowadzić rekruta.

Szli lasem.

Liście zaścielały drogę. Pozwijały się na kształt łódeczek, by z jesienną wodą popłynąć za rekrutem. Las podchwytywał płacz matki i unosił go w pole, rzucał w bruzdy — niech pole wie, że wiosną Mykoła nie będzie go już orał.

Za lasem stanęli w polu. Rekrut począł żegnać się ze wsią.

— Żegnajcie, krewniacy i sąsiedzi! Jeślim was kiedy obraził, przebaczcie i pobłogosławcie na daleką drogę.

Wszyscy zdjęli czapki.

— Wracaj zdrów, wracaj prędko!

Syn i ojciec wsiedli na furę. Matka chwyciła rękami koło.

— Synku, weź mnie z sobą, bo będę leciała na przełaj przez pola i dogonię cię!

— Ludzie dobrzy, weźcie żonę, bo sobie jeszcze ręce pokaleczy.

Z trudem oderwali ją od fury i przytrzymali. Wóz ruszył.

— Bądź zdrów, Mykoła! — wołali.

A w nocy siedziała na dworze matka-staruszka i ochrypłym głosem zawodziła:

— Na jakiej dróżce mam cię wypatrywać, w jakim kraju cię szukać?!

Córki jak kukułeczki pocieszały ją.

Nad nimi rozpościerało się jesienne niebo. Gwiazdy jak złote kwiatki migotały na gładkiej, stalowej płaszczyźnie.

1897 r.

ZMARNOWAŁ SIĘ

Koła uciekały w dal. W rogu na ławce siedział chłop i płakał. Chował głowę w wyszywaną torbę, żeby nie było widać jego łez. Padały jak krople deszczu. Zmieniały się w ulewę, która lunie, aby po chwili ucichnąć.

Miarowy stukot pociągu wbijał się jakby młotem w duszę chłopa.

— Niedawno miałem taki sen. Śniło mi się, że niby biorę wodę ze studni, a on stoi na dnie w takim podartym kożuszku, że nie daj Bóg! Jeszcze chwila, a utopi się. „Mykołuszka, synku — mówię niby do niego — co ty tu robisz?" A on odpowiada: „Ach, ojcze, nie mam sił dłużej służyć w wojsku". Ja mu mówię: „Pocierp trochę, ucz się, słuchaj". No, i już się wyuczył...

Ciężka łza spłynęła po twarzy chłopa i upadła na torbę.

— Jadę i wiem, że już go nie zastanę. A czy będzie do kogo wrócić? Żona biegła za mną przez pole i ze łzami w oczach błagała, żebym ją wziął z sobą. Nogi miała sine od mrozu, krzyczała, jakby rozum straciła. A ja zaciąłem konie i pojechałem. Może zamarzła tam gdzie wśród pól? Trzeba było wziąć staruszkę ze sobą, bo czegoż nam teraz potrzeba? Niech przepadną pieniądze, niech bydło zdechnie z głodu. Po co to wszystko takim nieszczęsnym jak my? Niech uszyje torbę i pójdziemy na żebry do tego miasta, gdzie będzie grób Mykoły.

Oparł twarz o szybę — po oknie ściekały łzy.

— Oj, żono, a to doczekaliśmy cierniowego wianka na nasze siwe głowy! Na pewno, biedaczka, gdzieś tam głową o ścianę wali i modli się we łzach cała.

Staruszek łkał jak małe dziecko. Płacz i pęd pociągu wstrząsają siwą głową jak tykwą. Łzy płyną bezustannie. Chłopu zdaje się, że słyszy głos żony — biegnie za nim bosa i prosi, aby ją wziął z sobą. A on okłada konie biczyskiem, okłada. Tylko jej lament słychać w polu, ale już daleko, daleko.

— Boję się, że jej też już nie zastanę. Złożyliby mnie lepiej z Mykołką w jednej mogile, abyśmy gnili razem, jeśli nie dane nam było razem żyć. Niechby nad nami nawet pies nie zawył na obczyźnie, byleby się nie rozłączać! Jakże to on będzie sam w tych obcych stronach!

Pociąg biegł w przestrzeń.

— A to nieszczęście, że wyrósł jak dąb. Do czego się tylko wziął, wszystko mu się w rękach paliło. Ach, gdybym mu tak jedną za młodu odrąbał...

Pociąg przyjechał do dużego miasta.

Wyszedł razem z innymi ludźmi. Na ulicy został sam. Ściany, ściany, a między ścianami drogi, a nad drogami tysiące lamp nanizanych na jeden sznur. Światło ich tonęło we mgle i drgało. Oto zaraz wszystkie spadną — i nastaną straszne ciemności.

Ale lampy zapuszczały korzenie we mgłę i nie upadały.

— Ach, Mykołuszka, żebym ja cię choć martwego zobaczył. A potem niechbym już umarł!

Siadł pod ścianą. Torbę położył na kolana. Łzy już na nią nie kapały. Ściany pochyliły się ku sobie, światła lamp zlały się w jedno i grały wszystkimi kolorami tęczy. Skupiły się wokół chłopa, żeby mu się lepiej przyjrzeć — z dalekich stron tu przywędrował. Zaczął kropić deszcz. Staruszek skurczył się jeszcze bardziej i szeptał:

— Matko Boska, Orędowniczko wszystkich dobrych ludzi, Święty Mykoła litościwy... — I zaczął bić się w piersi.

Podszedł policjant i skierował go do koszar.

— Panie dyżurny, czy to tu umarł Mykoła Czorny?

— Tak, powiesił się w lasku olchowym, za miastem. Leży teraz w kostnicy. Idźcie tą ulicą w dół, tam wam pokażą.

Policjant odszedł na swój posterunek. Chłop leżał na ulicy i jęczał. Potem wstał i poszedł ulicą w dół. Nogi uginały się pod nim i drżały jak w febrze.

— Synku, syneczku, czemuś ty się zmarnował... Powiedz mi, co cię do grobu zagnało? Czemuś duszę swą zgubił? Oj, będzie miała matula pociechę z ciebie. Wszycy zginiemy marnie.

W kostnicy, na wielkiej białej płycie leżał Mykoła. Jego piękne, bujne włosy zlepione były krwią. Ciemię odpadało jak skorupa. Na brzuchu miał bliznę w kształcie krzyża — krajali na krzyż i tak zaszyli.

Ojciec padł na kolana u nóg Mykoły i modlił się. Całował nogi syna, głową bił o marmurową płytę.

— Oj, dziecinko, szykowaliśmy ci z matką wesele, muzykantów najęliśmy, a ty odszedłeś od nas na zawsze...

Podniósł zwłoki, objął za szyję i pytał, jakby chciał się radzić:

— Powiedz, ile mszy za ciebie odprawić, ile rozdać biednym, żeby ci Bóg ten grzech odpuścił?...

Łzy padały na zwłoki i na białą, zimną płytę. Łkając przyoblekł syna w białą, haftowaną koszulę, przepasał go wyszywanym pasem i włożył czapkę z pawimi piórami. Pod głowę podłożył wyszywaną torbę a u wezgłowia postawił świecę, by się paliła za grzeszną duszę.

Taki urodziwy, taki ładny chłopak w pawich piórach. Leżał tak na zimnej, marmurowej płycie i zdawał się uśmiechać do ojca.

1897 r.

LIST

(Więźniom politycznym - chłopom aresztowanym w wigilię)

W chacie było tak widno, że stara Hrycycha dostrzegła na ścianie wszystkie ślady palców Iwanka.

Słońce schyliło się za las na wzgórzu koło chaty i zostawiało w jego gałęziach kolorowe blaski, które odbijały się w oknach chaty. I tyle tych blasków wpadało przez szyby, że staruszka widziała każdy ślad palców Iwanka na ścianie.

— Ej, Iwan, żebym ja ciebie więcej nie widziała na ławce! Patrz, coś zrobił ze ścianą? Po podłodze biegaj.

Iwanko biegał od progu do stołu, ciągnął za sobą na nitce kulkę z gałganków i wołał:

— Nie bójcie się, już więcej nie będę.

Obok staruszki siedziała na piecu maleńka Maryjka z warkoczykiem jak mysi ogonek.

„Boże, Boże, tak ciężko teraz wszystkim żyć, a jednak jak przyjdą święta, to ludzie się radują" — rozmyślała staruszka.

Twarz miała pomarszczoną, wargi sine, ręce suche i siwe włosy. Wyglądała żałośnie.

— Oho, idzie do nas wujek Wasyl z Mykołą Semenowym, który uczy się w szkole!

Do izby wszedł Wasyl z uczniem.

— Cóż to, matko, u was Boże Narodzenie na piecu? Życzę wam szczęścia i zdrowia, żebyście jeszcze pożyli z nami — składał życzenia Wasyl całując rękę matki.

— Oj, synku, mnie nie święta w głowie! Ja, dziecko, płaczę całe dnie, i w zwykły dzień, i w święto — odpowiedziała staruszka z oczami pełnymi łez.

— A ja przyszedłem przeczytać wam list od Fedora, wczoraj przynieśli go z poczty. Mykoła nam przeczyta.

— Co pisze, zdrów, czy chory?

Wasyl wyjął list z kieszeni i podał go uczniowi. Mykoła zaczął czytać:

Kochany mój bracie Wasylu i mamo. Kłaniam się wam i pozdrawiam was w święto Bożego Narodzenia. Przesłałbym wam kolędę z więzienia, ale boję się, że wiatr zgubi ją w polu i nie doniesie pod wasze okna...

Matka zalała się łzami, Wasyl milczał.

Kiedy u nas więźniowie kolędują, to nawet szary, kamienny mur rozsypuje się, a z krat rdza opada. Jak zaśpiewają, to nawet dozorcy słuchają. A kolęda w niewoli jest smutna i straszna! Tej nocy wciąż wspominałem, kiedy jako dziecko chodziłem z kolędnikami; pamiętam, mamo, jak prosiłaś ojca, żeby mi na to pozwolił; a potem, kiedy byłem już starszym chłopcem, chodziliśmy ze skrzypkami. Stawaliśmy nieraz, jak las, pod oknem! Śpiewaliśmy, a skrzypki płakały jak dziecko. I chociaż śpiewaliśmy coraz głośniej, skrzypki wciąż zawodziły i nigdy nie mogliśmy ich zagłuszyć. Nawet teraz słyszę, jakby tuż obok, płacz tych skrzypek...

— Oj, synku, synku, osierociłeś swoje dzieci! — szeptała staruszka.

Czasem, mamo, tak mi w tych murach straszno, że nie mogę wyleżeć samotnie na pryczy, wtedy idę do kogokolwiek, bo czuję, że umarłbym! A kiedy wspomnę o tym, że przeze mnie Nastia poszła do ziemi i osierociła dzieci, to krew mi z serca kapie. Przez kraty widać gwiazdy — patrzę na nie, jak większe wiodą za sobą małe, i myślę, że to tak jak Nastia z dzieciakami Maryjką, Iwankiem, Wasylkiem.

— Ach, synku, nie dopuszczaj do głowy takich myśli! — krzyknęła staruszka, jakby Fedor nie pisał, lecz mówił do niej.

I wciąż mi się majaczy pogrzeb Nasti. Widzę za trumną was, dzieci, sąsiadów. Wiatr szarpie chorągwie, jakby pytał: „Gdzie mąż tej kobiety?" A podarta chorągiew szumi w odpowiedzi: „W Stanisławowie, w więzieniu".

— Oj, zamurowali ciebie, synku, w niewoli! — wzdychała staruszka.

A ja chciałem tylko zniszczyć kłamstwo i zło, i za to wyrwano mnie z rodzinnej ziemi jak drzewo z korzeniami, zabito mi żonę i dzieci zostały na łasce boskiej. Bracie Wasylu i ty, mamo, opie-

kujcie się moimi dziećmi! Żeby w każdą sobotę miały pomyte głowy, a w niedzielę czyste koszule. Żeby nie chodziły brudne, żeby ich wszy nie gryzły! A przede wszystkim, mamo, uważajcie na maleńką Maryjkę. Żeby maleństwo nie śliniło sobie koszulki, bo ślina w ciałko się wżera. I żeby nie płakało! Wiecie, kiedy sierotka płacze, wszystkie anioły płaczą...

— Wyczesuję ja twoje dzieci w każdą sobotę i zawsze na niedzielę piorę im koszule i swoje stare łzy wylewam do tej wody — odpowiadała staruszka.

A ty, bracie Wasylu, pilnuj moich chłopców. Nie puszczaj ich w workach na deszcz, uszyj im świtki, zastąp im ojca i ucz ich rozumu, nie daj pod batogi! Zrób z nich gospodarzy i przykazuj, żeby nie zapomnieli o matce i ojcu. Powiedz im, że ojciec nie był złym człowiekiem, że tylko bronił swojego prawa...

— Oj, Fedor, nie puszczę ja twoich dzieci pod cudzy bat i będę je uczył jak swoje rodzone — przemówił Wasyl.

...A to poletko koło lasu obsiejcie pszenicą, tam dobra ziemia, niedawno nawożona. I nie dopuśćcie, żeby moje dzieci krzywdzono, bo myślę, że ja już nigdy stąd nie wyjdę. I napiszcie do mnie o wszystkim, co słychać w domu.

Kłaniam się tobie, bracie, i wam, mamo, i dzieciom moim.

Fedor

Staruszka szlochała, przestraszone dzieci wtórowały jej głośnym płaczem.

— Naści krajcar* i nie płacz, nie płacz... Słyszałeś, ojciec przykazuje, żebyście babki słuchały, żebyście były grzeczne — mówił Wasyl do Iwanka podając mu nowiutki błyszczący pieniążek.

1897 r.

* Krajcar — drobna moneta austriacka.

W KARCZMIE

Przy długim stole siedzieli Iwan i Proć. Padały mocne słowa. Nachyliwszy głowy słuchali, o czym mówiono przy stole. Narzekali i pili. Procia biła kobieta, a Iwan uczył go, jak stać się panem swojej żony.

— Do cholery z takim bykiem, którego krowa bodzie — powiedział Iwan. — Gdyby mnie żona choć małym palcem ruszyła, to koniec z nią! Zbiłbym na kwaśne jabłko. E, słuchaj, to przecież wstyd przed całym światem, żeby żona waliła męża jak konia! Ja bym ją zaraz rozumu nauczył, tak bym nauczył, że zapomniałaby, jak się po ziemi chodzi. Naostrzyłbym siekierę na toczydle i obciąłbym jej ręce po łokcie. Raz, dwa — i po nich!

Powiedziawszy to, Iwan zamachał rękami, jakby chciał unieść się w górę. Przechylił głowę w tył, wybałuszył oczy na Procia i czekał, co on odpowie.

Proć pokręcił głową i nic nie odpowiedział, biedaczysko. No, bo cóż mówić, jeśli to wszystko prawda.

— Ej, szynkarzu, przestań się kiwać nad książką jak wisielec na osice, a dawaj tu, bracie, wódki. Płacę ci, to dawaj, bo jak nie — to mnie więzienie, a tobie śmierć. Nie targuj się, nalewaj... — krzyczał Proć waląc kułakiem w stół.

Szynkarz śmiał się i nalewał wódkę. Chłopi znów zaczęli pić. Nachylali się ku sobie, to znów się odsuwali — jak dwie gałęzie na wietrze.

— Myślisz — powiedział Iwan — że ja bym czekał, aż mnie żandarmi wezmą? Jak bym jej tylko ręce odrąbał — to zaraz naciągnąłbym serdak na plecy i prosto do sądu! Wstyd nie wstyd, a powiedziałbym panom sędziom, że żona mnie biła, więc jej ręce odrąbałem i koniec! Może bym posiedział dzień, a może nawet nie...

Znowu pili. I tak się krzywili, jakby pili własną krew.

— Proć, bracie, popatrz, wódkę pijemy, ty stawiasz i pijemy za swoją pracę, pijemy swoją krew. Szynkarskich wyrodków karmimy. Radzę ci z całego serca, przykazuję ci, krótko trzymaj swoją żonę, żeby na ciebie ręki nie podnosiła. Stałeś się już pośmiewiskiem całej wsi. Żona cię wali, a ty boisz się pary z gęby puścić! Panem trzeba być. Ja bym taką babę okiełznał, zaprzągłbym do stępy, druciany bat ze ściany bym zdjął — i nauczyłbym ją.

Iwan wyciągnął pieniądze i chciał zapłacić za wódkę, ale Proć ze złością zrzucił je na podłogę.

— Iwan, czemu ty mnie, bracie, obrażasz? Ja cię chcę ugościć, ty mi przecież radzisz jak rodzona matka. Nie pchaj mi tu pieniędzy, pij.

I znowu pili.

— Pogadaj z nią po dobremu. Jak przyjdziesz do domu, to tak jej powiedz: „Gdzieś ty mi, żono, przysięgała? Na kupie gnoju, czy w cerkwi? Rabin nas ożenił, czy ksiądz nam ślub dawał? Jak ty na mnie rękę podnosisz, to ja ci rączki odrąbię. Przynieś mi tu ławkę i siekierę, obliczymy się teraz..." Tak jej powiedz, może się nastraszy...

— Ty, kochany, nie znasz widocznie mojej żony. To taka baba, że i kąta się nie zlęknie. Jak ją czasem czymś postraszę, to ona, co jej wtedy pod rękę wpadnie, czym się da — we mnie rżnie! Żeby ją tak doktorzy po śmierci rżnęli! „Ty, pijaczyno, co tylko w ręce wpadnie, wszystko do karczmy wynosisz, i jeszcze nade mną chcesz się znęcać?"

Mówię ci, Iwan, tak mnie wtedy bije, tak grzmoci, że lepiej wiać. A może Bóg da, że bez mojej pomocy ręce jej uschną, może wyproszę to u Boga...

— Licz na Boga, licz, durniu, a ona będzie bić, aż duszę z ciebie wybije. Takiś ty widać mocny przy swojej żonie jak wierzbowy kołek w jarzmie. Na takiego to i plunąć szkoda!

Proć zakaszlał się tak, aż posiniał. Iwan gryzł pięści i zgrzytał zębami, aż w całej karczmie było słychać.

— Ej, szynkarzu, chodź no tutaj. Masz mądrą głowę, dlatego z nas skórę łupisz; powiedz mi, czy jest takie prawo, żeby żona biła męża? Jest takie prawo? Ty przecież ciągle książki czytasz? O, aż oczy ci zaropiały — więc powiedz, czytałeś o takim prawie? Jeżeli cesarz takie prawo napisał, to ja je muszę znać. Jeśli cesarz takie

prawo dał, to niech i moja mnie bije. Złożę ręce na piersi i niech wali! Jak cesarskie prawo — to cesarskie!

Szynkarz odpowiedział, że nie czytał o takim prawie. Radził wszakże Prociowi, żeby poszedł do domu, bo żona będzie wymyślać.

Proć splunął, wytrzeszczył oczy i długo patrzył na szynkarza. Chciał mu coś odpowiedzieć, ale rozmyślił się i wstał z ławki.

W drodze do domu krzyczał, aż rozlegało się po całej wsi:

— Ale jej ręce odrąbię, jak gałęzie z wierzby! Do czego to podobne? Cisza była i błogosławieństwo boże, bocian na chacie gniazdko uwił, a odkąd przyszła — to co się dzieje! Ptak nawet na chacie nie usiądzie. Kiedy, kiedy to się skończy?

„Kiedy, kiedy się to skończy?“ — podśpiewywał Proć.

Gdy zbliżał się do domu, głos jego zaczął przycichać, a u wrót chaty zamilkł zupełnie.

1897 r.

ŚWIĘTOSZKA

Po powrocie z cerkwi Semen z żoną jedli obiad — maczali zimną kuleszę * w śmietanie. Mąż jadł, aż mu się uszy trzęsły, a żona spokojnie. Mąż bryzgał śliną i żona musiała ciągle wycierać twarz rękawem. Mlaskał językiem jak zawsze, a krople śliny wpadały do oczu niby piasek.

— Zamknij choć trochę swój pysk, bo chleba nie można jeść!...

Semen jadł, głośno mlaskając. Choć dotknęło go trochę powiedzenie żony, pociągał nadal śmietanę z miski.

— Mlaska głośno jak cztery świnie na raz! Boże mój! Jaką ty masz wstrętną, obwisłą wargę, jak stara klacz.

Semen ciągle milczał: czuł się trochę winny, ale poza tym chciał się dobrze najeść. W końcu wstał i przeżegnał się. Wyszedł na dwór, dał świniom pić i wróciwszy chciał się położyć.

— Popatrz, napchał sobie brzuch, wali się jak kłoda i nosa nigdzie nie wysunie! Gnije tak w każde święto, w każdą niedzielę.

— Co ty się mnie czepiasz? Oj, uważaj, bo jak ja cię zaczepię, to już się nie odczepisz. Ja ci pokażę, jak się trzeba czepiać.

— Ja bym cię w każdą niedzielę rozszarpywała na kawałki.

— Nie dał Bóg świni róg...

— Stoi to w cerkwi jak niedorżnięty baran. Inni chłopi — jak to chłopi, a on taki wstrętny, że aż cholera bierze. Wstyd mnie pali za takiego męża.

— Ojej, biednaż ty moja, nie wejdę do królestwa niebieskiego. Naharuje się człowiek przez cały tydzień, a potem jeszcze w cerkwi stój na baczność. Stój ty już za mnie, a ja i tak słowa bożego posłucham.

— Ej, słuchasz ty słowa bożego. Nic nie rozumiesz z tego, co

* Kulesza — kasza z mąki kukurydzanej.

ksiądz mówi na kazaniu. Stoisz na środku cerkwi jak lunatyk. Popatrzeć, a ten oczy wybałuszył na sufit, rozdziawił gębę jak wrota, ślina mu z ust cieknie. A ja patrzę i pod ziemię bym się ze wstydu zapadła.

— Odczep się ode mnie, ty świętoszko, daj mi choć na chwilę odpocząć. Ty byś tylko ciągle gadała, a ja z nóg się walę.

— To nie stój w cerkwi jak słup! Zaledwie ksiądz zacznie czytać z modlitewnika, ty od razu wybałuszysz oczy jak cebule i głową kręcisz jak koń w słońcu, a z ust ciągną się nitki śliny, jakby pająk pajęczynę prządł — jeszcze trochę, a zachrapiesz w cerkwi. Mama moja zawsze mówiła, że to diabeł w człowieka włazi i usypia go, aby nie słuchał słowa bożego. Tak to Boga w sercu nie masz, oj, nie masz.

— Tfu. Niech z tobą diabeł tańcuje, co mu do mnie. Świętoszka. Myślisz, że jak się zapisałaś do jakiegoś tam cerkiewnego bractwa, toś się stała świętą? Ja ci tak skórę wygarbuję w linijki jak w książce, tylko na sino... Zebrały się baby w bractwie. Widział to kto? Jedna rodziła w panieńskim stanie, druga we wdowim, trzecia — bez męża — same porządne się dobrały. Gdyby mnisi wiedzieli, jakie z was ptaszki, toby was kijem z cerkwi wygnali. Popatrz, jakie świętoszki, tylko im ogona z tyłu brak. Czytają książki, kupują święte obrazy, żywcem do raju by chciały.

Semenychą aż zatrzęsło — rozpłakała się.

— Po coś mnie brał z dzieciakiem. Oj, wymodliłam ja sobie dolę. A za ciebie i suka by nie poszła, za takiego brudnego wołu. Dziękuj Bogu, żem ja z tobą swoje życie związała, bo jak nie, tobyś tak do grobowej deski chodził.

— Głupi byłem, złakomiłem się na ziemię i wiedźmę taką do domu sobie wziąłem. Teraz nawet swój grunt bym oddał, byleby tylko odczepić się od ciebie.

— O, nie odczepisz się. Wiem, chciałoby ci się teraz drugą wziąć z ziemią — ale nie — nie bój się, nie wygryziesz mnie, nie dobijesz. Na złość tobie będę żyła i będziesz musiał na mnie patrzeć — no i co?

— A żyj sobie nawet do końca świata!...

— I do bractwa będę chodziła, i nic ze mną nie zrobisz.

— Oj, będziesz ty w tym bractwie wtedy chyba, gdy mnie już nie stanie. Książki wszystkie wyrzucę, a ciebie zwiążę. Nie będziesz ty mi więcej mądrości od mnichów przynosiła.

— Będę, będę — i co mi zrobisz?

— Odczep się ode mnie — bo zrobię co złego, a tobie to na sucho nie ujdzie! Przymknę ci trochę ten pyszczek. Z chaty trzeba by przez tę świętoszkę uciekać. A to ci bieda, ale będę bić.

Semenycha chciała uciec na dwór, ale mąż złapał ją w sieni i bił. Musiał bić.

— Mamo, mamo moja, czemuś mnie za takiego potwora wydała, czemuś mi życie zniszczyła. Popatrz, w niedzielę do bicia się bierze.

— Ot, przeklęta baba! To ja zacząłem kłótnię? Pomyślcie tylko, co za świętoszka. Nie, gołąbko moja, jeśli tak, to ja cię trochę przykrócę.

1897 r.

WIECZORNA GODZINA

Nie mógł usiedzieć — tak go coś gnało od ściany do ściany — chodził i chodził po pokoju. Meble i kąty rozpływały się, ginęły w wieczornym mroku, a obrazy przeszłości zarysowywały się coraz jaśniej i wyraźniej.

— Jest to taka pora, kiedy dzieci wybiegają z chat na wygony i bawią się wesoło, i dokazują. Dziewczęta nie chcą o tej porze bydła do domu gnać, bo mówią, że kiedy wieczorna gwiazda wschodzi, wtedy głos ściele się po rosie — więc śpiewają, aby ich głosy się słały. W zimie o tej godzinie matki przędą len i śpiewają swoje pieśni z dziewczęcych lat, ale tak smutno, jak gdyby tęskniły za swoją młodością. Dzieci tulą się wówczas do siebie, szepcą coś na piecu i zasypiają bez kolacji. W zmierzchu tym jest coś zadziwiającego.

Chodził i tarł ręką czoło, jakby chciał wszystkie swoje myśli zamknąć w głowie, aby je raz jeszcze przemyśleć.

„Ba, nie wiem, co on teraz robi. A taki był dobry kolega! Pamiętam, jakżeśmy raz siedzieli u niego w sadzie. To chyba wtedy mówił o białych chmurkach. »Biała chmurka — mówił — ze złotymi brzegami płynie po niebie i zostawia za sobą białe lilie; a sama płynie dalej i sieje, sieje kwiaty po sinym niebie... a za godzinę nie ma już ani chmurki, ani lilii. Tylko błękitne niebo marszczy się jak błękitne morze«. Tak, był on wtedy jakiś dziwnie smutny."

Chodził, a oczy jego stawały się takie dobre jak oczy dziecka.

„Och, zapomniałem już końca. Już do tego doszło, że pieśni matczynej zapominam. A nie tak dawno pamiętałem jeszcze... Zaraz... Pasłem z Maryjką w sianokosy owce na łące... Maryjka wyszywała na rękawach fasolki. Fasolki wyszywała czerwoną włóczką, ogonki niebieską, a brzegi obrzucała czarną. Maryjka była starsza, więc ja musiałem biegać za owcami. Mieliśmy jedną owcę z białą głową, co

taka była przemyślna, że w każdy łan wlazła. Zdjąłem pas i związaliśmy ją. Wtedy dopiero mieliśmy spokój. Biegałem bez pasa pod wierzbami, gwizdałem i krzyczałem, że aż na całym polu słychać było. A potem Maryjka zawołała mnie i jedliśmy chleb z serem, który był zawinięty w liść kapusty."

Siedział teraz w fotelu i wspomnienia dzieciństwa jak we śnie unosiły go na pola, gdzie było wiele kwiatów... i można było rwać je, rwać i rwać.

„Potem przyszła do nas matka. Wracała z pola, dokąd zaniosła robotnikom jedzenie. Dała nam mleka, oglądała robótkę Maryjki i pouczała ją, aby nigdy nie brała trzech nitek, tylko dwie, bo fasolki będą zbyt pękate. Do mnie mówiła, żebym nie toczył się z góry, bo mogę koszulę podrzeć albo brzuch podrapać: »Nie brykaj, chłopcze, jak koń na polu, tylko siedź koło Maryjki i pilnujcie owiec«. Leżałem koło Maryjki i waliłem nogami po trawie, a matka mówiła: »Ty to ani chwili nie możesz spokojnie usiedzieć!« Wtedy niedaleko od nas opuścił się bocian. Matka wzięła mnie na ręce, posadziła na kolanach i zaczęła śpiewać:

Oj, nie koś, bocianie, siana,
Bo zamoczysz się po kolana,
Niechaj siano czajka kosi,
Co na bakier czapkę nosi...

Usiłował przypomnieć sobie koniec tej piosenki i nie mógł. Smutek pojawił się w jego oczach:

„Zaraz sobie przypomnę, zaraz... Matka poszła do domu, a ja do wieczora biegałem za bocianem i podśpiewywałem sobie:

Oj, nie koś, bocianie, siana..."

Biegał po pokoju jak chłopak, który chce przeskoczyć rów i za każdym razem zatrzymuje się nad samym jego brzegiem. Powtarzał głośno początek piosenki i nie mógł przypomnieć sobie dalszego ciągu. Westchnął, a obwódki dokoła jego oczu jeszcze bardziej pociemniały.

„Boże drogi! Nie mogę już związać tej nici. Zaczęła się rwać już wtedy, gdy matka myła mi nogi i darła ze starej koszuli czyste onucki, a ojciec czyścił mi buty. Wszyscy płakaliśmy wtedy, bo wysyłano mnie w świat na naukę. Błąkałem się więc po tym świecie,

giąłem się jak łoza — dla kawałka chleba — i czułem na sobie pogardliwe spojrzenie setek oczu".

Machnął ręką, jak gdyby chciał odegnać od siebie te wzgardliwe spojrzenia.

„Po wielu latach pojechałem do matki. Ojca już wówczas nie było. Matka stara, zgarbiona, z kosturem w ręku siedziała na przyzbie i grzała się w słońcu. Nie poznała mnie wpierw, a potem przywitała się ze mną. »Synku, nasza Maria umarła. Nie pisałam ci o tym, żebyś się nie martwił. A jak umierała, to ciągle się dopytywała o ciebie. Mówiliśmy jej, że przyjedziesz. W dniu śmierci powiedziała, że chciałaby cię zobaczyć, chociaż przez okno czy za progiem... I umarła«. Oto jak rwała się ta nić."

Powtarzał w myśli pieśń matki:

Oj, nie koś, bocianie, siana...

„Poszliśmy z matką na grób. Ledwo doszła... »Popatrz, synku, to jest mogiła Marii. Posadziłam już na niej miętę i barwinek; krzyż kazałam pomalować, tylko wiśni jeszcze nie posadziłam, na jesieni posadzę«. Siedliśmy obok mogiły i matka zaczęła mi opowiadać o niedoli Marii. Niedobry mąż, małe dzieci, bieda w chacie. Wiatr strącał z wisien białe kwiecie. Płatki padały na nas i na mogiłę. Zdawało się, że płatki te zlewają się z białymi włosami matki i że rosa z nich pada na jej twarz. Wspominałem, jak to pasaliśmy z Maryjką owce..."

Gorące łzy padały na stół.

„A potem matka umarła. Jej grób znajduje się niedaleko grobu Maryjki. Kwiaty z wisienki matki padają na mogiłę Marii, a z wisienki Marii — na mogiłę matki. Byłem tam raz. Siedziałem między tymi mogiłami i przyszła mi na myśl matczyna piosenka. Ale nie mogłem przypomnieć sobie końca. Posiedziałem jeszcze trochę i poszedłem. Tylko płatki wiśniowych kwiatów leciały za mną, jak gdyby siostra i matka prosiły, abym ich nie opuszczał..."

Długo jeszcze chodził po pokoju i szeptał:

Oj, nie koś, bocianie, siana,
Bo zamoczysz się po kolana,
Niechaj siano czajka kosi,
Co na bakier czapkę nosi.

1897—98 r.

POSIEDZENIE

Radni* powoli schodzili się do kancelarii. Każdy z nich, zanim wszedł do chaty, wytarł nos w sieniach, ocierał go połą kożucha i jeszcze ręką poprawiał. Tak to szli między ludzi. „Pochwalony!" — „Na wieki wieków!" — i siadali na przyzbie.

Przyszła już prawie połowa radnych. Starsi siedzieli bliżej stołu, a młodsi trochę dalej. W kącie koło pieca leżały sienniki, jeden na drugim, a obok nich stała czarna, blaszana bańka. To był szpital. Jeden albo dwa razy do roku przysyłał doktor list do gromady, że tego to a tego dnia będzie we wsi; wtedy wójt wzywał do siebie policjanta Tomę.

— Jutro, mój drogi, musisz zrobić porządek w kancelarii, bo widzisz, doktor pisał, że przyjedzie. Trzeba wyszorować trochę podłogę, posypać piaskiem, rozłożyć na niej sienniki, przykryć je workami; ponalewasz także w kąty tej śmierdzącej wody z bańki, no i tak zamydlimy mu oczy. Jak jest przepis, że ma być szpital na cholerę, to tak musi być!

W ten sposób policjant raz albo dwa razy do roku robił z kancelarii szpital... A gdy potem radni schodzili się na posiedzenie, to kichali wszyscy i mówili: „Ale tu paskudnie śmierdzi!" Ci zaś, którzy byli w wojsku, mówili, że na pewno lekarz robił „reperację" z usypianiem i od tego tak kręci w nosie. Natomiast Pawło Dzinio czuł się bardzo dobrze. Ten to zawsze spał na naradzie. Gdy radni zaczynali kichać od tego szpitalnego zapachu, wtedy zawsze mówili:

— Pawło ma słabą głowę, my tylko kichamy, a on już śpi. Trzeba powiedzieć doktorowi, ażeby nie usypiał nam radnych, bo cała narada będzie do niczego.

* Tu — członek rady wiejskiej.

Pawło nie usprawiedliwiał się, lecz patrzył zalęknionym wzrokiem na radnych, a twarz jego stawała się jeszcze czarniejsza. Wszyscy uważali go tu za głupka i śmieli się z niego.

Radni siedzieli teraz na ławie i rozmawiali powoli i leniwie. Każdy siedział tak, jak mu było wygodnie. Najstarszy z nich, Iwan Pławiuk, który siedział najbliżej stołu, pochylił się, złożył ręce jak do modlitwy, wsunął je między kolana i spluwał, ćmiąc fajkę. Dłonie, nos i kolana sąsiadowały z sobą. Tak to sobie siedział i opowiadał o jarmarku:

— Dajcie mi spokój z takimi jarmarkami. Kupcy razem z panami cały świat zagarnęli. Kto sprzedaje? — kupiec, kto kupuje? — pan! A ludzie — tak sobie, czasem coś niecoś sprzedają. Cielątko, krówkę — to jeszcze, jeszcze, a woły — to już całkiem rzadko.

— Tak, ciężko się zrobiło! A każdy sobie myśli: „Kupię cielątko, odchowam — trochę plewiny ugotuję, tykwę podrzucę i tylko patrzeć, jak już przychówek będzie, i znowu można załatać coś w gospodarstwie. Ciężkie czasy nastały."

— Ciężkie, to prawda! Dawniej księża ludziom nakazywali, żeby nie pili, żeby niepotrzebnie pieniędzy nie wyrzucali, a teraz, widzicie, ludzie nie piją, nie hulają, a i tak krajcara złamanego nie mają. Całkiem na psy zeszliśmy, nawet na Wielkanoc mało kto słoninę je. Tak ciężko jest, mówię wam, ten krajcar wydostać, jak z kamienia.

— Wszystko się zmieniło. Dawniej na przykład nie było takiego bydła. Teraz jest jakieś różnokolorowe — tyrolskie, a przedtem było białe, bielusieńkie. Nie taki przecież bardzo stary ze mnie gospodarz, a wziąłem w posagu dwa woły białe jak śnieg i z takimi rogami, że przez wrota nie mogły przejść. A biegały jak konie! Jakem do miasta jeździł, tom je zaprzęgał. Mówili, że to był gatunek węgierski, tak samo jak o tym mówią, że tyrolski. O, bydło było wtedy o wiele tańsze, o wiele!

— Tanio się sprzedawało i tanio kupowało, ale było lepiej. I nie tylko rogacizna jest teraz inna, a świnie — jakie były przedtem? Różnej maści, sierść miały długą i słabe nóżki, a teraz — tylko białe i gładkie. Gdy się stanie na świńskim targu, wydaje się, jakby cały usiany był białym kwiatem. I wszędzie kręcą się paniska z grubymi brzuchami.

— Widocznie różne bywają gatunki: alboż to ludzie wszyscy są

jednakowi? Pojechałem raz do Kołomyi, a tam patrzę — idzie coś takiego jak diabeł. Zmiłuj się, Panie Boże! Twarz i ręce miał całkiem czarne. Myślę sobie: stanie takie coś w nocy na moście, to każdy chyba będzie musiał potem wodę święcić. Jak Boga kocham — święta prawda! Mówił szynkarz, że są tacy ludzie na świecie.

— Tak, pewnie, różne są gatunki. Mój Wasyl opowiadał, że jak był przy wojsku w Wiedniu, to widział takie świnie, że ani uszu, ani ryja, ani nóg nie było widać, tylko sam tułów.

— Dosyć jest wszystkiego na świecie, a biedy najwięcej...

Nadszedł wójt i rozmowa się urwała.

— Wójcie, co tam słychać w mieście?

— Ach, gdyby mieć pieniądze, to i w mieście byłoby dobrze. Patrzę, panowie wchodzą do restauracji, piją, jedzą wszystko co najlepsze i mają pieniądze. Gdyby tak choć na jeden tydzień przemienić się w pana!

— Zależy także, w jakiego pana. Bo są i tacy, co śpią na słomie i zębami wszy rozgryzają. Z wierzchu noszą kamizelkę, a koszuli pod spodem nie mają. Okryje tylko pierś kawałkiem płótna, i już — ubrał się. A niejeden to taki głodny, że chętnie by makuchy jadł — powiedział Proć, który niegdyś służył w pańskim dworze.

— Byłem jeszcze u sekretarza w sprawie tego pastwiska. Jakieś mi tam głupstwa gadał: „Lepiej by, mówi, chłopi w waszej wsi mniej tych gazet przez pocztę sprowadzali. To oszustwo! Chłopów, mówi, jest bardzo dużo. Jak tylko dwudziesta ich część da po jednym lewie * za gazetę, to zbiorą się grube tysiące i wszystko na darmo, na próżno. Taki paniczyk, mówi, sam wszystko powypisuje, zamydli oczy, podsmaruje, przygładzi, a chłopi — durnie, mówi, czytają i oblizują się, że pańska ziemia ludziom się dostanie.

— A wyście pewnie stali i potakiwali? — zapytał młody radny, Petro Antonow.

— A co, do bicia się będę brał za jakiegoś tam oszusta, który ludzi tumani! Dobrze mówił ksiądz z Gruszewy, że ludzie dają się podjudzać różnym kryminalistom, a potem — mówi — przyjdzie co do czego, wtedy oni się ukryją, a głupi chłop będzie siedział w areszcie. Mało to ludzi pokrwawili i pokaleczyli?! Nie lubię tylko, jak mi kto wtyka nos w moje sprawy. Czy to ja zaprzedałem gromadę czy

* Lew — pieniądz austriacki.

zdradziłem? Czy ja się pcham na wójta? Wybierajcie sobie — kogo chcecie, nic mnie to nie obchodzi!

— Wy byście się pchali, ale my krzyczymy: precz! Wy byście jeszcze i dzieciom kiełbasy * do domu przynieśli — mówił Petro Antonow.

— Milcz! — krzyknął wójt — milcz, bo cię każę zakuć, smarkaczu. Patrzcie no, chłopi, czy ja z nim świnie pasałem?

— Wyście mi nosa nie wycierali, a temu, co ja mówię, możecie tak samo potakiwać, jakeście sekretarzowi potakiwali.

Kłótnia zaczynała przechodzić w bójkę, więc wmieszał się stary Iwan:

— A ty, Petro, nie bądź za mądry, wiesz przecie, że młodszy musi zawsze starszemu ustąpić. Różni są ludzie, jeden nie boi się niczego, a drugi się boi. Sami wiecie, że zawsze byłem i jestem za gromadą, ale na wasze zebranie nie poszedłbym, jak Boga kocham. Jakoś tak na jesieni byłem w mieście. Spotkałem się z leśniczym, a on mi mówi: „Chodźcie na zebranie, to choć na starość zobaczycie, jak się teraz chłopi łączą". A ja mu odpowiadam: „Nie, nie pójdę. To dobrze, że się łączą, bo — jak to się mówi — kto w gromadzie, ten silniejszy, ale ja nie pójdę. Zestarzałem się, mówię, i posiwiałem, ale w więzieniu ani godziny nie siedziałem. A teraz, na starość trzeba mi tej hańby dożyć? Bo to zdaje mi się, że każde małe dziecko we wsi pokazywałoby na mnie palcem: »Patrz, wuj Iwan w areszcie siedział«. Nie pójdę, nie pójdę! Mykoła mój chodzi, a ja nie pójdę".

Stary Iwan trochę załagodził kłótnię, ale złość mimo wszystko pozostała.

— My tu gadamy i gadamy, a wy, wójcie, nie mówicie, po coście nas tu zwołali? — zapytał Iwan, aby zapobiec dalszej kłótni.

— Ja was więcej zwoływać nie będę, żebym tylko swoje odbył. Gwiżdżę na to, wybierajcie sobie smarkaczy na wójtów.

— No, no, myślicie, że my sobie wójta nie znajdziemy? My z naszej wsi na całą okolicę wójtów poślemy — nie ustępował Petro.

— Członek rady cerkiewnej chce coś powiedzieć zebranym!

Wasyl, członek rady cerkiewnej, zwrócił się do radnych:

— Nie pamiętam, czy to we czwartek, czy w piątek, przyleciał do mnie synek pisarza i mówi: „Widziałem, wujku, jak stara Roma-

* Przysłowiowa kiełbasa wyborcza.

nycha spod cerkwi deskę niosła". Poszedłem na drugi dzień do cerkwi i akurat jednej deski brakowało. To jeszcze z tych, co to z dzwonnicy zostały. Wprawdzie są już spróchniałe, ale jakże to tak, cerkiewne dobro wykradać? Pomyślcie tylko, taka stara kobieta i na cudze się złakomiła. Poszedłem do księdza i opowiadam, a ksiądz mówi, żeby na radzie ogłosić; bo jakże to tak, mówi, cerkiew okradać. Gdyby to było moje, nic bym nie powiedział, ale cerkiewnego dobra trzeba pilnować — skarżył się Wasyl.

Wszyscy radni milczeli. Kto by pomyślał, że stara Romanycha jest złodziejką? Nikt we wsi nie słyszał, żeby kradła.

Po chwili weszła Romanycha. Stara, obdarta, z umęczoną twarzą. Stanęła u drzwi i przez łzy zaczęła prędko mówić:

— Tak, gospodarze, ukradłam tę deskę, tak, ukradłam, żebyście wiedzieli, jak mój syn na starość dba o mnie. Nawet wiązki słomy nie mam w chacie. Siedzę na piecu i marznę. Dla całej wsi szyję i przędę, aż mi palce drętwieją. Oczy mi już zaropiały! Tym szyciem mogę jeszcze na jedzenie zarobić, ale na opał już ani krajcara nie mam. Oddałam synowi całą moją chatę, tylko mały kącik sobie zostawiłam, a on nawet raz na miesiąc do mnie nie zajrzy. Niechby przyszedł i zapytał: „No, czorcie czy diable, co robisz?!" Ale gdzie tam!

— No tak, ale spod cerkwi kraść? Przecież wam, babko, już niewiele życia zostało, a pamiętajcie, że i na drugi świat trzeba coś z sobą przynieść. Wyście stara, to nie każę was zamknąć ani bić, dajcie tylko jednego lewa na cerkiew i idźcie z Bogiem, ale żebym nie słyszał więcej o kradzieży!

Tak sądził wójt.

Romanycha skoczyła jak oparzona.

— Oj, wójcie, żebym nawet ukradła, to i lewa nie będę miała! Skąd mam mieć, skąd, ską-ą-d?!

— Musicie mieć — brzmiała odpowiedź.

Zapanowało milczenie. Radni wiedzieli, że starucha bieduje i że nie ma lewa przy duszy. Ale ukradła, co prawda — to prawda, i to jeszcze spod cerkwi! Już chcieli powiedzieć, żeby wypłacała po trochu, po szóstce *, po dwie, gdy naraz zaczął mówić Petro Antonow:

— Ja myślę, ludzie, że nie trzeba takiej biednej wdowy karać.

* Szóstka — drobna moneta.

Cerkiew nie zagrzeje się tym wdowim lewem. Opowiadają, że w dawnych czasach zapadały się ponoć cerkwie i na tych miejscach powstawały głębokie jeziora. Jakby tak nabrać tych krwią zapracowanych, wdowich lewów i włożyć do skarbonki, to chyba żadna cerkiew nie ostałaby się wobec tylu wdowich łez. Bo to by nie było sprawiedliwie. To cerkiew powinna staruszce pomóc, a nie zabierać jej jeszcze ten nieszczęsny lew! Byłem raz u babki w sprawie przędziwa. Wchodzę, a w chacie zimno jak w chłopskiej stajni. Na przypiecku pali się kaganek, mały jak ziarnko pszenicy i tyle tylko tego ognia w chacie. Starucha siedzi i rozciera zdrętwiałe palce. I dlatego, ludzie, myślę, że nie powinniście jej kazać płacić tego lewa.

Wójt ze złością spojrzał na Petra, a radnym jakby kamień z serca spadł. I wszyscy od razu zaczęli mówić, że nie trzeba brać od staruszki tego lewa. A stary Iwan powiedział: „Niech Bóg broni!" Kazali jeszcze wezwać syna Romanychy i stary Iwan zaczął go łajać:

— Ej, ty, człowiecze, ona dla ciebie w polu pod krzaczkiem cienia szukała. Ona ci prała i łatała i płakała, jakeś do wojska szedł, a ty jej nawet wiązki słomy nie podrzucisz? Ej, gdybym ja wójtem był, tobym cię na zawsze w łańcuchy zakuł! — mówił Iwan.

1898 r.

W DRODZE Z MIASTA

Pierwszy:

— Samego płótna zostało po śmierci więcej niż pół setki sztuczek. Takiego bogacza ze świecą szukać! Zboże po dziesięć lat leżało nie omłócone — tyle dobra było. A ile pieniędzy? Przecież nieboszczyk co rok sprzedawał parę wołów za czterysta lewów. Gdzie szły te pieniądze, gdzie szło to całe dobro? I nie wiadomo, kto ręce przy tych pieniądzach zagrzał. Przyszła śmierć — i wszystko musiał zostawić.

— Pamiętam, przychodziliśmy do niego z kolędą. Kolędujemy, kolędujemy, a on z chaty wychodzi i: „Proszę, braciszkowie, do chaty, chcę się wam ładnie odwdzięczyć za kolędy". Wchodzimy do chaty, sadza nas za stołem i mówi: „Czym chata bogata, tym rada. Gdybym nie był wdowcem, toby żona wszystko przygotowała jak należy, a teraz żona, świętej pamięci, w grobie leży, więc wybaczcie". I sam nas częstował. Rozkładał — pamiętam — bochny chleba duże jak kamienie młyńskie, a białe jak śnieg. Słoniny naznosił grubej na pięć palców. Takiej teraz i w sklepach mięsnych nie ma. A wódki ile było, choć kąp się w niej! Więc pijemy, jemy, a on tylko częstuje jak na weselu: „Pijcie, bracia, jak nie starczy, to jeszcze przyniosę. Pijcie, mam tego dosyć. Pijemy więc i śpiewamy staruszkowi:

Bądźże nam zdrów, panie Maksymie, w niedzielę,
W niedzielę rano zielone wino sadzone.
Życzymy tobie szczęścia i zdrowia w niedzielę,
W niedzielę rano zielone wino sadzone.
Zacny i wielki i Bogu miły, w niedzielę...

Gdyśmy skończyli śpiewać, wtedy on do nas przypijał i łzy ocierał. „Jak moja żona żyła, mówi, toście i jej kolędowali, a teraz nie ma komu kolędować i nie ma kto mnie staremu koszuli wyprać. Nie wiem, mówi, w jakim kącie lec, gdzie swą głowę położyć".

A nam, wiecie, łzy się do oczu cisną, jak zaczął tak o swym sierocтwie opowiadać.

Nieraz siedzieliśmy tak u Maksyma i trzy godziny nawet. Jak zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, to nas nie wypuszczał. „Wszystkiego, mówi, mam dosyć — i jedzenia, i picia, jak to się mówi: i chleb i do chleba, zostańcie jeszcze; wierzcie mnie staremu, gdy umrę, nie będziecie się więcej w tej chacie bawić. Gdy tylko zamknę oczy, to mój Tymofij wszystko przepuści — wszystko do ostatka. Ja za stary, mówi, żeby kłamać, a wy młodzi jesteście, dożyjecie, to zobaczycie". No i widzicie — tak się też stało, jak nieboszczyk przepowiadał.

D r u g i:

— Opowiadała w polu żona zakrystiana, że nieboszczyk nie lubił do karczmy chodzić. Tylko, mówiła, raz albo dwa razy do roku wkładał pas, chował do kieszonki w pasie piątaka i jazda do karczmy! Choć nie lubił tam zaglądać, ale jak już przyszedł, to nawet sroki i wrony piły — pił każdy, kto chciał! A kiedy późno po północy wracał dobrze podpity, wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że to Maksym do domu wraca. Nieraz stawał przed swoją bramą i krzyczał: „Sierotom, biednym zapiszę, a jemu nawet nitki nie zostawię!" I na przyzbie siadał. Pijany nigdy do chaty nie wchodził. Czy lato, czy zima — zawsze na przyzbie spał. Opowiadają, że ponoć nachodziło go tam złe i męczyło. Siedzi on tak na przyzbie, stęka, stęka jak zwierzę i naraz jak nie skoczy, jak nie zacznie biegać dookoła chaty i krzyczeć: „Bandyci, złodzieje, dlaczego rozkradacie moją pracę?!" Nagle łapie kij i biegnie dookoła swojej zagrody jak pies za złodziejami. Patrzę, a on znowu na przyzbie drzemie, a za minutę znów tak się drze, aż uszy puchną. „Szynkarzu, ej, ty! Po co krowę z obory wyprowadzasz?! Uważaj, bo duszę z ciebie wytrzęsę!" I znowu biega po gumnie jak zwariowany. Żona zakrystiana opowiadała, że go tak przez całą noc nosiło i męczyło. Spał sobie na przyzbie i przez sen krzyczał: „Patrz, patrz, już na licytacji sprzedają, opieczętowują, już w bęben walą, zwołują ludzi!" To widać prawda, że on jeszcze za młodu duszę diabłu zaprzedał. A bydło tak umiał obrządzać, że jego krowy dawały pełne dojnice mleka.

T r z e c i:

— Pamiętam, niedługo po śmierci Maksyma zachorował mi chłopak. Myślę sobie: „Trzeba jakiegoś lekarstwa poszukać, może umrzeć,

a nie wiadomo, w czym go pochować i za co". Tom poszedł wtedy do naszej znachorki Kasijanychy. Przyszła, a jakże, poszeptała coś nad małym i, wiecie, gdzie ta poczta stoi — tam siadła i zaczęła opowiadać. Chodzi po całej wsi, to wie, gdzie i co się dzieje. I opowiada żonie: „Na tydzień przed śmiercią był u mnie Maksym". To i ja słucham. „Pomyślcie, mówi, nie świtało nawet jeszcze, jak przyszedł. Usłyszałam, że drzwi skrzypią, poderwałam się i myślę: Na pewno poród u kogoś. Patrzę, a to stary Maksym. — Śpisz jeszcze, babko — niby mówi do mnie nieboszczyk — a toć już przecie dzień na dworze. — Co ty gadasz, jaki tam dzień! — Siadł na ławę, a wygląda tak, jakby go coś odmieniło. Ty — mówi nieboszczyk — jesteś przecież znachorką, wytłumacz mi taki sen. Akurat o północy, mówi, przyśniło mi się, że wychodzę jakby z chaty na dwór, a od południa idzie czarna chmura, szarosina po brzegach! — Myślę ja: „Zaraz grad spadnie, biada mi, całe zboże wybije!" Poszedłem do sieni, wyniosłem łopatę i pogrzebacz i położyłem na krzyż. Tylkom to zrobił, a tu patrzę, woda zza węgła tryska. Stoję i dziwuję się. E-e woda i zza drugiego, i zza trzeciego, i ze wszystkich stron strumieniem bije! Nastraszyłem się, patrzę na klepisko, a tam wody pełno jak na łąkach w czasie powodzi. Chwyciłem za łopatę i niby to tę wodę do stawu spuszczam, a ona już snopy mułem oblepia, stajnię podmywa. Odrzucam więc snopy, cały mokry od potu i — tu się przebudziłem! Jesteś znachorką, wytłumacz mi sen, mówi, co znaczy ta woda? I Kasijanycha mówi: Com powiedziała, tom powiedziała, a w tydzień potem umarł". Ot, wiedźma! Maksymowi tak pomogła jak i memu chłopcu. Niech no ją tylko spotkam, wytłukę jak psa. Pieniądze wzięła i wódkę piła, a chłopca w trzy dni potem pochowaliśmy!

Pierwszy:

— Widocznie był wróżem, bo sprawdziło się wszystko, co przepowiedział. Przez jego obejście jakby woda przepłynęła: ni ziarna, ni krowy — Tymofij wszystko przehandlował. Całe gospodarstwo jakby woda zabrała.

Drugi:

— Już za życia poczuł złość do syna i dobrego słowa nigdy mu nie powiedział — ten zaś jak się do majątku po śmierci ojca dobrał, to tak naplątał, że końca temu nie widać. Banki, weksle jakieś, szyn-

karze i licho wie co. Zniszczony do cna. Wiadomo przecież, że Tymofij nie pije, a tak jakoś wszystko mu się w rękach rozłazi. Bóg jeden wie...

T r z e c i:

— A słyszeliście to, jak się Tymofij z żoną wadzi? Dobije ją chyba. Jakoś jeszcze na jesieni przyjechała do niego komisja z banku i mówią: „Albo pieniądze, albo puszczamy cały dobytek pod młotek" *. Kręcił się, wiercił, aż do żoninej części się dobrał. Głupia baba, że u notariusza podpisała, że dała swoją ziemię sprzedać. Mówią, że dostała jakiś tam weksel, a teraz jej ten weksel bokiem wyłazi..

P i e r w s z y:

— Oj, naprawdę durna! Druga żona i dzieci nie ma... Niechby się mężowi przytrafiło coś złego, wtedy idź, babo, w świat! Dzieci pierwszej żony zaraz ją wypędzą. A potem szukaj swego prawa, nie wiadomo gdzie i jak!

D r u g i:

— A ona, wiecie, dała ten weksel bratu. Jak przyszedł czas płacenia, to zaczęli naciskać. I teraz, nie daj Bóg, co tam się dzieje! I ptak na chacie nie siądzie! Gdy się dowiedział, że weksel już w mieście, przyleciał, nie wyprzęgając koni wpadł do chaty i zaraz do żony: „Gdzie weksel?" — pyta. „Oj, bratu oddałam!..." — „Kto jest twoim mężem — brat, czy ja?" I tak bił, że jej żebra poprzetrącał. Po prostu się wściekł. — „Kładź, mówi, głowę na próg, odrąbię ci ją; ty wilgotną ziemię będziesz gryźć, ja na szubienicę pójdę, a dzieci będą szynkarzom wodę nosić!" Prosiła i błagała: „Oj, mówi, mężulku, żebym od ciebie choć jedno dzieciątko miała, a tak, jeśli się tobie coś przydarzy, to ja będę kukać po cudzych kątach!" — „Będziesz ty, mówi, kukać jak głucha kukułka, aż cię do grobu zagonię". I poszli spać — ona przy ścianie, a on z brzegu. Co chwila zrywał się i walił ją tak, że podobno tylko mokre miejsce zostało. Rano chciała uciec, to ją złapał, związał i butami jak glinę tłamsił. Nie daj Boże takiego męża!

* Na licytację.

Trzeci:

— Wściekł się chłop — i koniec! A potem rozwiązał ją i kazał się ładnie ubrać. Pójdziemy, mówi, do cerkwi. I tak pobitą ciągnął ją ten potwór aż na drugą wieś. Opowiadają ludzie, że gdy w cerkwi serdak zdjęła, to koszula na niej cała we krwi była. Otoczyły ją baby i pytają, co się stało? A ona, biedulka, w płacz! Wszyscy patrzyli na nią jak na dziwo. Wreszcie Tymofij wstał i: „Żono, mówi, marsz do domu!" Tak się modlili! Jak oni do domu wracali, Bóg jeden wie.

Pierwszy:

— Tak ludzie lecą w dół, jakby ich jakiś wir wciągał!

Drugi:

— Nieboszczyk Maksym jakby przewidział. Patrzcie, jak z wodą spłynęło całe jego bogactwo. A z ran na plecach jego synowej krew tryska strumieniem...

Trzeci:

— Tyle wiedział, co i my. Jakby to nasze gospodarstwa nie rozsypały się w proch, tylko Maksyma! Ojciec wasz miał jeszcze i ziemię, i woły, a wy już na służbę chodzicie.

Drugi:

— Tak, tak bywało, no a teraz... kiedy to się skończy! Kiedy, kiedy?

— O, dom już widać! Język miele to i tamto, a nogi niebogi chodzą! A dokąd wy jutro idziecie?

Pierwszy:

— Do dworu!

Drugi:

— A ja do tego parszywego szynkarza, niechby go pokręciło! Jeszcze latem od niego pożyczałem.

Trzeci:

— Ja idę do księdza.

1898 r.

RODZINA ŁESIA

Łeś swoim zwyczajem ukradł żonie trochę jęczmienia i niósł do karczmy. Nie szedł, lecz biegł do szynkarza i ciągle się oglądał.

— Oho, leci, i to jeszcze z dzieciakami. A żebyście kark skręcili! Byle tylko zdążyć do karczmy, bo rzuci się zaraz na mnie i znowu będzie krzyczeć na całe gardło!

I z workiem na plecach puścił się pędem naprzód. Ale żona z dziećmi dopędziła go i prawie przy samych drzwiach karczmy uczepiła się worka.

— Oj, nie leć, poczekaj, nie rozgrabiaj mojej pracy, nie zabieraj dzieciom resztek!

— Ach, ty podła, znowu robisz zbiegowisko na całą wieś, wstydu nie masz za grosz!

— Przy takim mężu nie wstydziłam się i nie będę się wstydzić! Oddaj worek i idź do diabła! A jak nie oddasz, to cię tu bić będziemy, na środku wsi! Będzie ci wstyd przed całym światem! Oddaj!

— Czy ty, stara poczwaro, zwariowałaś? Ja cię tu razem z twoimi bachorami pozabijam!

— Andryjko, synku, wal po nogach, wal po nogach, żeby waszego chleba po karczmach nie roznosił! Bijcie tak, żeby nogi pokaleczyć. Na kalekę to jeszcze zarobimy, ale na pijaka nie damy rady!

Tak mówiła do swoich synków, którzy stali z kijami w rękach i bojaźliwie patrzyli na ojca. Andryjko miał dziesięć lat, Iwanko około ośmiu. Bali się podejść do ojca i bić go.

— Bij, Andryjko, ja będę trzymała za ręce. Wal po nogach, po nogach.

I uderzyła Łesia po twarzy. Oddał jej tak, że krew pociekła. Wtedy podbiegli malcy i zaczęli okładać ojca kijami po nogach.

— Mocniej, syneczku, połam mu nogi jak psu, żeby je musiał wlec za sobą!

Spluwała krwią, czerwieniła się z wysiłku, ale trzymała męża za ręce.

Dzieci ośmieliły się, podbiegały jak szczenięta, biły po nogach, odbiegały i znowu biły, śmiejąc się rozbawione.

Z karczmy wybiegli ludzie.

— Ej, od niepamiętnych czasów nikt czegoś takiego nie widział! Popatrz, jak biją, a jeszcze mleko pod nosem mają! Wstyd przed całym światem.

Chłopcy bili, jakby rozum postradali, a Łeś i Łesycha skrwawieni stali w osłupieniu.

— Ej, chłopaczki, toć wy się naderwiecie koło ojca!

— Poszukalibyście sobie dłuższych kijów, żeby lepiej dosięgać.

— Bijcie ojca po łbie, po głowie, po ciemieniu!... — wykrzykiwał ktoś przed karczmą.

Łeś rzucił worek na ziemię i stał jak ogłupiały. Nie spodziewał się takiej napaści i nie wiedział, co robić. W końcu zrzucił z siebie serdak i zwalił się na ziemię.

— Andryjko, Iwanko, chodźcie, bijcie, nie dotknę was. Mali jeszcze jesteście, ciężko wam tak ciągle podbiegać. No, bijcie!

Malcy stali z daleka i ze zdziwieniem patrzyli na ojca. Potem rzucili kije i patrzyli na matkę.

— Czemu nie każesz im bić, popatrz, leżę — bijcie!

Łesycha zaczęła wrzeszczeć:

— Ludzie dobrzy, czym to ja winna? Zdzieram się na pańskich polach, razem z dziećmi o suchym chlebie żyję, a wszystko co zarobię, on do karczmy taszczy. Ludzie dobrzy, ja przez niego nic zarobić nie mogę, boję się wyjść z chaty. Do nędzy nas doprowadził, już nawet podartej koszuli nie mamy na grzbiecie. Co tylko złapie, wszystko w karczmie za wódkę oddaje. Nie mam siły pracować i na dzieci, i na szynkarza. Niech robi co chce, a ja już więcej nie mogę!

— No, bijcie, palcem was nawet nie tknę!

— Żeby cię Bóg skarał, mężu, za to, żeś nam życie złamał, żeś dzieci osierocił! Tak nas bijesz, że ciągle w sińcach — jak woły w jarzmie — chodzimy. W chacie nawet garnuszka utrzymać nie mogę — wszystko potłuczesz. Ile razy z dziećmi na mrozie nocowałam, ileś szyb potłukł? Co tam z tobą gadać! Niech cię Bóg skarze za mnie i za dzieci! O, taką jam sobie dolę u Boga wyprosiła...

Ludzie dobrzy, nie dziwujcie się, wy jeszcze nie wiecie wszystkiego...

Zarzuciła worek na plecy i wlokła się do domu z dziećmi jak postrzelony ptak.

Łeś leżał na ziemi i nie ruszał się.

— Dobrze, pójdę do więzienia, pójdę na lata. Czegoś podobnego jeszcze nikt nie słyszał i nie usłyszy. Już ja coś takiego zrobię, że ziemia zadrży!

Leżał i groźnie pogwizdywał.

. . . . . .

Łesycha wszystko z chaty powynosiła, pochowała u sąsiadów i poszła z dziećmi spać do ogrodu w burzany: bała się, że Łeś przyjdzie w nocy pijany. Podesłała dzieciom worek, otuliła je kożuchem, a sama narzuciwszy serdak stała nad nimi nieruchomo.

— Dzieci, dzieci, co robić? A to ja wam dziś na całe życie nawarzyłam! Pomrzecie i nie wyzbędziecie się hańby. Nie potrafię ja dla was tego wymodlić.

. . . . . .

Płakała i słuchała, czy Łeś nie nadchodzi.

Na niebie drżały gwiazdy. Jedna z nich spadła. Łesycha przeżegnała się.

1898 r.

KATRUSIA

Gdy Katrusia wracała do przytomności, siadała koło niej matka i smutno mówiła:

— Katrusiu, długo ty jeszcze będziesz chorować, biedaczko? Skończyły się pieniądze, a teraz — choćby człowiek pracował nie wiem ile, to i tak nie zarobi — żebyś choć prędzej wyzdrowiała! Wszystkie pieniądze znachorkom pozanosiłam, a tobie nic po tym... Prawda, odgadła znachorka wszystko, co się w domu dzieje, na co chorujesz, ale jej zioła nic nie pomagają. Chyba nie ma dla ciebie ratunku...

Katrusia leżała na wznak. Wychudłą dłonią wodziła po twarzy. Paznokcie były tak niebieskie jak jej oczy i zdawało się, że po twarzy Katrusi błądzi wiele niebieskich oczu dziwnych i błyszczących. Wszystkimi tymi oczami dziewczyna patrzyła na matkę i potakiwała jej żałosnym skargom.

— Oj, nie ma, dolo ty moja, oj, nie ma! I ojciec też już całkiem zmordowany. Głowę sobie suszy, za co cię pochowa, gdy umrzesz. Jak popatrzy na ciebie, to aż czernieje z rozpaczy. Już się wszystko, Katrusiu, skończyło. Zostało na dnie trochę mąki, a w chacie ani ziarenka, ani grosza złamanego. Gdy umrzesz, to my chyba w świat pójdziemy. Niechby ci choć Bóg do jesieni dożyć pozwolił... Oj, córko, córko, a toś sobie i nam ręce związała!

Matka zaczęła rozczesywać Katrusi włosy.

— Gorąca jesteś ciągle jak ogień, a kaszlesz, że nie daj Bóg! Nie można ci ani koszuli włożyć, ani cię uczesać, ani umyć. Panie Boże, jak ciężko, jak my cierpimy! Proszę Boga, abym choć połowę tej męki mogła na siebie wziąć, i nie mogę go uprosić.

Łzy matki kapały na włosy Katrusi i wsiąkały jak woda w piasek.

— Co to się z tobą stało? Taka byłaś ładna, taka pracowita, że dru-

giej takiej w całej wsi szukać! Nacieszyć się tobą nie mogliśmy, myśleliśmy, że nam z tobą lżej będzie, a tu widzisz, jak lekko! Gdyby choć można było zjeść lepiej, a nie tak jak my — na samych kartoflach schniemy. Tyś już całkiem zmizerniała! Oj, jak ciężko żebrać po chatach o mleko, tyle już progów wydeptałam, że wstyd mi ludziom w oczy patrzeć.

Matka zaplotła warkocze.

— I sama nie wiem, po co ci kwiatów nakupiłam? Wyrzuciłam dwa lewy jak w błoto! Już chyba cię tymi kwiatami na śmierć ustroję.

Zapłakała.

— Dajcie, popatrzę na nie.

Matka dała Katrusi kwiaty — niebieskie, białe, zielone, czerwone.

Katrusia patrzyła, słaby uśmiech wykwitł na jej ustach, a od kwiatów błądziły po jej twarzy niebieskie, białe, zielone i czerwone blaski.

— Daj tu prędko, słyszysz, ojciec idzie — powie jeszcze, że wciąż ci głupstwa w głowie.

*

Położyli Katrusię na furze, aby ją zawieźć do doktora. Matka płacząc wsunęła jej pod głowę poduszkę.

— Ech, lepiej już umrzeć, niż wozić was po doktorach. Żebyście pozdychali wszyscy, tobym was od razu pochował i miał święty spokój! — Ojciec trzymał lejce i w rozpaczy wyrywał sobie włosy z głowy.

— A ty, niebogo, pamiętaj, jak ja po próżnicy pieniądze na doktorów wydam, to skończę z tobą! Ja cię bez doktora pochowam, ja sam będę dla ciebie doktorem. Skąd ja wezmę na doktorów, na apteki, na diabli wiedzą co? Oj, nie wytrzymają tego moje spracowane ręce, nie wytrzymają! Nająłem już furę, to lepiej byłoby zawieźć na cmentarz, wrzucić do grobu i pozbyć się. Panie Boże, co to mnie dziś spotkało!

— Ej, ty szkapo zdechła, ciągnij! — zdzielił konia batem i wyjechał za wrota.

Na ulicy Katrusia przypatrywała się wszystkiemu ciekawie. Od

jesieni przybyło tu dużo nowych rzeczy. Wuj Semen postawił płot, dziadek Mykoła świeżo pokrył stodołę. Katrusia zapomniała o ojcowym łajaniu i rozglądała się na wszystkie strony.

Ludzie na polach orali i sieli, a nad nimi skowronki wywodziły swe trele. Czarne bruzdy rysowały się w słońcu.

Katrusia zarumieniła się i myślała: „Cała moja nadzieja w Bogu, może stanę na nogi i nie stracę wiosny. Od razu wezmę się do roboty... Boże, ześlij mi ocalenie"!

Wierzyła, że nie przepadnie jej wiosna. Ojciec siedział na przodzie i długo milczał. Wreszcie odezwał się:

— O, dzień jak złoto, a ty włócz się, człowieku, po doktorach! Powiedz mi, dziewczyno, co mam z tobą robić? Nie do życia ci i nie do śmierci. Lezę i lezę w długi i wszystko na darmo! Jak bym wiedział, jakie ci lekarstwa potrzebne, tobym szukał, a tak — co ja wiem? Prędzej byś tędy albo siędy! I tobie byłoby lepiej, i nam... — mówił do Katrusi.

Dziewczyna płakała.

— Nie masz co płakać, gołąbko, to wszystko prawda! Umrzesz, to niewielkie nieszczęście dla ciebie, tak czy tak w grobie będziesz gniła. Teraz takie łatwe życie, że lepiej umrzeć, niż zdzierać się na cudzych polach! Oj, ile ja pieniędzy już pożyczyłem, a ile jeszcze pożyczę na pogrzeb — na starość wyrzucą nas chyba z chaty! Gdybym wiedział, że nie ma dla ciebie ratunku, zaraz bym do domu zawrócił, toby przynajmniej coś na pogrzeb zostało.

Katrusia zanosiła się od płaczu i tak kaszlała, że na całym polu było słychać.

Ojciec wyciągnął z zanadrza jabłko i niezgrabnie podał je córce. Nigdy jeszcze nie dawał jej smakołyków.

— Nie płacz, córeczko, nie jestem ci wrogiem. Ja dlatego to wszystko mówię, żeby na darmo pieniędzy nie wyrzucać, bo tak to siebie zniszczę i tobie nie pomogę. Ty sama, dziecino, widzisz, że nie ma skąd. Ja bym dał sobie palec uciąć dla ciebie i nie żałowałbym. Honor mi przynosiłaś, najlepszą robotnicą we wsi byłaś, jak chłopak, jak syn najmilszy dla mnie, z całej duszy ciebie kocham, ale co z tego — widzę, że umrzesz. To pewne, że nie ma dla ciebie ratunku. Oj, niebogo, niebogo, a to będziemy biedę klepać bez ciebie... Oj, będziemy, i to jeszcze jak...

Stary umilkł.

— Oj, umrę, umrę, widzę, że nie ma dla mnie ratunku — szeptała Katrusia.

Wjeżdżali do miasta.

*

Wracali do domu, a z nimi sąsiad Mykoła.

— Takich mi rzeczy naplótł, że niech go tam! Nie nam chłopom po doktorach chodzić. Gdyby, mówi, więcej mleka piła i jakieś mięso leciuchne jadła, żeby sobie żołądek podleczyć, i chleb biały — no i co tylko jest na świecie dobrego, wszystko wyliczył. Może u panów pomogłoby, ale w naszym stanie nie pomoże. Jak zaczął mówić, to nie wysłuchałem nawet do końca. Alboby to co pomogło, gdybym nawet wysłuchał? Niechaj umiera. Niech wypije tę medycynę, co ją w aptece wziąłem, a potem albo wyzdrowieje, albo już jak sama chce...

— A wy myślicie — zaczął sąsiad — że doktorzy dają chłopu takie samo lekarstwo jak panu? Żeby tacy zdrowi byli! Co im się pod rękę nawinie, to chłopu wsuną — no i wyzdrowiej tu! Chciałoby się im dobrego lekarstwa dla chłopa szukać! Z panem są ciągle, a z chłopem co?

— Gdyby tak można poradzić się kogoś, ale tak, cóż my? Pocałuj w rękę i czekaj, aż ci każą płacić...

— Trzeba było dowiedzieć się u starej Iwanychy. Ona — widzisz — poszła do doktora i jak ją zaczął badać, wtedy mu po prostu tak powiedziała: „Oj, panie doktorze, niech mi pan da takie ostatnie lekarstwo. Jestem biedna staruszka, nie mam za co się leczyć, więc niech mi pan da ostatnie lekarstwo". Doktor patrzy na nią i mówi: „Skąd ty to wiesz?" — „Oj, mówi staruszka, skąd wiem, to już moja rzecz, a pan niech mi da receptę na ostatnie lekarstwo. Na takie najostatniejsze". Tak prosiła, prosiła i cóż myślicie? Dał. I do dzisiaj żyje...

— A mnie nie wpadło na myśl, że trzeba się popytać. Myślicie, że z panem można mówić, jak się chce? Mów raz-dwa i idź sobie!

— Poszła staruszka z tą receptą do apteki. Podała ją aptekarzowi, a sama — sprytna jest przecież — patrzy, jak on będzie robił lekarstwo. Opowiadała potem: kapnął sobie trochę tego lekarstwa na dłoń, a ono mu przez rękę samo poleciało. Ale to tylko jednemu

na sto udaje się dostać takie lekarstwo, co to po nim albo tędy, albo siędy!

— Ej, niebogo ty moja, nie dowiedziałem się u staruszki, jak się trzeba o to lekarstwo starać! A teraz pieniądze straciłem i nic nie pomoże... Źlem zrobił...

— A no, nie ma widocznie ratunku dla waszej córki. Patrzcie, jaka gorączka od niej bije! Nie ma już dla niej ocalenia, tak jak dla tego listka, co się od drzewa oderwał...

— Oj, nie ma, nie ma, i pieniądze przepadły. Żebym to choć był Iwanychy się zapytał...

— To, widzicie, zależy także, na jaką chorobę lekarstwo. Aptekarz przecież całą aptekę ma, a też umiera...

1898 r.

JESIEŃ

Dmytro naprawiał żonie buciki. Nie nakładał łat, zszywał tylko dziury. Grzech byłoby oddawać takie podarciuchy do szewca, no i z pieniędzmi krucho. A żona całkiem bosa, nie ma w czym po wodę chodzić. I dlatego Dmytro od samego rana wziął się za te buty. Obłożywszy się skrawkami skóry siedział obok ławy, naprzeciw okna, smarował nici woskiem na dratwę i zły był jak pies.

— Jak Boga kocham, wyrzucę do pieca, szurnę w ogień i pozbędę się! Skóra zeschła, stwardniała, nie można ściągnąć nitką, tylko patrzeć jak się zerwie — lepiej by to wyrzucić na śmiecie, splunąć i koniec!

Gderając tak nad tymi butami Dmytro mimo wszystko naprawia je starannie. Przeciąga nitkę przez skórę i trwożnie ogląda — czy się aby nie zerwie. Dlatego też robota szła wolno i Dmytro się złościł.

Żelazo się przetrze, a co dopiero skóra, co tam gadać! Cztery lata temu kupione, cztery lata będzie na jesieni, już czas! Ale tę zimę chyba wytrzymają.

Naprawiał, złościł się i ze sto razy chciał je wyrzucić do pieca albo na śmiecie.

Dmytrycha siedziała na pryczy i naprawiała podarte koszule.

„Podarły się w strzępy. Konopi nie można posiać. Nawet na żyto za mało ziemi, płótna się nie kupi, bo w domu ani grosza — dojdzie do tego, że nago będziemy chodzić. Położę łatę w jednym miejscu, to w drugim się drze. Jakby tak nie prać, może by się nie darły. Już ich nawet nie piorę, jak się należy, ale co tam, pajęczyna zostanie pajęczyną. Bóg jeden wie, jak je naprawiać, z której strony zacząć?“ — Tak myślała Dmytrycha siedząc nad

stertą łachów i z uwagą wpatrując się w podarte koszule. Twarz jej miała wyraz zmęczony i bezradny. Zgrzebne, podarte płótno z wyblakłymi czerwonymi haftami przypominało odzież żołnierzy wracających z wojny. A ona jak biedna siostra miłosierdzia chciała ofiarnie pomóc choćby czymkolwiek nieszczęsnym rannym.

— Zimę jeszcze jako tako przechodzimy, ale lato — Bóg jeden wie jak.

Naszywała szarą nitką łaty i myślała o swoim szarym życiu.

Na piecu leżała matka Dmytra — drobniutka staruszeczka, nie większa od dziesięcioletniego dziecka — i bezustannie kaszlała.

— Boże, Boże mój, ześlij mi śmierć, abym już nie cierpiała tak bardzo! Już chyba odpokutowałam wszystkie grzechy, jakie popełniłam... Tacy, do których życie należy, umierają i zostawiają majątek, a ja jak twardy kamień, co to go nikt rozłupać nie może. Boże, Boże, za co ty mnie karzesz?

I kaszlała tak, jakby się jej obrywały wnętrzności.

Koło babki siedziały dzieci. Gdy siniała i zanosiła się od kaszlu, patrzyły ciekawie i wskazywały ją palcami.

— Patrz, patrz, babka już umiera.

A gdy babka przestawała kaszleć — mówiła:

— Gdzie tam, dzieciaki, śmierć zapomniała o mnie.

Ale Dmytrowi odechciało się już męczyć nad podartymi butami. Rzucił je pod ławkę i zaczął wymyślać:

— Jakbym was tak na śmierć szykował, toby mi lżej było. A tu ani ubrania, ani butów, ani co zjeść — można się tu u was utuczyć! Pochodźcie trochę boso, to może prędzej pomrzecie!

Siadł przy stole.

— Może byś mi tak dała co zjeść, gospodyni! Wiesz chyba, że dzisiaj nic jeszcze w ustach nie miałem!

Dmytrycha — nieśmiała i zahukana jak owca — wstała z pryczy i podała mu kartofle.

Dmytro obierał kartofle, maczał w soli i zagryzał chlebem.

— Ej, dobrze ty mi jeść dajesz... No, ale ja ci tak dam jeść, że zdechniesz, tak ci dam. Ugotowałabyś jakiego barszczu albo polewki, albo cholera wie czego... Widzisz ją, podsunie człowiekowi kartofli i udław się! A ja już ledwie nogami powłóczę!

— Co ona ci może zgotować, synku? Oleju nie ma, mąki nie ma, to z czego ugotuje?

— Skończyło się już wasze gadanie, matko. Siedźcie sobie na piecu i kaszlcie. Majątku żadnego mi nie daliście, ani wołów, ani krów od was nie dostałem, to siedźcie teraz cicho. Lepiej byście pomyśleli o tym, za co ja was teraz pochowam? Czekacie na śmierć jak kania na deszcz; ciągle tylko: „Panie Boże, ześlij mi śmierć", a potem wszystko na moją głowę...

Babka chciała zapłakać, ale zakaszlała się.

— Jak Boga kocham, ogłuchnę tu! — powiedział Dmytro.

— Ej, ty wisielcze, co tam wisisz na półce, chcesz potłuc garnki? Obyś tam zawisł na wieki...

Zaczął bić chłopca.

Dzieci piszczały, a babka ciągle kaszlała.

— Tak, na tę chatę to już chyba i ptak nie siądzie — mówił Dmytro.

— Coś ty się do dzieci przyczepił, czy to one winne, że się buty zniszczyły?

— Ty suko, napłodziłaś, napłodziłaś, a teraz jeszcze odgryzasz się za nie? Ja was tu wszystkich powyrzynam...

Chwycił buty spod ławki i zaczął bić żonę. Potem naciągnął kożuszysko i wybiegł z chałupy.

— Lepiej zdechnąć, niż tu wrócić! — krzyknął od progu.

— Idź, idź, posłuchaj o Kanadzie *, myślisz, że pojadę z dziećmi na koniec świata?... — krzyknęła za nim żona.

*

Dmytrycha paliła w piecu. Chata była pełna dymu, tak że kobieta ciągle musiała ocierać łzy. Dym wyżerał oczy.

Babka jęczała na piecu.

— Żeby tak już lato... Rozeszliby się na robotę i nie gryźliby się tu na kupie. Słonko pognałoby ich na pole, a tak to naprawdę piekło w chałupie. Panie Boże, weź mnie do siebie, sam widzisz, że nie mogę już dłużej żyć na tym świecie...

Dzieci biegały po chacie, ale gdy tylko coś w sieni stuknęło, zaraz uciekały do babki na piec. Twarze ich stawały się żałosne i znużone. Dzieci siedziały cicho jak trusie, bały się, że ojciec przyjdzie

* Słuchać o Kanadzie — słuchać rozmów o emigracji.

i będzie bił. Ale gdy Dmytro nie wchodził do chaty, znowu złaziły z pieca, by poskakać na podłodze.

Tak na klepisko spada stado gołębi. Wystarczy jednak, by człowiek skrzypnął drzwiami chaty, a one już zostawiwszy ziarno wzlatują przestraszone pod niebo.

1898 r.

NIESZCZĘŚCIE

Krowa Romanychy zachorowała. Leżała na słomie i smutno patrzyła dużymi, szarymi oczyma. Nozdrza jej drgały, skóra na grzbiecie marszczyła się, wstrząsały nią dreszcze. Była to straszna choroba, niema męka. W takich wypadkach najbardziej żałosne jest to, że zwierzę nie może przemówić, poskarżyć się.

— Już jej chyba nie do życia. Może bym i mógł czymś pomóc, ale to nie od złej krwi, tylko od niedobrego oka, bodajby ono wypłynęło. Tu nic nie można zrobić. Wszystko w ręku Boga — może was poratuje... — tak mówił Iłasz, który znał się na bydle.

— Oj, Iłaszeńka, to chyba już koniec, a jakże tu żyć bez niej? Całe życie harowałam, żeby się krowy dorobić. Gdy mąż umarł, zostałam sama — syn zmarł w wojsku — a ja ciągle w dzień i w nocy pracowałam nad siły. W długie zimowe noce przędłam do świtania, aż mi końce palców puchły, a oczy piaskiem zasypywało. Bóg jeden wie, jak mi było ciężko te krajcary składać, aż uzbierałam...

— Bo to widzicie, biednemu zawsze tak, choćby sobie ręce po łokcie urobił, to i tak nic z tego nie będzie. Już tak jest, co zrobić? Trzeba jakoś żyć...

— Oj, nie wiem, nic nie wymyślę, co robić i kto mi pomoże?

— Wybierzcie jakiś dzień, zamówcie sumę, przygotujcie poczęstunek. Albo idźcie z pielgrzymką do Iwana Suczawskiego; mówią, że to bardzo pomaga.

— O, ja już ślubowałam dać na mszę i pielgrzymkę odbyć do Matki Boskiej Zarwanickiej i do Iwana Suczawskiego.

— Toć mówię, może was Bóg wspomoże, jak mu zaufacie. Daj wam Boże wszystkiego dobrego.

Iłasz odszedł.

Romanycha usiadła koło krowy i objęła ją, jakby chciała obronić

przed niebezpieczeństwem. Dawała jej wszystko, co miała najlepszego, ale krowa nic nie chciała jeść. Patrzyła tylko na staruszkę, której serce napełniał smutek.

— Malutka moja, malutka, co cię boli? Nie zostawiaj starej babki bez łyżki mleka. Pociesz mnie choć trochę.

Gładziła krowę po łbie, pod szyją i zawodziła nad nią.

— Skąd, skąd ja wezmę pieniędzy na drugą? Palce już nie służą, nawet igły wetknąć nie mogę; jakże na starość można się krowy dorobić?

Krowa drżała. Romanycha przykryła ją swoim kożuchem i czekała na mrozie. Zęby staruszki szczękały z zimna, ale nie odchodziła.

— A może Bóg mnie tak za grzechy karze? Nieraz przez ciebie, niebogo, grzeszyłam. To na cudzej miedzy pasałam, to gdzieś dynię zerwałam, to kukurydzę odłamałam. Ale za to nikomu mleka nie żałowałam. Gdzie tylko dziecko zachorowało albo kobieta w połogu leżała — tam zaraz dzbanuszek mleka niosłam. I twarożku także niemało rozdawałam ludziom do kuleszki. Boże, nie karz tak ciężko biednej wdowy. Nigdy więcej nie tknę cudzego, tylko zlituj się nad moją krową.

Tak zawodziła nad zwierzęciem do późnej nocy. Pokrapiała wodą święconą, ale nic nie pomagało. Krowa wyciągnęła nogi na całą długość obory, wydymała boki i ryczała. Staruszka gładziła ją, obejmowała, przygadywała — ale nic nie mogła pomóc.

Przez drzwi obory wpadało światło księżyca, staruszka widziała każdy ruch krowy. Ledwo trzymając się na nogach krowa wstała i oglądała oborę, jakby żegnając się z każdym kątem. Potem upadła na słomę i wyciągnęła się jak długa. Romanycha uklękła i rozcierała zwierzę, sama nie wiedząc, co się z nią dzieje. Krowa ryknęła głośno, zaczęła wierzgać nogami. Kobiecie zrobiło się gorąco, pociemniało jej w oczach, upadła zalewając się krwią. Krowa waliła nogami i szarpała staruszkę.

Obie walczyły ze śmiercią.

1898 r.

ZDARZENIE

We wsi zdarzyło się nieszczęście. Hryć Łetiuczy utopił w rzece swoją córeczkę. Chciał utopić także starszą, ale uprosiła, żeby ją zostawił. Od czasu, jak mu żona zmarła, zaczął biedować. Nie potrafił wychowywać dzieci bez żony. Żadna nie chciała iść za niego za mąż — zrozumiałe: gdyby tylko o dzieci chodziło, ale do tego jeszcze bieda i niedostatek w domu. Całe dwa lata męczył się Hryć z małymi dziećmi. Nikt nie wiedział, jak żyje, co robi — chyba tylko najbliżsi sąsiedzi. Opowiadali oni, że Hryć prawie całą zimę nie palił w chacie, że przesiedział wraz z dziećmi na piecu.

A teraz cała wieś o nim mówi.

Przyszedł raz wieczorem do domu i zastał dziewczynki na piecu.

— Tata, daj jeść — powiedziała starsza Gandzunia.

— Mnie możecie jeść! Co ja wam dam? Macie chleb, napychajcie brzuchy.

Dał im kawałek chleba, a one rzuciły się jak głodne szczenięta na ogryzioną kość.

— Napłodziła was i zostawiła na mojej głowie, żeby ją ziemia święta wyrzuciła. Wszędzie dżuma chodzi, niech ją diabli wezmą, a do nas nie przyjdzie. Tej chałupy to nawet dżuma by się przestraszyła.

Dziewczynki nie słuchały słów ojca: mówił tak codziennie, co godzina, więc przyzwyczaiły się do tego. Jadły chleb na piecu — i żal, i strasznie było patrzeć na nie. Bóg wie, jak te cieniutkie kosteczki trzymały się razem. Tylko cztery czarne oczka były żywe i takie jakieś poważne. Wydawało się, że tylko te oczy są ciężkie jak ołów, a reszta ciała, gdyby nie one, uleciałaby z wiatrem jak piórko. A teraz, gdy dzieci jadły czerstwy chleb, zdawało się, że kosteczki chrzęszczą w ich twarzach.

Hryć spojrzał na nie, pomyślał: „trupy" i tak się przeląkł, że

aż go pot oblał. Tak mu się ciężko zrobiło, jakby mu kto kamień na piersi położył. Dziewczynki żuły chleb, a on przypadł do ziemi i modlił się, ale coś mu kazało ciągle patrzeć na nie i myśleć: „trupy".

Przez kilka dni Hryć bał się już nawet przebywać w chacie i ciągle chodził do sąsiadów; mówili, że bardzo się martwił. Sczerniał, a oczy tak mu wpadły, jakby patrzyły nie na świat boży, lecz na kamień, co mu pierś przygniatał.

Pewnego wieczoru Hryć przyszedł do domu, ugotował dzieciom kartofli, posolił i podał na piec, a gdy zjadły, powiedział:

— Złaźcie z pieca, pójdziemy w gościnę.

Dziewczynki zlazły z pieca. Hryć włożył na nie jakieś łachy, wziął młodszą Ducię na ręce, a Gandzunię za rękę i poszedł. Szedł długo przez łąki, aż stanął na górze. W blasku księżyca wiła się w dolinie rzeka jakby wielka struga żywego srebra. Hryć wzdrygnął się: błyszcząca rzeka owiała go chłodem i kamień na piersi zaciążył jeszcze bardziej. Zasapał się. Wytężając ostatki sił niósł maleńką Ducię.

Schodzili w dół ku rzece. Hryć zgrzytał zębami tak, że słychać na całej łące, a w piersi czuł ogień, który spalał mu serce.

W pobliżu rzeki nie mógł już iść wolno, zaczął biec i zostawił Gandzunię z tyłu. Biegła za nim. Hryć szybko podniósł Ducię i z całej siły rzucił ją w wodę.

Lżej mu się zrobiło i zaczął prędko mówić:

— Powiem panom sędziom, że nie było innego wyjścia; ani jeść, ani czym napalić, nie było komu poprać ani głowy im umyć, po prostu nic. Przyjmuję karę, jestem winien, pójdę na szubienicę!

Koło niego stała Gandzunia i szybko powtarzała:

— Tata, nie top mnie, nie top, nie top!

— Dobrze, jak prosisz, to nie utopię, ale dla ciebie byłoby lepiej, a ja bym tak samo odpowiadał za jedną czy za dwie. Będziesz od małego biedę klepać, a potem pójdziesz za mamkę do sklepikarza i jeszcze bardziej będziesz się męczyć. Jak chcesz.

— Nie top mnie, nie top!

— Nie, nie, nie utopię, ale Duci teraz już lepiej niż tobie. No, to idź do wsi, a ja pójdę do panów sędziów i powiem wszystko. Idź po tej ścieżynce prosto, prosto do góry, a tam jak przyjdziesz, to zapukaj do pierwszej chaty, wejdź i powiedz, że tak a tak, ojciec chciał mnie utopić, alem się wyprosiła i tu przyszła — pozwólcie mi prze-

nocować. A jutro powiedz: czy wzięlibyście mnie za niańkę? No idź, bo noc zapada.

I Gandzunia poszła.

— Gandzunia, Gandzunia, weź kij, bo jak cię pies napadnie, to rozerwie, a z kijem bezpieczniej.

Gandzunia wzięła kij i poszła przez łąkę na przełaj.

Hryć zawinął spodnie, żeby przebrnąć rzekę — po drugiej stronie biegła droga do miasta. Wlazł w wodę po kolana i zdrętwiał.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Zawrócił i poszedł w stronę mostu.

1899 r.

WIGILIA

Zsiniała, drżąca siedziała na piecu wśród sterty łachmanów i bez ustanku biła głową o ścianę. Na pryczy siedział syn staruszki.

— Gdybym nawet siebie sprzedał, to opału dla was i tak nie dostanę, a jak ukradnę, to złapią. Siedźcie na piecu, zawińcie się w co tam macie i czekajcie ciepła. Ja mam małe dzieci i też mi niebogi marnieją z zimna. Przyniosłem wam chleba, trochę wódki i starą, czystą koszulę — świętujcie po bożemu. Może jeszcze ludzie wam coś niecoś przyniosą. A głową o ściany nie bijcie; tak czy owak nic z nich nie wybijecie.

— Nie mam siły, synku, znosić takiego mrozu i chłodu. Mróz przenika do samych kości. A głową biję o ścianę, by nie zdrętwieć zupełnie.

— A spuchlizna na nogach już mniejsza?

— Nogi mi, synku, obrzmiały jak wiadra; ani ich zgiąć, ani wyprostować.

Pokazała nogi sine i błyszczące jakby ze szkła.

— Nie mam sił tak się męczyć w nocy; teraz noce są długie, takie długie, jakby się dziesięć w jedną zlało. Wszystkie modlitwy zmówię, wszystko przemyślę sobie raz jeszcze od samego dzieciństwa i nie mogę się dnia doczekać. Oj, jak smutno siedzieć samej, samiuteńkiej w takiej zimnej jaskini.

— Żeby się choć Bóg zlitował, wybawił was od tej męki i wziął jak najprędzej do siebie, żebyście tu nie gnili.

— Oj, synku, czekam tej śmierci jak matki rodzonej. Nocą w każdy kąt wpatruję się uważnie, czy jej gdzie nie widać, bo mówią, że jak się pokaże, to już niedługo przyjdzie. Ale nie pokazuje się.

— Przyjść — przyjdzie, ale kiedy? Konie czekają. Zdejmijcie no te łachy, to wam choć czystą koszulę włożę.

— Żamarznę, dziecinko, jak mnie w czystą koszulę ubierzesz. Rada jestem, żem tę na sobie zagrzała; jak to się mówi, wdzięczna swojej wszy, że się rozmnożyła, bo jak ugryzie, to skórze cieplej będzie.

— Wyście już całkiem zdziecinnieli — czy to można na Boże Narodzenie w takim brudzie siedzieć?

Włożył matce koszulę.

— Już niedługo czekać będziecie, kości wam sterczą, jakby skórę chciały przebić... byle prędzej.

— Ja także, synku, mówię, byle prędzej.

— No, świętujcie zdrowo.

— Idź już, idź, tyś przecie u pana na służbie.

Drżała z zimna na piecu i biła głową o ścianę.

— O, jakie mam dobre dziecko, przychodzi do mnie, nie zapomina. Nigdy się nie wstydzi, że matka po prośbie chodzi. Błogosławię cię, synku, żeby ci zawsze dobrze było.

I błogosławiła ręką.

Biła lekko głową o ścianę jakby z radości, że ma takiego dobrego syna.

*

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!

— Przyniosłam wam, babko, trochę kutii i placków, żebyście się za moją Marię pomodlili.

— Niech jej Bóg odpuści! Pomodlę się, kochana, za twoją Marię.

Przeżegnała się zsiniałymi rękami.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!

— Przyniosłem wam trochę pierożków, a wy zmówcie modlitwę za moją pierwszą.

— Niech jej Bóg odpuści! Pomodlę się, Andryju, za twoją Katerynę.

Szeptem odmawiała modlitwy.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków!

— Przyniosłam wam rybki, babko, a wy pokłońcie się Bogu za naszą mamę. W innych domach święto, a w naszym jakby nie-

boszczka pod obrazami leżała, taki płacz. Jeszcze w zeszłą wilię wszystko sama przygotowała do wieczerzy.

— Sierotki wy moje, pokłonię się Bogu za waszą matkę.

Dziewczynka wyszła płacząc, a staruszka zdmuchiwała pył z pieca, całowała ziemię i biła pokłony.

Dużo miseczek przynieśli ludzie staruszce.

Zapadał mrok. Babki nie było już widać. W chacie słychać tylko modlitwy szeptane na piecu.

*

Gałęzie uderzały w okna, szyby dzwoniły.

— Kolęduj mi, gruszo, kolęduj, nikt prócz ciebie nie pokoleduje w tę wigilię staruszce.

W ręku trzymała butelkę z wódką.

— Ja będę wódkę popijać, a ty śpiewaj kolędę mnie i memu synowi, nie gardzi on matką swoją...

Napiła się.

— Gdyby nie on, toby mnie chyba aż na wiosnę znaleźli, jakby już zapach z pieca na drogę doniosło.

Piła.

— Zaśpiewaj no, gruszeczko, tę babską kolędę:

Nowa radość nam nastała, jaka dotąd nie bywała,
Hen, nad polem, jasna gwiazda światu zajaśniała.

Zachrypniętym głosem śpiewała kolędę.

— Cały świat, wszystek naród kolęduje teraz i weseli się, a my z gruszeczką we dwie same. Ej, gruszeczko, teraz tę starą, dla mego Mytryja:

Życzę ci szczęścia, zdrowia, powoju.
Powiał wiatr, pochylił jawor cichutko...

Wrzeszczała, jakby z niej pasy darli.

— Tę kolędę lubił mój stary. Widzisz, stary, a ja samiuteńka, bez ciebie piję, bawię się i kolędy śpiewam. Twoja grusza ze mną

kolęduje. A z tobą nigdy już nie będę, oj nigdy... Nie twojam teraz gospodyni...

Piła.

— Oj, nie twoja! Sama, bez ciebie dałam sobie radę, sama uszyłam sobie torbę i po chałupach chodzę. Odkąd z torbą za twój próg wyszłam, odtąd jam już nie twoja gospodyni, nie mam do tego prawa.

Piła.

— A jak wyszłam, Mychajłyku, pierwszy raz z torbą na drogę, tom poczuła, jakeś ty się w grobie obrócił, słoneczka się zawstydziłam jasnego i do chaty wróciłam. Modlitwy żebracze układałam w twej chacie. Takąś ty gospodynię po sobie zostawił.

Piła.

— Teraz mnie, mężulku, we wszystkich wsiach psy znają, a ja twoim kijem je odganiam. Alem na tym żebraczym chlebie syna wykarmiła. Teraz mi jeść przyniósł i koszulę na grzbiet włożył, nie stroni od swej matki. Za niego, mój stary, wszystkie grzechy powinny ci być odpuszczone, za niego jednego. Bo za mnie łaski u Boga nie dostąpisz.

Wypiła.

— No, stary, ja już pijana jestem, alem nie rozrzutna! Jakbyś mnie teraz zobaczył, uradowałaby ci się duszyczka. Och! Waliłby mnie i biłby! Wziąłby za włosy, głowę — między kolana i szyję by mi skręcił. Bij żebraczkę, ona twoją pamięć z torbą po świecie rozwlokła. Bij jak psa, bij, żeby ci do chaty żebraczych kęsów nie znosiła!

Dopiła resztki.

— Weź swoją żonę, mężulku, i o tak, porządnie za włosy chwyć żebraczkę...

Biła głową o ścianę jak szalona.

— O tak, o tak, niech zginie ta torba dziadowska!

1898 r.

KAMIENNY KRZYŻ

I

Odkąd pamiętano we wsi, Iwan Diduch miał zawsze tylko jednego konia i mały wózek z dębowym dyszlem. Wciągał na siebie parcianą uprząż, a na konia, którym kierował lewą ręką, nakładał rzemienne postronki.

Gdy wieźli snopy z pola lub nawóz na pole, napinały się im mięśnie jak struny, a postronki jednakowo wyprężały się, gdy ciągnęli pod górę, i jednakowo wlokły się po ziemi, gdy zjeżdżali z góry.

Koń wdrapywał się na wzgórze powoli, jak po lodzie, a Iwanowi, który z nim razem ciągnął, żyły tak bardzo nabrzmiewały na czole, jakby go ktoś trzasnął pałką po łbie. A kiedy szli z góry, to zdawało się, że Iwan niby za jakieś wielkie przewinienie chce prawą ręką zarzucić sobie konia na plecy. Jego wyprężoną lewą rękę oplatała sieć ciemnych żył — niby stalowy łańcuch.

Często przed wschodem słońca szedł Iwan polną drogą. Nie naciągał wtedy postronków, szedł z prawej strony podtrzymując dyszel pod pachą. Po nocnym odpoczynku i on, i koń stąpali raźno i rześko. Kiedy droga wiodła z góry, biegli pozostawiając za sobą ślady kół, kopyt i szerokich pięt Iwana. Przydrożne trawy i chwasty chwiały się na wszystkie strony, pochylały się za wozem i roniły na te ślady kropelki rosy. Czasem przy zjeździe z góry Iwan wpierał się nogami mocno w ziemię i wstrzymywał konia. Siadał potem przy drodze, ujmował rękami stopę i śliniąc, starał się znaleźć miejsce, w którym utkwił cierń.

— Trzeba by tę nogę motyką skrobać, a nie ślinić — mówił gniewnie.

— Ej, Iwan! Batem konia popędzaj, niech darmo nie żre owsa! — kpili z Iwana sąsiedzi widząc go w uprzęży.

Ale Iwan od dawna przywykł do drwin i dalej spokojnie wydłubywał cierń, a gdy mu się nie udawało, pięścią wbijał go głębiej i podnosił się mówiąc:

— Nie bój się, zgnijesz i sam wyleziesz, nie mam czasu bawić się z tobą.

W wiosce zwano go „Iwan Przełamany". Miał jakiś uraz w krzyżu i chodził stale zgięty, jak gdyby żelazne haki ciągnęły jego tułów do ziemi. Zawiało go kiedyś.

Gdy wrócił z wojska, nie zastał ani ojca, ani matki, tylko na wpół rozwaloną chatę. Ojciec zostawił mu jako cały majątek kawałek pola na wzgórzu, była to najlichsza ziemia we wsi. Baby wybierały piasek z tego wzgórza, które, niby straszliwy olbrzym, patrzało w niebo szeroko rozwartymi dołami i pieczarami. Nikt tam nie orał, nie było ani miedzy, ani ścieżki. Jedynie Iwan zaczął kopać i obsiewać swoją część. Razem z koniem zwoził na wzgórze nawóz, a na sam szczyt dźwigał go w worku. Czasem z góry leciał na leżące niżej pola jego donośny krzyk:

— Ej, jak cię trzasnę, rozlecisz się na strzępy; takiś ciężki!

Ale jakoś nigdy nie trzasnął — żal mu było worka i ostrożnie spuszczał go z pleców na ziemię. Raz wieczorem, po powrocie do domu opowiadał żonie i dzieciom:

— Słońce piecze, niby ogniem sypie, a ja z nawozem pełznę na czworakach pod górę, skóra złazi mi z kolan, spod każdego włoska płynie pot, a w gardle słono i gorzko. Ledwie wdrapałem się na wzgórze, a tam powiał na mnie wiaterek, ale taki leciutki, leciutki. I patrzajcie — jak zaczęło mnie zaraz w krzyżach nożami dźgać, myślałem, że skonam!

Od tego czasu Iwan zaczął chodzić zgięty w pasie i ludzie przezwali go „Przełamanym".

Jednak wzgórze, które nabawiło go kalectwa, dawało również korzyści. Wbijał tam kołki, ciągnął kawały twardej darni i okładał pole, aby jesienne i wiosenne deszcze nie zmywały nawozu i nie unosiły go do rowów. Życie swe oddawał temu wzgórzu.

Im więcej się starzał, tym ciężej mu było, zgiętemu, schodzić z góry.

— Takie pieskie wzgórze, spycha w dół na złamanie karku!

Czasem, gdy zachodzące słońce zastawało Iwana na szczycie, cień jego padał daleko na pola i łącząc się z cieniem wzgórza wyglądał

jak zgięty w pasie olbrzym. Iwan wskazywał wówczas na niego i mówił:

— To ty mnie, braciszku, zgiąłeś w pałąk. Ale póki mnie nogi noszą, musisz mi rodzić chleb.

Na innych kawałkach pola, które Iwan kupił za przyniesione z wojska pieniądze, pracowali żona i synowie, on dbał tylko o wzgórze.

Iwana znali jeszcze z tego, że do cerkwi chodził raz w roku na Wielkanoc, i z tego, że musztrował kury. Tak je nauczył, że żadna z nich nie ważyła się rozgrzebywać nawozu w obejściu. Jeśli która grzebnęła tylko łapką, kończyła żywot pod ciosem łopaty albo kija. Choćby Iwanycha leżała krzyżem — nie pomogło.

Iwan wyróżniał się jeszcze tym, że nigdy nie jadł przy stole, tylko na ławie.

— Parobkiem byłem, potem dziesięć lat w wojsku; stołu nie znałem, to i nie smakuje mi jadło na nim.

Taki dziwak był z tego Iwana w obyczajach i przy pracy.

II

Zebrało się w chacie Iwana pełno gości — gospodarze i gospodynie. Iwan sprzedał wszystko, co posiadał: synowie z żoną postanowili jechać do Kanady i on, stary, musiał im w końcu ustąpić.

Iwan zaprosił całą wioskę.

Stał przed gośćmi, w prawej ręce trzymał kieliszek wódki i jak skamieniały, nie mógł słowa wymówić.

— Dziękuję wam, sąsiedzi, żeście mnie uważali za gospodarza, a żonę moją za gospodynię...

Nie mógł dokończyć i nie mógł pić — patrzył tępo przed siebie i — jakby modląc się — każde słowo potwierdzał kiwnięciem.

Tak czasem potężna fala wytoczy z głębiny wodnej ciężki kamień, wyrzuci go na brzeg — i leży tam wielki, bezduszny. Słońce wykrusza z niego kawałki mułu, zapala na nim malutkie fosforyczne gwiazdki. Migocze kamień martwym odbiciem wschodów i zachodów, patrzy kamiennymi oczyma na płynącą wodę i żal mu, że nie uciska go ona, jak uciskała przez setki lat. Spogląda z brzegu na wodę jak na utracone szczęście.

Tak spoglądał Iwan na ludzi. Potrząsał siwymi włosami jakby grzywą wykutą ze stalowych nici i ciągnął dalej:

— Z serca wam dziękuję i niech Bóg da wam wszystko, czego pragniecie. Daj wam Boże zdrowie, dziadku Mychajło... — podał mu kieliszek, ucałowali sobie wzajemnie ręce.

— Kumie Iwanie, daj wam Bóg pożyć jeszcze na tym świecie, niech pan miłościwy szczęśliwie doprowadzi was na miejsce i pomoże, abyście znów zostali gospodarzem.

— Żeby Bóg doprowadził... Gospodarze, proszę, bierzcie, jedzcie... Myślałem, że posadzę was tu za stołem na weselu syna, a wyszło inaczej... Takie czasy nastały... Czego dziadowie i ojcowie nie znali, my musimy poznać. Wola boska! Częstujcie się, gospodarze, i darujcie, jeśli co złego...

Nalał kieliszek i podszedł do kobiet siedzących przy drugim końcu stołu.

— Tymofiicho, kumo — za wasze zdrowie. Jak na was patrzę, to mi się młode lata przypominają. Gdzie to one, gdzie? Byliście zdrową dziewuchą, robotną, a w tańcu toście się kręcili jak czółno! Gdzie się podziały nasze lata, kumo? A no, wypijcie i darujcie, że na starość wspomniałem o tańcach. Proszę was, proszę...

Zerknął na swoją płaczącą żonę i wyciągnął zza pazuchy chustkę.

— Ej, stara — masz, weź i wytrzyj się porządnie, żebym tu żadnych łez nie widział! Gości częstuj, a popłakać zdążysz, jeszcze się tak napłaczesz, aż oczy wypłyną.

Kręcąc głową odszedł do mężczyzn.

— Coś bym wam powiedział, ale lepiej przemilczę... Uszanuję obrazy w chacie i was, kochani. Ale nie daj Boże nikomu mieć babski rozum. Sami widzicie, jak płacze, a przez kogo płacze? Przeze mnie? Czy to ja ciebie na starość wyrzucam z twojej chaty? Milcz, nie chlipaj, bo ci oberwę te siwe warkocze i pojedziesz do Ameryki ostrzyżona!

— Kumie Iwanie, zostawcie żonę w spokoju, ona przecież nie jest dla was ani dla dzieci wrogiem, tylko jej żal swojej wioski.

— Tymofiicho, kumo — jak nie wiecie wszystkiego, to lepiej nie mówcie. Jej żal, a czy ja tam z ochotą jadę?

Zazgrzytał zębami tak mocno, jakby miał żarna w ustach, pogroził żonie pięścią i uderzył się w piersi.

— Wsadźcie mi siekierę tam, w wątrobę, może żółć pęknie, bo już nie wytrzymam! Ludzie! Taki żal, taki smutek, że nie wiem, co z sobą zrobić!

— Proszę, gospodarze — bierzcie bez ceremonii i darujcie nam, przecież my już wędrowcy... Nie dziwcie się mnie staremu, że trochę na żonę napadłem, to nie bez przyczyny, oj, nie... Żeby nie ona i synowie, nie byłoby tego wszystkiego. Synowie, wiecie, pisać i czytać umieją, dostali skądś jakiś list, jakąś mapę, przyczepili się do mojej starej i tak długo ją męczyli, aż postawili na swoim. Dwa lata o niczym się w chacie nie gadało, tylko o tej Kanadzie. A jak i mnie dopiekli, jak zobaczyłem, że będą mnie tak gryźć aż do śmierci, jeżeli się nie zgodzę — to sprzedałem wszystko, aż do ostatniej kruszyny. Synowie nie chcą iść na parobków i mówią: „Jesteś naszym ojcem, to prowadź nas w świat i daj chleb, bo jak nam rozdzielisz ziemię, nie będzie z czego żyć". Niech im Bóg pomoże jeść ten chleb, a mnie i tak wszystko jedno, gdzie umierać. No, powiedzcie, gospodarze, gdzie ja, taki połamany, pójdę? Już ja się przepracowałem; moje ciało — to same odciski, a kości spróchniałe i zanim je rankiem pozbieram, dziesięć razy stęknę.

— Co tam, Iwanie, o tym mówicie. Nie nabijajcie sobie głowy smutkiem. Może wy nam drogę wskażecie i my wszyscy za wami pojedziemy? Naszego kraju nie ma co żałować. Nasza ziemia już nie może wykarmić tyle narodu i wytrzymać tylu nieszczęść. I chłop nie może, i ziemia nie może — oboje nie mogą. I szarańczy nie ma, i pszenicy nie ma! A podatki rosną. Jeśliś płacił gludena — to teraz pięć, jeśliś dawniej jadł słoninę, to teraz jedz kartofle; oj, zniszczyli nas. Tak nas wzięli w łapy, że nikt nas z tych łap już nie wyrwie, chyba trzeba uciekać. Ale będzie jeszcze kiedyś rozprawa, naród powstanie i chwyci za noże... Nie ma więc czego żałować...

— Dziękuję wam za te słowa, ale myślę inaczej. Tak, będzie jeszcze rzeź... Bo czy Bóg nie gniewa się na tych, co ziemię sprzedają? Teraz ziemia nikomu niepotrzebna, dajcie tylko pieniądze i weksle. Teraz młodzi gospodarze nabrali rozumu. To są tacy strażnicy, którym o ziemię nie chodzi. Ale spójrzcie na tę staruchę, gdzie jej tam do handlowania! To spróchniała wierzba, trącisz palcem — przewróci się. Czy myślicie, że ona dojedzie na miejsce? Zwali się gdzieś do rowu i psy ją rozszarpią, a nas pogonią dalej i nie pozwolą się nawet obejrzeć. Czy takich ludzi Bóg błogosławi? Chodź no tu, stara!

Iwanycha, chuda staruszka, podeszła do męża.

— Kateryna, coś ty, niebogo, narobiła? Gdzie ja ciebie pochowam? Może trzeba będzie ciebie rzucić rybom na pożarcie? Ale dla dobrej ryby toś ty na jeden kąsek. Popatrzcie!

Naciągnął skórę na żoninej ręce i pokazywał ludziom.

— Skóra tylko i kości. Takiej to tylko na przypiecku siedzieć. Byłaś porządną gospodynią, pracowałaś ciężko, nie próżnowałaś, a na starość wybierasz się w taką daleką drogę. Tam twoja droga, tam twoja Kanada! Tam...

Wskazał na widniejący za oknami cmentarz.

— Zachciało ci się tej Kanady, więc pójdziemy w świat, rozlecimy się na starość jak te liście po polu. Bóg wie, co z nami będzie... I teraz chcę ci wobec swoich ludzi wszystko przebaczyć. Przy nich braliśmy ślub i przy nich chcę się z tobą pojednać. Może wrzucą ciebie do morza tak, że nawet tego nie zobaczę, a może mnie wrzucą i ty tego nie zobaczysz. Więc odpuść mi, stara, że dokuczałem ci czasem, że ciebie może kiedyś obraziłem, odpuść mi raz i drugi, i trzeci.

Pocałowali się. Staruszka padła Iwanowi w ramiona, a on mówił:

— Ech, wiozę ja ciebie biedną w daleką mogiłę!

Nikt już tych słów nie słyszał: od stołu, gdzie siedziały kobiety, jakby wiatrem przygnany, nadleciał płacz i pochylił na piersi chłopskie głowy.

IV

— A teraz idź, stara, do kobiet i częstuj je, jak się należy, ale i sama wypij, żebym cię choć raz w życiu zobaczył pijaną. A do was, gospodarze, mam dwie prośby. Może synowie przyślą wam wiadomość, że mnie i żony już nie ma na tym świecie. Więc proszę wszystkich, każcie odprawić za nas nabożeństwo i niech wszyscy tak jak dziś przyjdą na stypę i odmówią za nas modlitwę. Może Bóg odpuści grzechy... Pieniądze zostawię u Jakowa, młody to i uczciwy człowiek, nie weźmie ani krajcara.

— Zamówimy nabożeństwo, zamówimy i będziemy się za was modlić.

Iwan zamyślił się, po twarzy przemknął mu cień wstydu.

— Nie dziwcie się staremu i nie śmiejcie się z niego. Choć mi wstyd przyznać się, ale myślę, że grzechem byłoby zataić przed wami... Jak wiecie, postawiłem na swym wzgórzu krzyż z kamienia. Ciężko było go wnieść, wciągać na górę, ale jakoś postawiłem. Taki ciężki, że wzgórze go nie zrzuci, będzie musiało dźwigać na sobie ten krzyż, jak mnie przez tyle lat. Chciałem jakąś pamiątkę zostawić po sobie.

Złożył dłonie i przycisnął je do ust.

— Tak mi tęskno do tego wzgórza, jak dziecku do matczynej piersi! Przeżyłem na nim swój wiek i na nim zostałem kaleką. Żebym mógł, tobym je ukrył za pazuchą i zabrał ze sobą! Tęsknić będę za każdą okruszyną w wiosce, za najmniejszym dzieciakiem, ale najbardziej za tym moim wzgórzem!

Oczy mu zabłysły, a twarz zadrgała jak czarna bruzda pod słońcem.

— Leżę ja zeszłej nocy w stodole i myślę: „Boże miłosierny, czym tak ciężko zgrzeszyłem, że wypędzasz mnie za dalekie morza? Całe życie pracowałem i pracowałem". Nieraz bywało, dzień się kończy, a ja padam wieczorem na ziemię i modlę się gorzko: „Boże, nie zostaw mnie bez kawałka czarnego chleba, a ja znowu będę pracował, dopóki moje ręce i nogi pozwolą"...

— Potem ogarnął mnie taki smutek, że gryzłem palce, włosy rwałem, jak zwierzę tarzałem się po słomie. I wtedy nieczysty przystąpił do mnie... Nie wiem, kiedy i jak, ale ocknąłem się pod gruszą z powrozem w ręku... Jeszcze chwila, a byłbym się powiesił. Ale Bóg miłosierny wie, co robi. Wspomniałem o swoim krzyżu i złe odeszło. Aj, jak biegłem wtedy na swoje wzgórze! W minutę byłem już pod krzyżem, posiedziałem chwilę i zrobiło mi się trochę lżej...

— Patrzcie, stoję przed wami, mówię z wami, a to wzgórze nie opuszcza mojej myśli. Ciągle je widzę i w godzinę śmierci będę je widział, wszystko zapomnę, a jego nie zapomnę. Znałem kiedyś piosenki — na nim zapomniałem je, siły miałem — na nim straciłem.

Łza potoczyła się po twarzy.

— Proszę was, gospodarze, jak będziecie na Wielkanoc pola święcić, nie omińcie mojego wzgórza. Niech ktoś z młodszych wejdzie na górę i pokropi krzyż święconą wodą, przecież ksiądz nie będzie

chciał tam wchodzić. Ze łzami was proszę, nigdy nie omińcie mojego krzyża. Będę się za was modlił na tamtym świecie, tylko wypełnijcie wolę starego!

Kłaniał się tak nisko, jakby chciał gościom do nóg paść, zdawało się, że spojrzeniem szarych poczciwych oczu chce przelać w ich serca swoją prośbę.

— Zostawcie smutki, Iwanie, odrzućcie je. Wszyscy będziemy was wspominać. Byliście porządnym człowiekiem, nie dokuczaliście nikomu, sąsiedzkiego pola nie oraliście i nie zasiewali, cudzego ziarenka nie ruszyliście. O nie! Będą was ludzie wspominać i nie ominą waszego krzyża nigdy w świętą niedzielę — pocieszał Iwana Mychajło.

V

— A no, gospodarze, powiedziałem wam wszystko, teraz kto mi życzliwy, wypije ze mną. Słonko już pod cmentarzem, a nie wypiliśmy jeszcze nawet kieliszka wódki. Pókim w swojej chacie i mam gości za stołem, będę pił i każdy, kto mnie lubi, będzie pił ze mną.

Zaczęło się pijaństwo, takie pijaństwo, co dorosłych ludzi zmienia w ogłupiałych parobków. Wkrótce pijany Iwan kazał wezwać muzykantów, aby grali zebranej na dziedzińcu młodzieży.

— E-ech, musicie tak tańcować, żeby ziemia dudniła, żeby na klepisku ani źdźbła trawki nie pozostało!

W chacie wszyscy pili, wszyscy gadali i nikt nikogo nie słuchał. Nie była to właściwie rozmowa — każdy czuł, że musi mówić, koniecznie mówić, wypowiedzieć wszystko, choćby na wiatr.

— Jak go zacząłem czyścić, to tam, gdzie czarne, jakby srebrem pokropił, a gdzie białe, to jakby śniegiem przysypał. Konie miałem w porządku, cesarz mógłby jeździć nimi, a pieniędzy było, oj było...

— Żebym się mógł znaleźć w takiej pustyni, gdzie tylko Bóg i ja, żebym chodził jak dziki zwierz i nie widział tych panów ani księży — dopiero wtedy mógłbym powiedzieć, że jestem gospodarzem. A niech się ta ziemia zawali, niech się choć zaraz zawali, nie będę żałował. Bo i czego? Bili i katowali ojców, zaprzęgali w jarzma, a nam nie dają przełknąć kęska chleba. E-ech, żeby tak zrobić po mojemu...

— Nie było jeszcze takiego poborcy, aby umiał z niego ściągnąć

coś za podatki, nie było! Był Czech, był Niemiec, potem Polak — i co? G...o, za przeproszeniem, wzięli. Ale jak przyszedł Mazur, to od razu znalazł kożuch pod wiśnią! Mówię wam, Mazur to nieszczęście, ślepia mu wypalili i nie będą mieli za to grzechu...

Mówili dużo, ale słowa padały w różne strony, jak spróchniałe drzewa w starym lesie.

W szum, w gwar, krzyki i westchnienia, w żałośliwą wesołość skrzypiec wplatała się pieśń Iwana i starego Mychajły. Pieśń tę słyszy się często na weselach, gdy starzy ludzie rozochocą się i wspominają dawne czasy. Słowa pieśni z trudem przeciskają się przez stare gardła. Lecą jak żółte, jesienne liście — wiatr pędzi je po martwej ziemi, a one na chwilę zawisną, przyczepione poszarpanymi brzegami do pagórków, do rowów, i drżą jak przed śmiercią.

Tak Iwan i Mychajło śpiewali o młodych latach, które minęły, uleciały w dal i nie chcą powrócić do nich nawet na krótką gościnę.

Gdy brali wysoką nutę, ściskali sobie wzajemnie ręce, aż stawy trzeszczały. A kiedy pieśń załkała tęsknicą, zbliżali głowę ku głowie, zanosząc się rozpaczą. Obejmowali się, całowali, tłukli pięściami w piersi i stół, coraz większy budząc w sobie smutek swymi zachrypłymi głosami. W końcu nie mogli wydobyć z siebie ani słowa, wzdychali tylko:

— Oj, Iwanko, bracie!

— Oj, Mychajło miły!

VI

— Ojcze, słuchaj, ojcze — pora iść na pociąg, a ty wciąż śpiewasz...

Iwan otworzył oczy, ale wzrok miał taki dziwny, że syn pobladł i cofnął się, on zaś złożył głowę na rękach i długo o czymś myślał. Potem wstał, podszedł do żony i pociągnął ją za rękaw:

— Ej, starucha, marsz — raz, dwa, trzy! Chodź, ubierzemy się po pańsku i pójdziemy panować!

Wyszli razem.

Gdy wrócili, wszyscy obecni w chacie zaszlochali. Jakby urwała się wisząca nad wioską chmura, jakby ludzka niedola przerwała groblę na Dunaju — tak buchnął płacz z ludzkich piersi. Kobiety załamywały ręce i trzymały je splecione nad Iwanychą, jak gdyby

broniły jej przed czymś, co zwali się z góry i zgniecie ją. Mychajło schwycił Iwana za piersi, potrząsnął nim mocno i krzyczał:

— Człowieku, jeśliś gospodarz, to zrzuć z siebie te szmaty, bo ci gębę rozwalę...

Iwan nie patrzał na niego, wziął żonę za szyję i puścił się w tany.

— Polkę, grać mi polkę, po pańsku! Mam pieniądze!...

Ludzie osłupieli, a on szarpał ją, jakby postanowił nie wypuścić z rąk żywej.

Wbiegli synowie i siłą wyciągnęli ich z chaty.

Na dziedzińcu Iwan tańczył znów jakąś polkę, a Iwanycha padła na próg i obejmując go ramionami lamentowała:

— To ja ciebie swoimi nogami tak wydeptałam! — i wskazywała palcem na głębokie ślady, które wyżłobiły na progu jej nogi.

VII

Opłotki przy drodze trzeszczały i przewracały się — cała wieś odprowadzała Iwana. Szedł ze swoją żoną, zgarbiony, w taniutkim, szarym ubraniu i tańczył wciąż polkę.

A gdy tłum zatrzymał się naprzeciw wzniesionego na wzgórzu krzyża, Iwan oprzytomniał i wskazał go żonie mówiąc:

— Widzisz, stara, nasz krzyżyk? Wyrżnąłem tam i twoje imię. Nie bój się, jest i moje, i twoje.

1899 r.

PODPIS

Malutka Docia chodziła tam i z powrotem wzdłuż ławy poza plecami gospodarzy, którzy przy długim stole wypisywali swoje nazwiska. Każdy przepisywał z podanego wzoru. Szorstkimi dłońmi „przymierzali się" ze wszystkich stron nie wiedząc, jak lepiej zacząć. Piersiami opierali się o stół tak mocno, że skrzypiał. W ciszy słychać było tylko cmokanie warg, kiedy gospodarze ślinili ołówki. Jasnowłosa Docia zaglądała każdemu przez ramię — czy dobrze pisze?

— Docia, zobacz — jak to wygląda?

— Jeszcze wszystko skołtunione, jak nieczesany len — rzekła — piszcie dalej!

Chłop wsuwał ołówek w usta i znów zaczynał pisać.

— A no, spojrzyj na moje, ja już drugi wieczór skrobię, że aż piersi bolą, przeczytaj, co napisałem.

— Pawło Łazyrenko.

— A pewnie, że ja! Tak napisane, że każdy zrozumie?

— Każdy, kto umie czytać.

Pawło zaczerwienił się uradowany i oglądał papier ze wszystkich stron.

— Czekaj, jeszcze raz napiszę — pochylił się śliniąc ołówek.

Docia poważnie chodziła dookoła. Z pieca przyglądała się jej matka uciszając dzieci, aby nie przeszkadzały. Na ławie siedział stary Jakiw Jarymiw i z wielkim zadowoleniem patrzył na chłopów. Trudno mu było milczeć dłużej. Przez dwie godziny przyglądał się z uwagą nauce pisania, aż wreszcie nie wytrzymał:

— Ej, gospodarze, zostawcie choć trochę na jutro, bo wam piersi popękają!

Chłopi podnieśli głowy i tępo spojrzeli na mówiącego.

— Widzicie, jak dobrze wam poradziłem! Powinniście mi podziękować, a Doci kupić podarek.

— A kto was nauczył rozumu?

— Niedola nauczyła.

— Jaka niedola?

— Weksle...

I stary Jakiw po raz setny zaczął opowiadać, jak to było.

— Wiecie wszyscy, że nie na wódkę zastawiałem ziemię w bankach, za to Bóg by mnie ukarał. Ale starucha mnie namówiła.

— Jaka starucha?

— Wyście młodzi i uczycie się pisać, ale nic nie wiecie. Wychodzi raz z komory starucha i mówi: Oj, stary — już nawet mąki nie mamy. Pomyślałem ja, pomyślałem i ruszyłem do miasta zapisać się na setkę w banku kredytowym. Przyszedłem, wiecie, do banku i mówię: tak i tak, nie ma chleba dla dzieci, proszę, panie, waszego i boskiego zmiłowania, dajcie mi setkę pod zastaw.

— Masz ziemię?

— E-e, panie — a któż by co dał człowiekowi, który nie ma ziemi.

— A twoja ta ziemia?

— Moja.

— Nie zastawiona, czysta?

— Całkiem czysta.

— Masz jakie długi?

— Trochę w sklepikach, ale co to za dług, drobiazg. Za tę setkę kupię dzieciom chleba i kupcom gęby zatkam.

— No, przynieś papiery — mówi — i pójdziesz na posiedzenie.

— A kiedy mam przyjść na posiedzenie?

— Tłumacz głupiemu! Nie ty potrzebny jesteś na posiedzeniu, tylko twoje papiery.

— Darujcie mi, panie, nie zrozumiałem: a papiery są — wyjąłem zwitek zza pazuchy i podaję. — Tam — mówię — jest wszystko, wszystkie papiery składam w jedną paczkę. Widzicie, ja się na tym nie znam i trzymam to razem.

Obejrzał on papiery, znalazł, co mu było potrzeba, i powiada:

— Przyjedź za tydzień.

Trzy razy tam byłem, w końcu powiedział mi, że pieniądze dostanę, i zapytał:

— A umiesz pisać, stary?

— Gdzie tam, panie... Nie chodziłem do szkoły, w wojsku nie byłem, to i człowiek ciemny.

— A więc trzeba będzie podpisać u rejenta.

— Ja — proszę go — położę swoją ręką krzyżyk, a wy podpiszcie.

— Na wekslach — mówi — nie można stawiać krzyżów.

Pomyślałem: jeżeli wezmą za podpis, odliczą z góry procenty, zapłacę rejentowi, to zostanie mi mało pieniędzy. Pobiegłem na miasto szukać poręczycieli i spotykam szewca, tego złodzieja Lapczyńskiego. Ten, jak nieszczęście, włóczy się wciąż po mieście. Zatrzymałem go i opowiadam o swoim zmartwieniu.

— Chłop zawsze głupi — powiada. — Próżnuje całą zimę, a nie nauczy się nawet podpisać.

„Choć z ciebie złodziej i pańska słomianka, ale dobrze gadasz", pomyślałem i pobiegłem dalej. Przyprowadziłem poręczycieli, podpisali się u rejenta, ale z setki urwali mi trzynaście lewów.

Niosę pieniądze do domu i ciągle myślę o tym szewcu. Złodziej bo złodziej, ale prawdę powiedział, toć przecież oni zdzierają skórę jak z wołu! Niby wziąłem setkę, a ile niosę do domu?

W tym miejscu Jakiw zwykle spluwał; splunął i teraz.

— Każdy chce cię wykorzystać, każdy chce oskubać, dlatego jest tak ciężko, a im dalej, tym gorzej. Schowałem pieniądze w kuferku, a sam poszedłem do Doci.

— Słuchaj, Dociu — mówię — naucz dziadka podpisywać nazwisko, niechże on więcej nie nabija panom kieszeni, one i tak nabite. Lepiej tobie spódniczkę kupię...

I nauczyła mnie, a wyście z początku wyśmiewali się z dziadka. Ale jak zawitała bieda, trzeba podpisywać weksle, to i wy przyszliście do Doci. Pokazałem wam drogę i nie będziecie już na próżno tracić pieniędzy.

— Pewno, że nie — odpowiedzieli chłopi — będziemy wdzięczni wam i Doci, naszej nauczycielce.

— Ale musicie przynieść jej podarek.

— Na pewno przyniesiemy.

Docia promieniała radością; na twarzy jej matki zajaśniał uśmiech.

1899 r.

POLE

Takie szerokie i bezkresne, że nie można ogarnąć go wzrokiem. Płynie z wiatrem, tonie w słońcu, zalewa chłopskie zagonki. Niby szeroka i długa sieć rybacka wyławia te małe zagony jak drobne rybki. Takie ci to pole!

Szeleści na nim zeschła nać kartoflana. Pod krzaczkiem leży małe dziecko. Opodal chleb, ogórek i miseczka. Czarny świerszczyk dotknął nóżek i odskoczył. Zielony konik polny przygląda się z daleka. Złotawożółta szczypawka śpiesznie obchodzi dziecko dokoła.

A ono płacze i płacz ten zlewa się z szelestem naci. Nagle przewróciło się i upadło twarzą na ziemię. Upadło ustami na krzak. Konwulsyjnie drgające nóżki uderzają o ziemię, walczy jeszcze słabo i powoli zaczyna sinieć.

A pośród wykopanej naci śpi matka. Jej nogi to same rany, pokaleczone, porżnięte, podrapane. Leży jak kamień, jakby przyrosła czarnymi włosami do ziemi.

Słońce chciałoby cały swój żar skupić na jej twarzy. Nie może jej jednak obudzić i zachodzi za chmurę.

Czarny kruk wzbił się w górę, krąży, krąży dokoła i kracze.

Zerwała się nagle i nasłuchuje uważnie.

— Ojej, co to się ze mną dzieje? Śpię podczas roboty!

Chwyciła łopatę i zaczęła wykopywać krzak za krzakiem, krzak za krzakiem...

— Dobrze, że śpi. Tak się biedactwo umęczy, tak się umęczy, a ja z nim! A zarobić trzeba — w zimie nikt mi jeść nie da.

I pochyliwszy się kopie prędko, prędko. A ten krzak omija. Jak cicho, gdy ono śpi...

1899 r.

TAK BYŁO KIEDYŚ

Wszyscy troje już w grobie leżą, dawno, dawno temu umarli; dziadek Dmytro, babka Dmytrycha i diak Bazio. Nad ich mogiłami kwitną i owocują wiśnie, a dębowe krzyże już się pochyliły.

Dziadek Dmytro wyposażył czterech synów, a gdy ich już obdzielił, został w starej chacie ze swoją starą żoną. Ale nie tylko z nią, bo i z wołami, z krową i kilkoma morgami pola. Sam doglądał wołów i pracował w zagrodzie, a staruszka gospodarowała w chacie. Pole zasiewali synowie, a zbierali biedni ludzie za snop i za trzecią część zbiorów. Dziadek doglądał wołów, poił je, czyścił, sprzątał oborę, zamiatał podwórze, wyrywał oset i chwasty. Ale najważniejszym jego zajęciem było co innego: wyłaził na stryszek obory i szperał wśród starych pługów, bron, drabinek, jarzm; niemało tych rupieci nazbierało się w gospodarstwie w ciągu pięćdziesięciu lat. Wszystko to zrzucał ze stryszku i taszczył na trawę przed chatą. Oglądał, przypasowywał, naprawiał. To była jego najulubieńsza robota. Wspominał przy niej widocznie swoje młode lata i dlatego chyba sprawiała mu przyjemność. A gdy nie czyścił wołów, to już na pewno coś tam majstrował przy starym jarzmie czy starym pługu.

Tuczył woły trzy lata, a w czwartym roku gnał je do miasta na jarmark. Sprzedawał je za cztery setki; za dwieście reńskich* kupował młode woły, a dwie setki chował do starej książki podatkowej i zamykał w skrzyni.

Całymi latami nie młócił zbiorów i dlatego na podwórzu jego stało wiele maleńkich stogów. Najstarszy stóg był czarny, następny — szary, trochę późniejszy od niego — szarawy, zeszłoroczny — biały, a ten z nowego zbioru — żółty jak wosk.

* Reński — gulden, dawna moneta austriacka.

Co miesiąc dziadek oglądał wszystkie stogi, sprawdzając czy nie podgryzają ich myszy, czy ziarno nie butwieje. Wyciągał z każdego wiązkę źdźbeł i wąchał, i oglądał czy kłosy się nie sypią. A gdy widział, że jakiś stóg trzeba omłócić, to najmował młocarzy i znowu chował pieniądze do książki podatkowej i zamykał na klucz.

Do cerkwi chodził co drugą niedzielę, na zmianę z żoną: ona w jedno święto Matki Boskiej, on w drugie — ona na Wielkanoc, on na Boże Narodzenie. Gdy nadchodziła jego niedziela, wyłaził na strych i zrzucał stamtąd do sieni wielkie buciki i małe. Wielkie — były z jego kawalerskich czasów, ślubne, z młodych lat, a małe — synów, gdy byli jeszcze dziećmi. Siadał z tymi butami na przyzbie, wycierał szmatką kurz i smarował dziegciem. Jedną parę wkładał, a pozostałe ustawiał rzędem na słońcu, aby dziegieć lepiej wsiąkł. Staruszce przykazywał, żeby nie tylko wołów doglądała, ale także pilnowała butów, bo je pies może gdzieś zaciągnąć. W cerkwi bił pokłony, kładł na tacę krajcary pokryte śniedzią i spocony wychodził z innymi.

— Dziadku, zapomnicie wkrótce mówić — pokpiwali z niego ludzie.

— Moi rówieśnicy już poumierali, poginęli na wojnach, nie mam już z kim mówić.

Wróciwszy do domu jadł chleb z czosnkiem albo ze smalcem — gdy nie było postu. W spichrzu stały trzy beczki słoniny. W jednej — trzyletnia, żółta i miękka jak masło — to była dziadkowa beczka, w drugiej — dwuletnia, na wpół żółta, na wpół biała — babki beczka, a w trzeciej tegoroczna, biała jak papier — ta była dla dzieci: one lubiły tylko świeżą. Po obiedzie oglądał woły, potem wrzucał buty i buciczki na strych i szedł spać pod wiśnię. I tak spędzał dzień po dniu — w zgodzie i spokoju. Zęby go nigdy nie bolały, żadne choroby nie czepiały się go i w ciągu całego życia ani razu nie potrzebował pomocy znachorki.

Dmytrycha zaś — to był ogień, a nie baba. Lubiła bardzo pogadać, poplotkować, bo bez tego ani sen jej nie brał, ani jedzenie na zdrowie nie szło. Z dziadkiem nie próbowała nawet gadać — ten to zawsze milczał. Gdy babka choć słówko chciała z nim zamienić, rzucał starą bronę czy hołoblę i uciekał.

— To straszydło stare myśli, że go może całować chcę.

I splunąwszy szła przed furtkę albo nad staw, żeby poszukać bab,

zawsze chętnych do gadania. A dziadek wracał do swojej roboty i mruczał pod nosem:

— Pewnie, że się postarzała i twarz ma pomarszczoną jak skóra na starym bucie, i włosy białe jak mleko, ale język to się jej nie zestarzał. Sto miar przemełłby przez dzień, a ona jeszcze by się za drugą setką oglądała...

Nie dał Pan Bóg córki staruszce. Za młodu ciągle oczekiwała dziewczynki i przygotowywała dla niej wyprawę. Nie doczekała się jednak. A utkała i naszyła tyle wszystkiego, że pod sztuczkami płótna i makatkami aż się uginały półki wiszące na żerdziach. Dziadek nieraz pytał ze złością, po co i dla kogo ona tyle tka i szyje.

— Idź, idź, stary, nie pchaj nosa w nie swoje sprawy, bo jak nie, to ci całą twoją rupieciarnię — co to ją robaki na strychu toczą — w ogień rzucę. Dotknij tylko mego, to wszystkie twoje pługi i jarzma do pieca polecą!

Dziadek nastroszony jak wróbel uciekał — gdzież mu tam z taką babą wojować! A staruszka siadała na ławce, naprzeciw półek i mówiła do siebie:

— Na każdej półce leży tyle samo wszystkiego — i tam, i tam, i tam. Niech sobie każda synowa wybierze, którą chce — czy tę, czy tamtą — wszystko jedno, wszystkie są takie same. A piąta na cerkiew, za męża i za mnie, tej nie ruszajcie, bo wam ręce poprzetrącam!

W niedzielne popołudnia przychodziły do babki wszystkie synowe z wnuczętami. Dzieci miały oczka czarne jak aksamit, a buzie rumiane jak kalina. Staruszka sadzała je za stołem, częstowała tegoroczną słoniną, rozmawiała z nimi i gdakała jak kwoka między kurczętami:

— Jak umrę, to niech sobie każda z was zdejmie jedną półkę z żerdzi, wszystkie są jednakowe, bo i was wszystkich jednakowo lubię — wszystkieście moje dzieci. Ale gdyby dziadek żył dłużej ode mnie, niech się żadna nie waży nawet nitki stamtąd wziąć. On by się tak zmartwił, że zaraz by umarł. A mężom powiedzcie, żeby mu tam ze strychu nawet patyczka nie ruszyli, on to wszystko tak lubi, że bez tego dnia by nie wyżył. Dobiliby go tym. Broń Boże! A jak ja umrę — to pamiętajcie, abyście wszystkie cztery lamentowały po mnie godnie, ładnymi słowami. A jak dziadek umrze, to żebyście lamentowały jeszcze godniej i jeszcze ładniejszymi słowami! On wam zostawi tyle pieniędzy, że kąpać się w nich będziecie...

Staruszka płakała i synowe płakały, a potem każdą z nich całowała i prowadziła na drugą stronę chaty, aby pokazać makatki. Na dworze wnukowie bawili się z dziadkiem; każdy z nich trzymał w ręku bułkę albo jabłko podarowane przez babkę; z uwagą oglądali stare jarzmo z jaworu. Dziadek pokazywał im wyrzeźbione w jarzmie pługi, woły, poganiaczy i mówił, że i oni niedługo też będą orać pole.

Gdy słońce zaszło, synowe z wnukami odchodziły do domu. Wtedy staruszka odprowadzała ich do wrót i tam długo jeszcze z nimi gadała.

A z nimi był zawsze diak Bazio. Ani im swat był, ani brat, tylko sąsiadował z nimi przez ogród. Babka Dmytrycha zawsze nosiła mu obiad i kolację, bo stary był i samotny. Ale chyba nie jadał tych obiadów, które mu babka przynosiła, bo zawsze bywał pijany.

— Bazio, po cóż wy tyle tej wódki pijecie? Ona się wam kiedy zapali we wnętrznościach!

— Babko Dmytrycho, jakże ja nie mam pić, kiedy mi w głowie książki jak zające skaczą! Każdy wiersz, każdy tytuł chce, bym go śpiewał albo czytał, a mnie aż głowa pęka. Zbiorą się wszystkie jak chmara małych dzieci i chcą naraz wszystkie przez jedne wąskie drzwi przeleźć i dać znać o sobie. A ja, o, jaką mam małą głowę, i do tego ostrzyżoną, więc gdzie mam je podziać? Wam to dobrze, jakeście swoje dzieci w zagrodach porozmieszczali, a moje wszystkie razem siedzą. Dlatego muszę je wódką poić, aby się upiły i zostawiły mnie w spokoju!

Babka smutno kiwała głową.

— O, ta nauka, jakaż ona straszna, to nie to, co machać cepem!

I znowu dawała Baziowi pieniądze na wódkę.

Za to nieraz w niedzielę przychodził do babki i czytał w chacie śmieszne książki. Synowe i synowie pokładali się ze śmiechu nad Łuciem Załywajko i nad indykiem, który rozum ma w ogonie.

Pewnego razu przeczytał im Bazio taką straszną książkę, że aż się babka i synowe rozpłakały ze strachu, a synowie stracili humor.

„Ziemia nie da płodów, na bydło wasze ześlę pomór, a ludzi potopię. Deszcze nie spadną na ziemię i będzie ona jako kamień i nie da płodów swoich..."

Bazio zrozumiał, że przebrał miarę, więc znalazł w tej książce takie słowa:

„Kto to pisanie ma przy sobie albo często czyta, albo uważnie go

słucha, albo przepisuje, ten dozna łaski boskiej... Temu domowi, gdzie to pisanie się znajduje, ani ogień, ani woda, ani grom, ani żadne nieszczęście grozić nie może..."

Słowa te trochę uspokoiły i Bazia, i staruszkę, i synowe. Zaraz dali diakowi pieniądze, aby kupił taką książkę. Za przykładem babki i synowych poszły wszystkie kobiety ze wsi i dawały diakowi pieniądze, aby ich chaty także były zabezpieczone przed ogniem i gromem. Diak nakupił książek, sprawił sobie nową kurtkę i jeszcze nową porcelanową fajkę sobie kupił. A potem każdej niedzieli czytał tę książkę coraz to w innej chacie i od każdej gospodyni brał po dwie szóstki na wódkę i kołacz, aby było czym zakąsić. Przeczytał już tę książkę we wszystkich prawie chatach, prócz kilku najbiedniejszych, leżących pod lasem, gdy nieoczekiwanie zaniemógł. Trzęsły nim dreszcze, potem żar go ogarnął, a potem, opowiadali ludzie, że z jego ust wypełzł mały niebieski płomyczek i Bazio oddał duszę Bogu. Widocznie jednak zapaliła się w nim wódka. Wszystkie kobiety płakały po nim i tak zawodziły jak po rodzonym bracie.

Babka Dmytrycha niedługo opłakiwała go: w jesieni poszła za diakiem w tę daleką drogę. Dziadek Dmytro też niedługo pociągnął bez babki i na wiosnę zszedł z tego świata.

Ludzie już o nich zapomnieli, bo dawno temu zmarli. Tylko ci, z czytelni często ich wspominają, gdy zaczną mówić o tym, jak powstała we wsi czytelnia.

— Wzięła ona swój początek od starego dziadka Dmytra, od babki Dmytrychy i od diaka Bazia. To w ich chacie diak zaczął czytać książki. I do dzisiaj gdzie niegdzie jeszcze w szparach między belkami leżą wetknięte „Listy boże" i „Łucie Załywajki", tylko teraz już nikt ich nie czyta. Minęło...

— Oj, minęło!

— I trzyletnia słonina minęła.

— Hej, i koniem się nie dogoni.

1900 r.

PODPALACZ

I

Bogacz wiejski, Andryj Kuroczka, siedział przy stole i jadł obiad, dławiąc się każdym kęsem. Parobcy wchodzili do chaty z brudnymi wiadrami, wśród popędzania i wyzwisk wynosili z niej pojło dla bydła. Dzieci bogacza i robotnicy byli zmizerowani i obdarci — wszyscy wlekli za sobą nie ociosane, ciężkie jarzmo chłopskiego bogactwa, które nigdy nie daje spokoju i radości. W tym jarzmie najbardziej męczył się bogacz, najgłośniej przeklinał swoją dolę i bez ustanku łajał dzieci i parobków.

Na brzegu ławki siedział jego długoletni robotnik, stary Fedor.

— Nigdy nie mam takiej szczęśliwej chwili, abym mógł spokojnie przełknąć kęsek chleba. Cały dzień tylko biegam, popędzam, poganiam i zobaczycie, że kiedyś zwalę się i zdechnę! Wcale mi to jadło nie smakuje, kiedy widzę, że bez mojego dozoru próżnują w stodole. Im tylko nażreć się i wałkonić. Ale co tu mówić o obcych, kiedy własne dzieci też nie chcą pracować! Jak Boga kocham, nie wiem, jak ten naród będzie żył na świecie? Na żebry wszyscy pójdą...

I jadł tak łapczywie, aż mu oczy na wierzch wyłaziły.

— Po coście przyszli, Fedor?

— Niby nie wiecie, po co? Zima idzie, a ja bosy. Dajcie mi dwa lewy na odrobek...

— A czy wy, Fedor, możecie jeszcze robić? Wasza praca już się skończyła...

— Pewnie, że wolałbym nie robić, żeby ktoś dał jeść!

— E, nie! Teraz nikt darmo nie karmi, teraz tacy robotnicy, że i za robotę karmić nie warto! Mówiłem wam: niech się do mnie najmie wasza dziewka, mielibyście teraz pieniądze.

— Nie chciała, wynajęła się do dworu.

— Kto nie chce pracować, ten idzie do dworu; tam choć mało

jedzenia, ale można próżnować. Biedota gotowa raz dziennie jeść, aby tylko nic nie robić, to im raj! Ile pracują, tyle i mają, taki ich los. Teraz trzeba się mocno kręcić, aby cokolwiek mieć. Co mam z wami zrobić, dam wam dwa lewy. Może jakoś odrobicie, ale już więcej nie przychodźcie i nie skarżcie się, bo nic nie dam. Sami widzicie, że wasza robota już nic nie warta.

— Jakże to, Andryj, mam nie chodzić do ludzi? Co ja bez nich poczne?

— Idźcie, gdzie chcecie, ale gospodarzom nie jesteście już potrzebni. Szukajcie roboty u pana albo u szynkarza, tam praca lżejsza.

— Dobrą radę dajecie! To ja u was siły straciłem, a na starość mam szynkarzowi wodę nosić?

— Nie darmo dawaliście te siły.

— A no, to bądźcie zdrowi.

I Fedor wyszedł z chaty.

— Och, ci żebracy, oni by wszystko zabrali! Taki kaszlący, ślina mu cieknie, cepa w ręku nie utrzyma, a jak się nadyma! A niech cię!... Myśli, że ja te pieniądze robię albo kradnę!

Fedor wlókł się po błocie i mruczał:

— A gdzież ja, Andryjko, zostawiłem swoją siłę? Przetańczyłem ją może albo przepiłem? U ciebie ona została, na twoim gospodarstwie. Gdzie ja ją zostawiłem?

W chacie zzuł podarte buty i położył się. Leżał do wieczora i zasnął bez kolacji. Zerwał się przed pianiem kogutów, żebrami uderzył o deski, znów się położył i znów wstał. Przez maleńkie okienko spoglądała na niego jesienna noc. Nie, nie noc; to czarna troska zawodziła po kątach i patrzała stamtąd szarym, bezlitosnym okiem. Przytłoczyła Fedora tak, że nie mógł się poruszyć. Migały mu w oknie jakieś twarze, a dookoła snuły się widziadła...

...Oto siedzi pośród małych paniczów, dogląda ich, piastuje, a oni targają go za włosy i plują mu w twarz.

...Oto klęczy w cerkwi, w tym kącie, gdzie żebracy biją głowami o ziemię. On mocniej od wszystkich bije głową, a kobiety podchodzą i każda daje mu kromkę chleba. Chowa chleb za pazuchę, wciąż chowa, robi się gruby, coraz grubszy, tak że ludzie rozstępują się przed nim, a jemu wstyd, taki wstyd — a głowa boli...

...O! idzie teraz za ogrodem Kuroczki, nie idzie, ale skrada się do

stodoły. Ze strzechy wyciąga garść słomy, sypie na nią żar z fajki i ucieka, ucieka... Czuje, a nawet jakby widzi, że z tyłu spod strzechy wyrywa się maleńki, czerwony języczek, liże słomę i chowa się...

— Oj! Oj! Oj!...

...Ten czerwony języczek wpił się w jego mózg. Fedor wyrwał się z trudem z niewidzialnych więzów, skoczył i spojrzał w okienko. Czarna troska, dręcząc jak kat, przeszywała go na wskroś. Oto znów chwyci go, powali i zacznie gnębić widziadłami. Ogarnięty strachem porwał się, aby iść dokądkolwiek, aby uciec. I nagle odczuł ulgę, jakby przed nim otwarto jakieś wrota, więc podążył ku nim pośpiesznie.

II

Nie miał jeszcze szesnastu lat, kiedy opuszczał rodzinną wioskę. Nigdy nie widział tak jasnego dnia i tak wesołego słońca! Pieściło zielone trawy, sine lasy i srebrzyste wody. Za wsią obejrzał się. Gdyby ktokolwiek dogonił go i powiedział jedno słowo — wróciłby, och, jakby wrócił.

— Bije mnie, gnębi, jeść nie daje, grosza na mnie nie chce wydać — biegł jego głos po zielonej trawie — żeby cię, ojcze, ziemia nie przyjęła!

I ruszył jeszcze szybciej! Minął znajome pola, przeszedł dwie wsie, aż zza wzgórza ujrzał miasto — błyszczało i lśniło w słońcu jak wąż...

*

Wszyscy podziwiali jego siłę i bali się go. Gospodarze nie dokuczali, parobcy nie wyśmiewali się z niego i nie śmieli go zaczepiać. Worki rzucał jak kluski. I tak dzień po dniu — od spichrza do wozów i od wozów do spichrza.

— Plecy mi pękną od tych worków!

— Pij wódkę, to ci ulży.

Istotnie, od wódki mu ulżyło, ból jakby ręką odjął.

W niedzielę i święta szedł z kompanami do karczmy.

Karczmy stały przy drodze między wsią a miastem. Kto się już nigdzie nie mógł we wsi przytulić, wlókł się najpierw tędy, a kto w mieście stracił robotę, wracał tu również.

W karczmie było zawsze wesoło i ciekawie. Ton nadawali panowie z miasta. Opowiadali o swoim dawnym dobrobycie, o tym, jakie nosili ubrania, ile dostawali każdego pierwszego z kasy skarbowej. Chłopi przysłuchiwali się z szacunkiem i częstowali ich wódką. Ale kiedy sobie podpili, budziło się w nich poczucie niezależności i wtedy z panami bywało krucho.

— A no, pany, ruszajcie się! Bierzcie się pod boki i tańczcie polkę, a my popatrzymy, jak to się robi u wielkich panów!

Panowie tańczyli, raczej musieli tańczyć, chłopi otaczali ich, wybuchając co chwila śmiechem, aż się karczma trzęsła.

— Hop, dalej!

— Jeszcze raz!

— Leciutko, równo, razem!

— Hop, dosyć! Teraz pijcie wódkę, zbierajcie swoje pańskie wszy i won z karczmy! Chłopi chcą sami tańczyć.

Panowie uciekali jak zające.

— Umiem panów musztrować, co? Lekkie to jak pierze, dmuchniesz i już ich nie ma!

— Ej, szynkarzu, dawaj wódkę, dawaj rum! Pohulamy!

Karczmarz szybko stawiał wszystko na stół i od razu brał pieniądze.

— Ty, Bezboki, czego wyjesz? Opłakujesz swoje boki? Pij i zamknij gębę — mnie wesoło!

Bezboki zapłakał jeszcze głośniej.

— Milcz, bo cię stłukę!

— Zostaw mnie!

— A ktoś ty taki, chłop?

— A ty coś za pan?

Fedor wstał zza stołu i trzasnął zabijakę w twarz. Ten pochwycił ławę.

— Bijesz się w niedzielę? Oj, grzech! — i uderzeniem ławki zwalił Fedora z nóg.

Utworzyły się dwie grupy. W karczmie zrobił się ruch. Szynkarz uciekł, wódka lała się na ziemię, stoły i ławki zaczerwieniły się od krwi i rozlatywały się w kawałki. Wkrótce obie walczące strony — jęcząc — leżały na podłodze mokrej od śliny, krwi i wódki. Tylko Bezboki siedział w kącie i ryczał jak wół, nie wiadomo dlaczego. Nadbiegła wreszcie policja i zaczęła trzeźwić hałastrę. Klnąc i wy-

myślając podnosili ludzi z ziemi i jednym zamachem przewracali ich znowu. Padali biedacy jak dęby, a wstawali z trudem, jakby byli z gliny. Otrzeźwiono ich i odprowadzono do aresztu.

*

Jechał polną drogą na wozie z workami. Pszenica i żyto za każdym powiewem wiatru chyliły się ku sobie złotymi i srebrnymi falami. Po tym złocie i srebrze przepływały lekkie, ciemne cętki jak cienka, jedwabna sieć. Morze słońca i morze bezbrzeżnych pól! Ziemia spod kłosów dzwoniła, śpiewała i zdawała się mówić:

— Weź, Moszku, lejce, odchodzę od ciebie.

Zeskoczył z worków i poszedł miedzą wśród zboża. Pod wieczór doszedł do chaty Andryja Kuroczki:

— Z ciebie to na pewno próżniak albo złodziej, dobry człowiek nie odejdzie od swojej wsi, aby się włóczyć po świecie.

— To się okaże! Ojciec w czasie głodu sprzedał wszystko, czego nie przepił za pańszczyzny; potem przyjął do chaty zięcia i zmarł. Zięć bił mnie tak, że uciekłem...

— Czy tam u was na Podkarpaciu krowami orzą?

— Nie, to Niemcy orzą krowami, ale oni mieszkają, zdaje się, trochę dalej.

— Aha. No, zrzuć te łapcie, a kapotę zanieś do sieni, żeby na mnie wszy nie przelazły, i kładź się spać. A czy cerkwie u was są takie same jak nasze? I ksiądz jest?

— Wszystko tak samo jak u was.

— A no, zobaczę, jaki ty jesteś. Jeżeli nie będziesz kradł i nie boisz się roboty, to cię najmę.

Pozostał. Wieś przyjęła go, kiedy przekonała się, że nie jest złodziejem, że dobrze pracuje, że chce stanąć mocno na nogach. Dowiedział się z czasem, jak które pole nazywa się, czyje jest, czy grunt tam mokry, czy suchy, kto jest w wiosce najgorszym złodziejem, a kto największym bogaczem... Zrobił się swój, jak inni w wiosce.

Przepracował kilka lat jako parobek i dobrzy ludzie zaczęli go pouczać, jak zostać gospodarzem.

— Nie bądź głupi, jak ci ktoś da kawałek ogrodu, a dziewka będzie dobra i pracowita — to bierz. A jeżeli masz u swego gospodarza trochę pieniędzy i jeszcze dorobisz — postaw sobie chatę.

Choćby była nie większa od chlewka, ale — twoja własna. Deszcz czy zima, albo nie ma roboty — nie wystajesz u bogacza w kącie i nie gnijesz w stajni — masz swój dom. Posłuchaj mnie, starego...

*

Ożenił się, stawiał chałupę, zdzierał siły przy cudzej i własnej robocie. Dźwigał na plecach deski z miasta, odrabiał za słomę wziętą na poszycie, ciężką pracą zbierał pieniądze to na okna, to na drzwi. Dwa lata minęły, zanim chałupa była gotowa. Mała, niepozorna, wyglądała wśród innych chat jak maleńka, nastroszona kurka w porządnym kurniku. Ale Fedorowi wydawała się miła...

*

Minęło dziesięć lat i do Fedorowej chatki przyniesiono cerkiewne chorągwie. W izbie na ławie leżała jego Kateryna — wielka, gruba, prawie straszna. Fedor tuląc do siebie dzieci — jedenastoletnią Nastię i ośmioletnią Maryjkę — przemawiał do nich:

— Córeńki, co my będziemy robić bez mamy? Która z was ugotuje ojcu obiad?

Gdy kładli żonę do trumny, zaszlochał:

— Leciutko ją kładźcie, bo ciało ma bardzo obolałe! Oj, Kateryna, jeszcze się z tobą nie nagadałem, a tyś się rozgniewała i odeszła ode mnie.

Rzucił się na zmarłą i całował jej twarz.

— Ludzie, ja jej nigdy nie powiedziałem złego słowa, w tej harówce nie miałem nawet kiedy do niej zagadać. Przebacz mi, Kateryna, miła ty moja!

Z chaty wyrwał się płacz niewieści i rozszedł echem po całej wiosce.

— Ludzie, jak ona za mnie wyszła, to jakby w wodę wpadła, nikt jej już nie widział. Tylko dopiero teraz wypłynęła pośród was — w trumnie. Nie powiedziałem jej nigdy marnego słowa, ani jednego słówka...

*

I znów minęło kilka lat. Pewnego wieczora przyszła ze dworu Nastia. Fedor spojrzał na nią i zbladł:

— Nastia, biedaczko — przyszłaś sama, a gdzie twój mąż?

Nastia płakała, zawodziła... Nie powiedział jej nic więcej. Tylko potem, odprowadzając ją odezwał się na pożegnanie:

— Daj ci, Boże, jak najlepiej, córeńko moja, ale jedno tylko pamiętaj — nie wolno ci dziecka zmarnować. Wstydu i tak nie ukryjesz, a wzięłabyś ciężki grzech na swą duszę. Dajże choć znać przez ludzi, jak ci się żyje...

*

Lata nie zatrzymywały się — szły. Fedor zimą nie wypuszczał z rąk cepa, wiosną — rączki pługa, a latem — kosy. Kości bolały, w stawach piekło. Jedyną ulgę przynosiła mu niedziela: szedł wtedy pod wiśnię, kładł się na zielonej trawie, która jakby wysysała z niego ból. Nie mogła jednak wysączyć bólu, zapiekł się w jego starych kościach. W piersiach zagnieździł mu się kaszel i nie dawał spokoju ani przy kosie, ani przy pługu czy cepie...

*

Wstawał świt, okienko przejaśniało i Fedor powrócił z dalekiej podróży po przeżytych latach... Umył się, pomodlił i zaczął się wybierać do dworu.

„Najmę się u pana od wiosny, wezmę na buty, wezmę trochę ziarna, kaszy i jeszcze coś niecoś, i tak przezimuję, a potem zacznę pracować..."

III

Białe, wąskie ścieżki łączyły wszystkie chaty, tylko jedna — Fedora — stała na uboczu, poza siecią dróżek, jakby nieżywa. Wstawał rano, żeby rozpalić ogień i cośkolwiek ugotować, a potem cały dzień i całą noc leżał na piecu. Im ostrzejsza przychodziła zima, tym częściej wpadał w dziecinny nastrój.

„Teraz wstań, Fedorku, i odkrój sobie kawałek chleba, ale cieniutki, pański. Widzę, żeś się przegłodził!"

Śmiał się, złaził z pieca, kroił chleb i oglądał przy oknie, czy kromka jest „pańska".

W ciemne zimowe noce mówił głośno na całą chatę straszne słowa:

— Wieś wymarła, ale co mi tam, nawet nie spojrzę w tę stronę.

Słowa te straszyły go, pocił się, zeskakiwał z pieca i biegł do

okienka, żeby zobaczyć, czy się w karczmie świeci. Uspokojony, wracał na piec.

Budząc się w nocy nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje, uderzał pięścią w sufit i dopiero ból przywracał mu przytomność.

Tej zimy chata jego zapełniała się upiorami i widziadłami. Szalały po izbie jak zuchwałe dzieci. Wybiegały do sieni, wyziębiając izbę, wylatywały przez komin na strych i tak tam skakały, że z sufitu spadała glina; stukały w okna, aby go wywabić za próg. Nie poddawał się im, tłumił w sobie strach, a wtedy wdrapywały się na piec, szczypały go, dusiły, pchały do ust szmaty. Pewnej nocy zleciały się do jego chaty wszystkie diabły. Tańczyły, aż się dom trząsł, i uczyniły taki wicher, że Fedor drętwiał na piecu; a potem zmęczone siadały na stole i wysuwały języki, takie czerwone jak ten malutki, który wpuścił do stodoły Kuroczki. Leżał jak martwy, podniósł się dopiero, gdy zapiały koguty, i zaczął się modlić. Ale diabły i podczas modlitwy nie dawały mu spokoju. Nie mógł przypomnieć sobie modlitw, które kiedyś dobrze znał, a nawet zapomniał, jak trzeba się przeżegnać. Widziadła tak go zmęczyły, że pod wiosnę ledwie już dyszał i zbielał jak papier.

„Trzeba pożyczyć pieniądze i koniecznie poświęcić chatę, bo przypełzły do niej nieczyste siły całego świata. Wypiły ze mnie wszystką krew i byle wiatr zwali mnie z nóg!"

Gdy zabłysło wiosenne słońce, smarował buty, reperował koszule, plótł sznurki do łapci i pocieszał się myślą, że wkrótce pójdzie do roboty.

„Ubiorę się, obuję porządnie i pójdę do dworu. Proszę wielmożnego pana, przychodzę prosić o pracę".

„Dobrze, Fedor — powie mu pan — widzę, że jesteś sumiennym człowiekiem, gdyż według umowy stawiasz się w terminie do pracy".

Fedor łatał koszulę uśmiechając się słodko.

IV

Fedor stał na pańskim dziedzińcu i patrzył smutno na rząd pługów, ciągnący się od wrót szopy jak łańcuch, którego żelazo skuwało mięso ludzkie z mięsem wołów.

„Skończyła się moja orka! Zestarzało się kółko, to i wyrzucili, żeby się łańcuch w drodze nie przerwał..."

Pokręcił głową i poszedł do stodoły po paszę dla świń. Na dziedzińcu przez cały dzień było cicho, tylko od chat parobków dolatywał krzyk bab i płacz dzieci.

Jeśliby ktoś wybrał najbiedniejsze w całej wsi chaty i wpędził tam najbardziej obdartych chłopów i najbrudniejsze, wymizerowane, pożółkłe baby, a do tego dodał jeszcze gołego dziecięcego drobiazgu i gdyby te chatki ustawił rzędem jedna przy drugiej, to otrzymalibyśmy prawdziwy obraz tych chałupek i ich mieszkańców.

Fedor spoglądał z dziedzińca na te chatynki i kiwał głową:

„Jakże tam można żyć w tych brudach? Lepiej spać w oborze, teraz nie zima... Nie pójdę do tego piekła".

Wieczorem poszedł do obory... Przy żłobach w długich szeregach stały woły żując leniwie owies. Obok każdej czwórki wołów siedział poganiacz i pilnował, aby zwierzęta nie wyrzucały swej karmy pod siebie. Na ziemi siedzieli oracze i siewcy. Naprawiali łapcie, zszywali sznurkiem dziury w odzieży i strugali kije do oczyszczania pługów z ziemi. Każdy z nich coś robił. Fedor przysiadł z boku. Woły — jeden po drugim — układały się leniwie na słomie, za nimi ułożyli się w żłobach poganiacze i reszta ludzi. Oborę zaległa głęboka cisza, która po długiej orce przygniotła, niby ciężki kamień, robotników i zwierzęta. Fedor też wlazł do żłobu.

— Ej, świniopas, idź sobie od wołów do świń! Jeszcze ci tu posłanie robić? Won stąd! Dosyć twoja Maryjka nam dopieka. Zmówiła się ze stangretem, diabelska kucharzyca, i daje mu co lepsze, a teraz jeszcze ty włazisz nam na łeb, won!

Fedor wylazł ze żłobu i ułożył się pod wrotami na wiązce słomy. Zapomniana krzywda znów się w nim ocknęła.

— Będziesz miał grzech za mnie, Andryj — wielki grzech!

W oborze słychać było westchnienia śpiących, czasem ktoś ziewnął lub zagadał przez sen, a oddechy były tak głębokie, jak gdyby gdzieś pod ziemią dusiły się tysiące ludzi.

— Módl się za mnie, Andryj — niech mnie Bóg strzeże, bo jeśli mnie nie skieruje ku lepszemu, upiekę cię w ogniu jak świnię. Trzy dni będziesz zbierał popiół ze swego bogactwa.

V

Od tej pory Fedor nie przychodził na noc do obory i nie rozmawiał z parobkami. Spał w stodole i starał się unikać ludzkich oczu.

Po Wielkanocy Maria wyszła za stangreta i wyjechała z nim na służbę do innego pana. Fedor wyszedł za wrota pożegnać się z nimi.

— Maria, pamiętaj, przy ludziach mówię: chata jest dla Nasti, nie wypędzaj jej! Toż ona biedaczka sama, samiuteńka...

Wrócił na dziedziniec, schował się w chlewie i tam zapłakał:

— Z kimże mam teraz żyć?

Tego dnia upił się i poszedł do obory.

— Ej, pańskie sługi, teraz już nie wyganiajcie mnie, moja Maria poszła!

— Kto was wygania? Kładźcie się spać, jak macie w czubie.

— Pewnie, pijanemu i sam Bóg każe spać. Ale ty mówisz: kładź się, a ja ciebie pytam: gdzie mam spać? Kiedyś taki mądry, to powiedz: gdzie ja będę spał?

Przysunął się do Procia tak blisko, aż trącił go nosem.

— Gdzie legniesz, tam będziesz spał.

— A jeśli legnę w żłobie — to co?

Zaśmiał się groźnie:

— Ja leżę w żłobie, a ty mnie za włosy i pałką po karku — won, stary psie!

Poganiacze powyłazili ze żłobów, aby nacieszyć się widowiskiem.

— Bij, wyganiaj ze żłobu, przecież tyś tu gnił i tu zgnijesz; ty nie wiesz, co to człowiek, boś ty wół, co nigdy chaty nie widział! Porządnego człowieka pałką wypędzasz ze żłobu! Zapytaj ty mnie: a gdzież, dobry człowieku, byłeś przedtem? To ci odpowiem: byłem między ludźmi. Ale ty zapytaj: dlaczego to ludzie ciebie przepędzili? Na to ci nic nie powiem, tylko trzy słowa: nie ma Boga w ludziach. I ty, mądra głowo, już będziesz wiedział...

— Idźcie spać, stary, i nie gadajcie głupstw. Jutro pójdziemy na wybory do wioski i trochę poturbujemy bogaczy.

— Ja też pójdę na wybory i opowiem ludziom o mojej krzywdzie, ale do żłobu nie pójdę, nie chcę tam gnić. Ja więcej od was wiem i więcej widziałem niż twój pan, mogę ci więcej powiedzieć, jak na śledztwie. Ja się w szynkach tarzałem pod stołem, obijałem się po wszystkich więzieniach. Niech Bóg moje grzechy policzy,

nie boję się, odpowiem za wszystkie i tak wyrąbię, jak teraz tobie. A kto mnie uczył rozumu? Bili mnie wszystkim, co pod rękę popadło. Nie bój się, opowiem wszystko aż do końca. Bóg dał mi opamiętanie i znów wróciłem do naszej wiary. Jak zobaczyłem w polu jego łaskę niebieską, kiedy zboże prosiło o sierp, a ziemia mówiła: „Chodź, Fedor, zbierz ze mnie plon" — to na środku drogi rzuciłem szynkarza i wróciłem po bożemu do pracy. I po dziś dzień dziękuję Bogu.

Żegnał się, bił pokłony i całował ziemię.

— Wróciłem do swoich ludzi i jakby mi światło zajaśniało! Ach, jak pracowałem! Ożeniłem się, wystawiłem chatę, o — tymi odciskami na rękach. Już mi powinno być lepiej, ale grzech trzeba odkupić, bo Bóg nie kijem bije. Umarła moja Kateryna, Jego wola. Pocieszam się dziećmi, karmię, piastuję. Wyhodowałem, a ludzie je zmarnowali. Nastia poszła w najmitki, a Maria pociągnęła z tym Polakiem, będzie jej jeszcze gorzko. Ale nic, niech mnie Bóg skarze, jeśli wyrzekam. Kara musi być!

Zostałem bosy. Idę do niego w taką słotę: daj, mówię, pieniędzy, muszę się obuć. A on na to: idź, gdzie chcesz, i najmij się gdziekolwiek. Przyszedłem do was, a wy mnie — won! Dokąd ja teraz pójdę? Karze mnie Bóg, karzą ludzie i wy też, a ja nie mam już siły znieść tej kary.

— Kładźcie się w żłobie, dziadku, prosimy was.

— Niech będzie kara, przyjmuję ją, ale niech będzie sprawiedliwa.

Rozerwał na sobie koszulę, zdjął ją i rzucił na woły:

— O, patrzcie, jaką bogacze zostawili na mnie skórę! Jak tu żyć? Co tu jeszcze karać?

Wyciągnął się nagi na ziemi. Parobcy okryli go wszystkim, czym mogli.

VI

Przed kancelarią gminną stały dwie gromady: jedna obdarta, obca wiosce, obojętna, druga — czysta, jasna, ruchliwa: parobcy i gospodarze. Z tej i z tej gromady wychodzą kolejno wywoływani ludzie, idą do kancelarii głosować. Rządca dworski aż ochrypł po-

wtarzając każdemu z parobków nazwisko dziedzica, sołtysa i szynkarza. W tłumie kręcili się żandarmi, uśmiechnięci, jakby przyglądali się dziecięcej zabawie.

— No, chłopcy, wybraliśmy! Posłem będzie nasz pan! Siadajcie, napijemy się wódki — powiedział rządca.

Gospodarze zaczęli krzyczeć:

— To wszarze! To żebracy! To pańskie bydło!

— Ej, chłopcy, słyszycie, jak bogacze krzyczą?

— Niech sobie krzyczą, a my pijmy wódkę!

— Ogień pijcie! Krew swoją pijcie, łajdaki!

— Wódki chcemy!

— To panowie ustanowili takie prawo, żeby obdartusy miały coś do gadania!

— A ty, mądralo piśmienny, myślisz, że ja nie byłem w czytelni? Tam też biedny naród stoi przed progiem. Za stołem siedzi ksiądz, rada cerkiewna, bogacze, diak czyta gazetę, a wy kiwacie głowami jak te woły, jakbyście coś rozumieli. A przecież jeden w drugiego takie durnie, że ze świecą nie znajdziesz! To ci dopiero czytelnia: bogacz za stołem, a parobek u proga. Tak samo w cerkwi i w kancelarii, wszędzie tak. Jakże możemy iść razem z wami?

— Chamska głowa nie do czytania, a chłopski tyłek nie do fotelu! — Parobcy roześmieli się.

— Cicho tam, brudasy! Najprzód wszy wybierzcie, a potem uczcie gospodarzy.

— Ej ty, Kuroczka, ty też z nimi? Toś ty gorszy od ostatniego pogana! Czego się drzesz? Nie bój się, twoje bogactwo poleci z wiatrem! Pamiętasz, jak pracowałem u ciebie, jak mnie od tej pracy choroba skręciła? A czy przez tydzień dałeś mi choć raz kawałek chleba albo wody do napicia? A teraz ty z narodem? Zostawiłem u ciebie wszystkie siły, a tyś mnie zimą bosego wygonił! Tyś gorszy od ostatniego pogana, choć niby z naszej wiary. Poczekaj, już tam dzieci rozporządzą się twoim bogactwem, tak że z niego i śladu nie zostanie. Ty heretyku, bisurmanie!

Kuroczka uderzył Fedora w twarz, aż ten zalał się krwią i upadł.

— A no, chłopcy, porachujemy żebra bogaczowi!

Parobcy schwycili Kuroczkę, gospodarze ujęli się za nim, polała się krew...

VII

Fedor leżał w swojej chacie. Czerwone języczki rozpalały mu oczy jak węgle. Języczki te tysiącami rozbiegały się po ciele, świecąc jak błyskawice, biegły po żyłach i znów wracały do oczu. Gryzł pięści i bił czołem o ścianę, aby wytrząsnąć z oczu ogień.

Płonął cały, czuł, że zionie ogniem, chwytał się rękami za oczy. — Straszny jęk, nieludzki krzyk! Języczki wylatywały z ciała i czepiały się szyb okienka. Fedor zerwał się. Okienko czerwieniało jak świeża rana i zalewało chatę krwią.

— Niech wszystko moje się spali! Wszystko, co zostawiłem na jego podwórzu.

Podskakiwał, tańczył, zanosił się śmiechem.

Okienko drżało, trzęsło się i do chaty napływało coraz więcej, więcej krwi. Wybiegł za próg.

Na ziemię padały gwiazdy, las skamieniał. Gdzieś spod ziemi wyrywały się cienkie, wysokie głosy i zamierały. Chaty ożywały, trzęsły się i czerwieniały w płomieniach.

— Ja cudzego nie chcę, niech tylko moje się spali!

1900 r.

ZWIASTUNY

Będą to staruszki, biedne wdowy czy też ich wnuki, albo zgrzybiali starcy — ci, którzy gnieżdżą się u swoich dzieci i ciągle czują, jakim są ciężarem dla rodziny — albo będą to młode kobiety z małymi dziećmi, porzucone przez mężów, którzy gdzieś tam, w wielkim mieście zapomnieli nawet o ich istnieniu. Wyjdą długim szeregiem w pole, koło krzyży nie ocienionych już teraz zielenią, pozostawią za sobą błyszczące, gładkie, szare drogi i rozsypią się po szarym, jednostajnym ściernisku; dzieci będą zbierać kłosy, a starcy — suche łodygi i badyle.

Pójdzie także dziadek Mychajło ze swymi wnukami: dwoma chłopakami i starszą od nich Oksaną. Malcy, jak źrebce, to będą przeganiać dziadka, to znów pozostawać w tyle, a Oksana zawsze będzie szła obok. Dziadek będzie niósł podartą, brudną parciankę i będzie pokaszliwał. Oksana trzymać będzie w rękach chleb dla chłopców i dla siebie. Będzie to w samo południe, a dziadek wciąż będzie mówił do Oksany:

— To słońce, córeczko, już z przymrozkiem.

Będą szli, szli, aż zatrzymają się na jednym z pól. Dziadek przystanie koło miedzy, Oksana pójdzie w pole, a dzieci pobiegną szukać nor zwierzątek, przeźroczystych źródełek, bacików i nożyków zgubionych przez pastuchów.

Oksana podniesie każdy napotkany kłosek, będzie je zbierać do lewej ręki, a gdy już uzbiera dużo, położy na wzgórku, aby było potem łatwo znaleźć. Będzie szukać wgłębień i jamek — tam bywa więcej kłosów. Będzie się sto razy na minutę schylać i wyszukiwać jak najgorliwsza robotnica. Wkrótce zaczną jej migotać przed oczyma żółte i niebieskie plamy, albo jedna połowa pola będzie taka jak jest, a druga zielona. Przystanie, zakryje dłonią oczy, postoi tak minutę, potem szybko odejmie rękę — i zasłona z oczu spadnie. A czasem

zaśpiewa piosenkę, zaśpiewa sobie po cichutku, wstydliwie, z radością wielką, że już może śpiewać. Składać będzie nutkę z nutką, słowo ze słowem drżąco i niepewnie, jak małe dziecko, które stawia pierwsze kroki i radośnie stąpa czystymi nóżkami po ziemi. A gdy znajdzie kłosek, wtedy przerwie pieśń, aby na nowo rozpocząć ją drżącym, cienkim głosem podobnym do pajęczynki drgającej na ściernisku. A jak dojdzie do końca zagonu, wtedy siądzie na polnej dróżce i główkę podeprze swoją maleńką piąstką podobną do kulki łopianu — który gdzieś obok cichutko szeptać jej będzie o przyszłości...

Dziadek nie usiądzie, lecz zegnie się w kabłąk i zacznie kaszleć.

— Nie wiem, co to tam w środku nie daje mi oddychać: gdyby tak rozciąć piersi i wyrzucić stamtąd tę zepsutą krew, to może bym jeszcze pożył trochę...

I znowu będzie wyrywał suche badyle, będzie zginał się wpół i kaszlał. A podczas roboty najdą go myśli o jesieni, o zimie i o wiośnie. I tak mu się coś w głowie zaroi, że zapomni i o suchych łodygach, i o kaszlu.

— Jak jest czym palić w zimie, to się mniej jeść chce. Trzeba wstać raniutko, odgarnąć śnieg od progu, nanieść z drewutni suchych łodyg, włożyć do pieca — i od razu zrobi się w chacie weselej. Kateryna ugotuje kuleszy, a gdy dzieci się zbudzą, czekać już na nie będzie łyżka gorącego barszczu i ciepły piec i tobie, dziadku, ciepło będzie. Jak nie może być lepiej, to i tak dobrze. A łodygi jak są suche, to bardzo są dobre...

I rwać je będzie dalej, z jeszcze większą gorliwością i siłą. I myśli biec będą jedna po drugiej, a on ich nie będzie odganiał. „Żebym tylko nie umarł, zanim dzieci podrosną — dla Oksany byłoby to szczęście: poumieszczałbym je wszystkie u ludzi — niechby same na siebie pracowały, a ona, głupia baba — co ona rozumie, płakać tylko umie! Ja bym je na dobrą drogę poprowadził lepiej niż ona..."

Teraz zawoła dzieci. Podbiegną do niego z wydrążoną tykwą.

— Hej, dzieci, a wy czemu nie pomożecie Oksanie? Jeść to będziecie chcieli, co? Idźcie, pobawcie się trochę koło niej, jej się pewno nudzi.

Dzieci pójdą do Oksany, a dziadek dalej będzie snuł swoje myśli. „Dzieci są zdrowe, rosłe, żeby tylko doczekać! Ten młodszy cwany jest jak stary. W zimie zawsze wyprosi buty — mówi, że mu źle na

piecu. Ileż to z nim śmiechu — nie daj Boże, żeby umarł, osierociłby nas całkiem..."

Popatrzy na słońce, czy już nisko świeci na niebie, i na łodygi popatrzy, czy ich dużo uzbierał. Potem zawoła Oksanę, aby pomogła mu je znieść i otrząsnąć z gliny. Złożą łodygi na kupę i będą obijać je kijami. Nad nimi wzbije się słup kurzu — dziadek zacznie kaszleć. Oksana zmruży oczy, a dzieci z apetytem będą zajadały chleb. Będzie wtedy zachodziło słońce. Z okolicznych wiosek przypłyną na pole dźwięki dzwonów i słać się będą po rżysku wraz z rosą, na drogach zabeczą owce, nawoływać będą pastuchy, oracze na polu wyciągać będą pługi z bruzd i zbierać się do domu. W dolinach unosić się będzie szara mgła, wrony ciągnąć będą stadami w stronę sadów wiejskich, a psy pobiegną do domu — dziś nie będą już mogły łowić przepiórek w polu.

Dziadek Mychajło przeżegna się, otrzepie pył z koszuli i zacznie kaszleć. Potem nałoży pełną parciankę łodyg, wnukowie pomogą mu zarzucić ją na plecy i wyjdą na drogę. Oksana nieść będzie swoje snopki kłosów, a dzieci będą zbierać łodygi, które wypadną z parcianki, i chować je za pazuchę. Zanim dojdą do domu, koszule ich będą na piersiach bardzo wypchane, a brzuszki czarne od kurzu.

Wszyscy spotkają się we wsi: i biedne wdowy, i ich wnuki, i starcy, i młode kobiety porzucone przez mężów — wszyscy z wiązkami badyli i ze snopkami kłosów.

Zwiastuny zbliżającej się jesieni.

1900 r.

MAJ

Danyło czekał koło białej bramy, patrzył jak złodziej na pański park i bał się wejść.

— Albo ja wiem, czy tu można wejść — a jak nagle ktoś wyleci i da mi w pysk? Skąd ja wiem, czy nie da?

W pańskim parku były czyściutkie, proste ścieżki. Tylko tymi ścieżkami mógł się dostać do dworu, ale bał się, że go za to zbiją. Czekał więc koło bramy.

Wszyscy chłopi, a jest ich wiele milionów, umieją czekać długo i cierpliwie. Gdy pan jest w kancelarii, wtedy czekają stojąc. Żeby ich nie wiem ilu było, nie dadzą o sobie najmniejszego znaku życia. Stoją cichutko i stopniowo tępieją. Kiedy tak śpią stojąc, sprawiają wrażenie odrętwiałych i bezgranicznie obojętnych, a urzędnik kręcący się wśród nich wygląda jak czarna mucha, która wpadła w gęsty miód. Temu, który stoi najbliżej stołu urzędnika, jest najgorzej: nie może spokojnie zasnąć. Co chwila wytrzeszcza oczy i trwożnie rozgląda się dokoła. Za nim szeroko otwierają oczy jego sąsiedzi i rozglądają się — niepokój tego, który stoi na przodzie, udziela się wszystkim, aż do ostatniego, który stoi tam pod piecem. Ten pierwszy jak wiatr na niwie niepokoi wszystkie kłosy, od drogi począwszy aż hen, po miedzę.

Gdy nie ma pana w kancelarii — siadają. Dobrze choć pół godzinki odpocząć, dobrze, gdy choć ręka czy noga odpocznie. Stłoczą się i siądą jak bądź. Tylko czapki trzymają ostrożnie, żeby się nie zgniotły. Gdy się już usadowią wygodnie, zaczynają szeptać między sobą:

— Dobrze by było fajeczkę zapalić.

— Dajcie spokój!

— Macie tytoń kupowany?

— Nie, samosiejkę.

— Ciszej, wy tam, jeszcze kto usłyszy... i...

Wszyscy wkładają ręce za pazuchy i zasuwają swój tytoń prawie aż na plecy, żeby tylko jakiej biedy nie było! Szept cichnie, nieruchomieją twarze, na wargi spływa ślina, a głowy opadają w dół. Jeśli będzie wśród nich jakiś niecierpliwy, wówczas, tak jak i ten na przodzie, nie da nikomu spokojnie posiedzieć na ziemi. To mu ręka zdrętwieje, to go coś nagle w sam kark tak kolnie, że nie wytrzyma i zacznie się wiercić. Za nim zaczną wiercić się sąsiedzi i cały system wzajemnego oparcia przepada. I znowu zacznie się układanie nóg i rąk, dopóki jakaś nowa bieda nie naruszy porządku.

— Boże, jacyż to niecierpliwi ludzie! — powie jakiś bardziej opanowany i zaraz znowu zamknie oczy.

Tak właśnie czekają. Tak też czekał koło bramy Danyło, choć był sam-samiuteńki. Ogarniała go senność, obojętność i myśli mieszały mu się w głowie. Gdy szedł do pana, miał całkiem jasno ułożony plan. Gdy zobaczy pana zdejmie czapkę z głowy i pójdzie ku niemu jak bocian po miedzy — ostrożnie, pomału, żeby nawet o kamyczek pański nie zawadzić! Jak już będzie całkiem blisko, wytrzeszczy na pana oczy i będzie patrzyć tak, żeby pan sobie pomyślał: „To musi był bardzo biedny człowiek!" Potem podejdzie, ucałuje dłoń pana z obu stron, przyciśnie czoło do dłoni i odrobinę cofnie się w tył; opuści ramiona, rzuci czapkę za siebie, obetrze rękawem usta i powie:

— Przyszedłem nająć się do roboty. Ciężko mi na przednówku, mam czworo dzieci i tylko mały kawałek ogrodu. Muszę się nająć, a robotę każdą znam, bo pracuję całe życie. Proszę łaski Boga i waszej, panie, żebyście się zgodzili i żebyście mi dali najprzód miarę ziarna dla żony i dzieci, a do roboty stanąć mogę nawet zaraz.

Pierwsze słowo pana będzie:

— Tyś pewnie złodziej?

— Ja, panie, jeszczem nigdy cudzego źdźbła nie tknął.

— Kłamiesz, łotrze, widziane to rzeczy, żeby chłop nie kradł? Czyś ty nie chłop?

— To prawda, jam prosty chłop, ale cudzego nie lubię brać.

— Toś ty na pewno pijak?

— Nie znam wódki: nie mam za co!

— Kłamiesz jak pies, ty byś przecież umarł bez wódki!

— Bez wódki nie umrze się, a bez chleba można umrzeć!

— Coś ty mi za mądrze odpowiadasz, pewno w więzieniu byłeś i tam cię rozumu nauczyli.

— Niech Bóg broni! Pół życia już przeżyłem, a nawet w areszcie jeszcze nie siedziałem.

— A po coś tyle dzieci napłodził?

— Bóg dzieci daje, wielmożny panie.

— To cię ksiądz tak nauczył?

— Ja się z księdzem także nie zadaję, to kosztuje dużo pieniędzy, nawet do cerkwi nie chodzę, bo nie mam w czym.

— Toś ty radykał i nie dajesz księdzu skóry z siebie drzeć.

— Jeślibym nawet chciał coś księdzu dać, to nie dam — bo nie mam co, a on, gdyby nawet chciał coś zedrzeć, to nie zedrze, bo nie ma co drzeć. Dlatego też się nie znamy.

Dobrze wiedział, że pan musi najpierw zmieszać człowieka z błotem, pastwić się nad nim do syta, dopiero potem przyjmie do roboty. Więc szedł pewny siebie. Gdy jednak podszedł do bramy, stracił rezon. Dwór ten stał w drugiej wsi, więc nie wiedział, jak się do niego wchodzi. A jeszcze do tego stał w szczerym polu i nie było kogo zapytać. Czekał więc Danyło. Jasny plan działania znikł; Danyło drapał się w kark i nieśmiało zaglądał za ogrodzenie.

— Pewno chodzą tymi ścieżkami na spacer, dlatego posypano je piaskiem.

Długo błądził oczyma po ogrodzie, aż wzrok jego spoczął na pawiu, którego ogon mienił się wszytkimi barwami.

— Gdyby tak zabiec mu drogę i wczepić się w ogon obiema rękami, można by ładny grosz dostać za takie pióra... Ciekawe, czy mięso tego ptaka można jeść?

Rozglądał się dokoła.

— O, ziemi to ma dosyć i dobrze uprawionej. Ale gdzie on to wszystko podziewa?

Myśli zaczęły biec w różne strony.

— Taka ładna wiosna, bardzo ładna, i z każdym dniem ładniejsza!

Już więcej na nic nie patrzył. Siedział jak pień i czuł, że zaraz uśnie. Aby nie ulec pokusie, szeroko otwierał oczy, tarł ręką twarz i podobny był do niefortunnego wojownika, który już — już ma się zdać na łaskę i niełaskę wroga. Wsparł się o ogrodzenie kołc

bramy i chciał widocznie równocześnie spać i czekać. Potem wyciągnął się już całkiem i zamknął oczy. Nie minęła minuta, gdy coś mu szepnęło do ucha:

— Spij, śpij pod pańską bramą, zaraz cię furman tak batem zdzieli, że aż krew pójdzie!

Podskoczył jak oparzony, bojaźliwie rozejrzał się dokoła i zastygł w bezruchu. Stał tak chwilę, potem odszedł od bramy w pole. Rozciągnął się na trawie i ułożył wygodnie do snu. I przyśnił mu się pan i jego ręce, i białe ścieżki. Pan jakby mu kazał włożyć czapkę, ale on nie śmiał.

— Wielmożny panie, jestem biednym człowiekiem, nie mogę przed panem w czapce stać — bo jestem biedny, taki biedny człowiek...

Słodki sen nasuwał mu różne widzenia i Danyło spał spokojnie. Słońce śmiało się z niego, obsypywało go swoimi promieniami i gładziło po głowie jak matka. Kwiaty całowały jego czarne, zmierzwione włosy, przeskakiwały przezeń koniki polne. Spał spokojnie, a jego czarne nogi i czarne ręce wyglądały jakby przyprawione do opalonego ciała.

1900 r.

POGRZEB

Na przodzie — oberwane chłopię w bieluśkim kołnierzyku. W rękach trzyma czarny krzyż i wpatruje się weń bez ustanku. Za nim czworo jego rówieśników niesie trumnę. Cała trumna niebieska, a na jej wieku bieluchny, cieniuchny krzyżyk. W głowach trumny przybity wianuszek z brudnożółtych kwiatów. Z tych kwiatów, co to rosną wśród kamieni na brukowanych dziedzińcach. Wianuszek przypomina kołaczyk* składany w cerkwi przez biednego chłopa na intencję zbawienia duszy.

Za trumną wlecze się kilka kobiet. Gdy się na nie patrzy, trudno rozpoznać, która z nich jest młoda, a która stara. W rękach trzymają maleńkie zgasłe świeczki i doniczki z na wpół zwiędłymi kwiatami — suchotniczymi kwiatami, co to nigdy nie oglądały do woli słońca i zawsze z jednej strony są brudnozielone, z drugiej jaskrawożółte. Pod nogami — mokre kamienie. W powietrzu wisi gęsty nieruchomy szron.

Jedna z kobiet płacze, a druga mówi:

— Kiedy był zdrów, to całymi dniami bawił się koło mojej budki. Kopał, bywało, w rowku — co go wyżłobiły krople padające z dachu — i wyciągał różne kamyczki. No, powiadam wam, jak to kurczątko bez kwoczki, jak to kurczątko. Nie kłamię, prawdę mówię: codziennie kupowałam mu czerstwą bułeczkę i przywoływałam do siebie, do budki. A on siadał koło mnie i jadł. A jakże on pięknie jadł! Rączyny malusieńkie takie, a on poszczypuje nimi maciupeńkie okruszynki i — do buzi, i do buzi. Niech policzy mi Bóg te bułeczki, co mu je dawałam.

Kobiety zanoszą się nieutulonym płaczem.

* Kołaczyk — rodzaj bułeczki poświęcanej, składanej w cerkwi na jakąś intencję.

— Jesień, jesień go dobiła, to wilgotne powietrze i chłody. Was całymi dniami nie ma w domu, a jego tak rżnęło, rżnęło i dorżnęło. Przychodziłam do niego i świeże bułeczki mu przynosiłam, ale nie chciał już jeść. I tylko wodę trzeba mu było podawać. Leżał i jak ta rybka ciągle otwierał usteczka. A potem zsiniał i żar aż buchał od niego! Jakby kto pod nim ogień rozniecił, a kosteczki jego rzucił — jak drwa na spalenie...

Idą wszystkie zmęczone, wybladłe i krzyżem przecinają szary zamróz.

— Ale umarł, to pewnie przez tę kozetkę, na której leżał. Skądeście ją dostali? Jak Boga kocham, niczym trumna z porwanych worków. Na takiej kozetce zmarłoby się i zdrowemu. Bałabym się tej kozetki, gdybym tak miała zostać z nią sama. Uciekłabym albobym ją porąbała, ale w domu bym tego nie zostawiła.

— To kozetka jego ojca, na niej on się urodził, to dziedzictwo. Kiedy przenosił się z pierwszego piętra, zostawił ją nam.

— A gdzież on teraz?

— Nie wiem.

Mała procesja skręciła w inną ulicę. Czarny krzyż pokryły siwe kropelki, chłopcy skostnieli, a kobiety ledwie powłóczyły nogami.

Idą środkiem ulicy, jak poszarpane cienie, obce, nieznane nikomu.

A cmentarz — blisko, tylko dojrzeć go nie można poprzez szary zamróz.

1900 r.

SEN

Spał mocnym snem.

Las szumiał, jęczał; delikatny dźwięk ulatywał z gałązek i opadał razem z zamarzniętym szronem, zupełnie jakby spadały maleńkie dzwoneczki.

Wiatr wył jak wypędzony pies.

Niebo czyste, zastygłe, a księżyc na nim jasny, jak na Boże Narodzenie.

Parobek spał mocnym snem. Głowę odrzucił na swoją kupę kukurydzy, a nogi rozłożył na dwóch pańskich. Czarne włosy posiwiały od mrozu, rudy serdak zbielał, silne ręce nie czuły chłodu, a ogorzała od wiatru twarz przybrała kolor cegły.

Mówił przez sen i po każdym słowie z ust jego unosiła się smuga białej pary. Wiatr znosił jego głos w stronę lasu i odbijał długo od drzewa do drzewa.

— Nie tykaj; to zapracowane; komu zabierasz — też znalazł bogacza...

Wzniósł pięść, lecz opadła bezsilnie na suche łodygi kukurydzy.

— Mogę pracować, ręce mam krzepkie, niczym te końskie kopyta... Walnę raz i już trup...

— A ziemię całuj wszędzie, gdziekolwiek byś stąpił: twoja czy obca, ona cię karmi; swoja rodzi i cudza rodzi... Co prawda, to prawda! A ziemia — to wszystko, jeśli tylko twoja. Ona ciebie i ogrzeje, i ubierze, i nakarmi, i do honoru doprowadzi...

Zakaszlał, jakby zatrąbił w potężną trąbę.

— A jak nie masz swego pola, to nie masz gdzie się podziać na świecie. Och... nie, nie, nie...

Podłożył pięść pod głowę.

— Długo klepałem biedę na cudzych polach. Ale Pan Bóg mi pomógł, daj tak, Boże, każdemu. Masz — mówi — kęs ziemi, ale nie

wypuszczaj go z rąk, trzymaj ją... Zębami trzymaj, kochaj jak żonę, co ci przypadła do serca...

Czapka spadła mu z głowy, uniósł ją wiatr.

— Hej, Panasie, zdejm czapkę, przecież pierwszy raz tej wiosny wyszedłeś w pole — taki z dawien dawna zwyczaj... Da Bóg, będzie pszenica. Napieczemy kołaczy i damy tym, którzy nie mają z czego piec... Damy, damy, jak nam Bóg da, to i my damy...

Rozrzucił ręce na krzyż...

— Miedza — i ta chce rodzić kłosy, taka sama to ziemia, a może nawet lepsza... Po śmierci zostawię ci wszystko... Spójrz, jakby obrus równa, tylko że czarna. Ja ci tym obrusem w polu stół nakryję, a ty będziesz jeść i błogosławić będziesz, że miałeś takiego ojca...

— A wiosna piękna, uważaj, nie wałęsaj się, oraj ziemię. Woły trzeba napoić i wracać przed zmierzchem: jeśli bydła nie obrządzić, to grzech większy niż...

Obudził się słysząc jeszcze w półśnie swoje ostatnie słowa. Popatrzył na niebo, podniósł czapkę, pogładził dłonią nagą pierś, przeżegnał się...

— Cóż to za siarczysty ziąb już od jesieni! Tylko patrzeć jak sypnie śniegiem... Na świecie zima, a mnie się taka przyjemna wiosna przyśniła... Ej, Jakiw! Obłupujże kukurydzę, czyż można tak długo spać?

1900 r.

WSCHODZĄCA OZIMINA

Po wsi rozpływa się, płynie cieniutkimi strumyczkami, rozsypuje się na najdrobniejsze kropelki jeden dźwięk: jesienny wiejski ton. Ogarnia i wieś, i pole, i niebo, i słońce. Zawodząc smutne pieśni unosi się nad zoranymi polami, szeleści zwiędłymi trawami na miedzach, chowa się za czarne chruściane płoty i razem z liśćmi opada na ziemię. Śpiewa cała wioska, lękliwie uśmiechają się białe chaty, okna piją słońce.

W jednym z ogrodów zielenieje łatka ozimego żyta, a obok niej na kożuchu leży dziad, biały jak mleko. Sędziwy starzec o zgaszonych oczach. Obok kożucha leży kij, równie stary jak dziad, o rączce wytartej dłonią aż do połysku. Słońce świeci prosto w twarz dziada, jakby tylko jego miało ogrzewać na ziemi. Starzec tak pogrążył się w słuchaniu jesiennej pieśni, że sam też zaśpiewał głosem cieniuchnym, dziecięcym. Zagadał, a z orzecha spadają nań szerokie liście. Białe motyle krążą nad dziadem, starają się osiąść na jego białych włosach. A on i gada, i śpiewa, a koguty od sąsiadów słuchają i wtórują mu.

Starzec czyni wyrzuty swojej śmierci.

— Nie potrzebneś mnie — krzyczy piskliwie do słońca — nie szczerz do mnie zębów po próżnicy. Mnie teraz potrzebny tylko dół i cztery deski. Na próżno się trudzisz; znajdź sobie młodego, a do mnie ją przyślij, bo zapomniała, suka, o dziadu... Dobry kosiarz, nie ma co mówić! Kłos dojrzał, ku ziemi się chyli, całuje ją, sczerniał już, a kosiarz czeka! A na co? Myślisz może, że puszczę się w tany? Przeżyłem swoje, zadowolonym, dosyć jak na mnie. Zabieraj najostatniejsze ostatki mego ducha i puść już od stołu... dosyć już...

— A może het, na wojnie, może tam ona szuka; ginie tam młódź taka, że tylko całować. A tutaj, co znajdzie — puste pudełko. Nie

pchaj się do młodych, a bierz to, co wedle twych zębów. Młody niech się gospodarstwem zajmuje, niechaj dzieci wszelakiego rozumu uczy, nie ujdzie ci on, chociaż nie jest na wojnie, a ty go ostaw! Do dołu zgarnij to, co do niego przynależy...

— Patrz, jakie ręce — podnosi je blisko do oczu — i jak z nimi żyć? Skóra już tak stara, że nie załata nią nawet zeszłorocznego łapcia. Co można zrobić takimi rękami? Zaczekaj, nie drżyj, kiedy z tobą mówię. A mięso gdzie? Ja zjadłem, czy jak? Nie ja przecież. A jeśli mięso smakowało, niechaj smakują i kosteczki. Dogryzaj, nie trzeba było zaczynać...

— Bo jeśli mam ręce, to idę swoją drogą, a moja droga, popatrz tylko, setkami dróżek rozbiega się po polu. I kartofelki wykopię, i kukurydzę wyhoduję, i bruzdę wykopię jak się patrzy, i ziarenko posieję — rękami przecież wszystko zrobię! Ale bez rąk — głupim z kretesem, jeśli chcesz wiedzieć! To żadne dziwo wykierować człowieka na nice, a potem uciec na złamanie karku! Nie, wielmożna pani, zawracaj, zarzucaj na plecy i ciągnij, gdzie mi leżeć sądzono.

Na oziminie zjawiają się kury i zaczynają dziobać.

— Kysz, a kysz! Bo na kapustę posiekam! Nie zważaj, żem już stary, takiego zwierza jeszcze zmogę, jeszcze zmogę! Czy na podwórzu nie macie nic do dziobania?

Wstaje i opierając się na kiju idzie ku oziminie.

— Taka zieleń, a one psują... Ziemia — to zawsze młoda, jak ta dziewczyna: w święto wystroi się odświętnie, w powszedni dzień — codzienną odzież przywdzieje, ale cięgiem dziewczyńska, od przedwiecznych czasów.

Siada pośród zielonej oziminy, opiera się na kiju i milczy. Milczy, a wioska wokół niego śpiewa smętnie i z wierzb padają na niego złote liście.

1900 r.

CUDACZNY PANEK

Ten maleńki panek mieszka w maleńkim miasteczku, w którym wiele jest drobnych kupców i tylko jeden sklepik z wódką. I stoi to obumarłe miasteczko pośród wiosek jak cuchnąca padlina, jak śmietnisko całego powiatu. W dni targowe ożywa, pstrzy się od przybyszów z wiosek, raduje. Na bazarze stoi namiot, grają tam jacyś dziwni muzykanci, spomiędzy jego płóciennych ścian szczerzą zęby straszliwe zwierzęta, jakaś woskowa dziewczynka uderza w brzęczące talerze. A przed namiotem stoi lud wiejski w pstrych strojach i patrzy. Cały tłum wparł się oczyma w drewnianego błazna, który wyskakuje z dachu namiotu i wymachując rękami wzywa wszystkich na przedstawienie. Śmiech, hałas, chichotanie do łez.

Z namiotu wychodzi drewniana dziewczynka i ściska błazna. A śmiech na rynku taki, że wszystkim aż uszy zatyka, urzędnicy w biurach aż spadają z krzeseł. Cały ten wiejski śmiech echo roznosi po rynku. Starzy chłopi ciągną synów i synowe za ramiona, żeby szli po zakupy, a ci ani myślą porzucać zabawy. I dopiero pod wieczór rozpełzają się ludzie zostawiając opustoszały, brudny bazar, który zieje na miasto oparami, niczym ogromna stajnia. W tym właśnie miasteczku mieszka maleńki panek. Jest emerytem, nie ma dzieci ani żony. Jest siwy, siwą ma czapkę i szarą odzież. Kiedy inni panowie usiłują pogadać z nim, on zaczyna pociągać z kubka piwo, a potem zapomina im nawet odpowiedzieć. Najważniejszy gość — pan starosta — nawet ten nie umie znaleźć do niego drogi. Cały dzień panek milczy w sklepiku i oczekuje chłopów. Czasami zdarza się, że pośle ktoś chłopkę do tego sklepiku po taką wódkę, co to przynosi ulżenie sercu, albo po twardy cukier gronowy, od którego czuje się ulgę w piersiach, a ona staje przed sklepikiem i nie może się zdecydować na wejście. Wtedy wybiega nasz panek i mówi:

— Dlaczego nie wchodzicie? Boicie się? Wchodźcie i mówcie, czego potrzebujecie, ja wam pomogę.

— Ale ja, z przeproszeniem, boję się wejść tam, gdzie panowie.

— Głupstwo, gospodynią jesteś, a za swoje pieniądze masz prawo wejść.

Baba wchodzi, a panek stara się jej usłużyć, jakby jego gościem była. Chłopka chce całować ręce wszystkim panom i wszystkiego się boi.

— Nie całuj, nie liż rąk panom, gospodynią przecież jesteś, większą gospodynią niż ci panowie: masz własną ziemię.

Baba stoi i ze zdziwieniem patrzy na panka.

— Mów, czego potrzebujesz, a odważniej, czas już ukraińskim chłopom zrozumieć swoją godność. Ty panom rąk nie całuj, oni z twej pracy żyją, oni — twymi sługami.

Panowie chichoczą, baba całkiem traci rezon, a panek z gniewem, z wielkim gniewem spogląda na panów. A potem układa jej zakupy i wyprowadza ze sklepiku. Wyszedłszy zaś stamtąd przykazuje, żeby nigdy panom rąk nie całowała, żeby wreszcie zmądrzała i szanowała siebie, dlatego że panowie — to złodzieje i rozbójnicy. Baba śmieje się, dziękuje mu za opiekę i odchodzi. A panek wraca do sklepiku i patrząc z wysoka na panów pogwizduje tak wesoło, że twarz mu młodnieje i rozjaśniają się oczy.

— Pan podżega i buntuje chłopów, każę pana aresztować — mówi ze śmiechem starosta.

Panek ciągnie piwo i ani patrzy w tę stronę.

— I któż by się spodziewał, że pan Sytnyk zrobi się takim anarchistą.

Panek milczy.

— Dawniej ręka w rękę szedł z nami, żartował, grał w karty, a na stare lata wylazła ruska dusza. Moskal zawsze zostanie Moskalem.

Panowie chichoczą, żartują, a Sytnykowi krwią nabiegają oczy.

— A może nie chcę już być taką pijawką jak wy, może nie chcę zatykać poduszkami okien w południe, żeby spać; niewiele mi już życia zostało, chcę więc oczyścić chociaż trochę sumienie przed Bogiem.

— Do łaźni, panie Sytnyk, do łaźni za dwadzieścia groszy, cha-cha-cha!

— Doczekacie się jeszcze kiedyś łaźni, oj, doczekacie się łaźni!

— No, cóż, jeśli zbuntujecie naród, chwycicie za kosy, a chłopi pójdą z wami, to może i będzie łaźnia, ale nie jesteście przecież tacy źli.

Panek poruszył się niespokojnie; do sklepiku weszli dwaj chłopi i zatrzymali się u progu.

— A wy czego sobie życzycie, gospodarze? Nie stójcie jak ci złodzieje, jesteście przecież panami u siebie.

— Darujcie, prosimy, chcelibyśmy wypić po szklaneczce wódki — mówią — a tu jest dobra, zdrowa na żołądek, bo szynkarze to dają wszelakie świństwo...

— Chodźcie ze mną do sąsiedniej izby, usiądziecie tam, zamówicie, jak na ludzi przystało — mówi pan Sytnyk.

— Nie trzeba, panie, my i tu postoimy, nie mamy czasu siadać...

— Widzicie, jaki z was ciemny naród. Weźcie na przykład Niemca — także chłop, a przypatrzcie mu się, jak tu przyjdzie. Ważnie sunie, siada i zawsze tutaj.

Panek pokazuje, jak Niemiec idzie, jak się rozsiada.

Panowie zaśmiewają się, a chłopi stoją i ni tak, ni siak. Opuścili głowy, nie wiedzą, jak się zachować.

— Chodźcież, nie bądźcie jak to bydło, chodźcie natychmiast. Boicie się tych panów? Ale to przecież wasi najmici, żywicie ich, odziewacie, a jeszcze w pas im się kłaniacie!

Chłopi czerwienią się, pocą ze wstydu, ale idą za pankiem. Siadają w drugiej izbie przy stole i milczą. On dzwoni.

— Proszę nam podać litr wódki.

— Pijcie, proszę, a nie oglądajcie się tak, jakbyście trafili do rozbójników. Wasz jestem człowiek, z waszej krwi i kości...

— Niech Pan Bóg da wam zdrowie, panie!

— Panowie zabrali mnie do siebie, służyłem im i zapomniałem o was, w karty z nimi grałem...

— Panowie mają swoje zabawy, a chłopi swoje, każdy po swojemu.

— Nie, to nie tak, teraz inaczej: jeśliś Ukrainiec, to nie wyrzekaj się swego narodu, a jeśli nie trzymasz z nim — toś ostatni łajdak, włóczykij, bandyta, rozumiecie?

— To prawda — każdy powinien trzymać się swojej wiary.

— Otóż to! Ale nie byłem taki za młodu! Miałem w domu jeden

obraz — nie pamiętam już, gdzie go kupiłem — powiesiłem go, był to portret jakiegoś ukraińskiego metropolity. Pewnego razu mówi do mnie jakiś pan: „Przyjdę do ciebie z wizytą". — „Pan będzie łaskaw, bardzo proszę!" — mówię, a sam śpieszę do domu, zdejmuję ten portret i — pod łóżko. Często przychodzili do mnie panowie i za każdym razem chowałem ten portret.

— A no, wiadomo, panie, człowiek boi się nagany, boi się, żeby nie zwolnili go z pracy, bo panowie nie lubią naszego brata, chłopa-Ukraińca...

— I wiecie, że ten portret zdejmowałem tak i wieszałem chyba ze dwadzieścia lat. I wreszcie ulitowałem się nad nim. Patrzę na ten portret, a on jakby się na mnie gniewał. Nie, nie gniewa się, ale jakby płacze na ścianie. Wydawało mi się, że jak mnie w domu nie ma, to płacze jeszcze głośniej, na cały pokój.

— A czyż to może tak być, żeby obraz płakał?

— Nie rozumiecie mnie, mnie się tylko tak wydawało, że on płacze, i nieraz skradałem się pod swoje okno, żeby posłuchać, czy naprawdę płacze. Pewnego razu wracałem z klubu o północy. Podchodzę do okna, nasłuchuję: płacze... Ogarnął mnie strach i nie wiem, czy wchodzić do domu, czy wracać? Stoję, stoję, trzęsie mnie całego, boję się. Wreszcie zdobyłem się na odwagę.

— Północ to, panie, najniebezpieczniejsza pora, nieczysta siła nabiera wtedy największej mocy.

— Ależ nie rozumiecie, to mnie sumienie tak ciągnęło, tak dogryzało, aż zwidziało mi się, że słyszę głos. Zapaliłem świeczkę, ale na portret boję się spojrzeć. Kładę się spać i koniecznie chcę na obraz popatrzeć, ale nie mam odwagi... Spojrzałem, a on cały zapłakany. Zaczęła mnie trząść gorączka, ogarnęły mnie dreszcze, ząb na ząb nie trafia...

— Wiadomo, panie, strach samemu człowiekowi o północy z takim obrazem!

— Chorowałem wtedy długo, myślałem, że już nadeszła ostatnia godzina. Wezwałem do siebie ukraińskiego duchownego, opowiedziałem mu, gotuję się na śmierć... Ale Bóg zmiłował się nade mną. Po chorobie zaraz zwolniłem się z pracy, dostałem emeryturę i dałem sobie słowo, że nigdy nie będę wyrzekać się swoich ludzi, że będę żyć pośród nich i bronić ich będę. Chory jestem, niedługo już będę wam pomagał, ale dopóki jeszcze pełzam, będę chodził wśród

was jako grzesznik i będę was błagał, żebyście mnie nie odtrącali...

— Dziękujemy, panie, że tak szczerze z nami pogadaliście, żeby więcej takich panów, dajże wam Bóg szczęśliwą starość...

— Nie, to ja powinienem wam dziękować, chodziłem po waszym nieszczęściu jak po miękkiej poduszce i nie czułem tego...

Panek rozpłakał się, a chłopi patrzyli na niego i mówili:

— Uspokójcie się, panie, nie smućcie się, my się na was nie gniewamy, nam nic do tego, jak żyją panowie, oni mają swoje prawa, a my swoje.

— Nie rozumiecie mnie! Jakżeż nie możecie tego zrozumieć, że chcę, abyście byli ludźmi...

— Ale my, panie, wedle sił naszych staramy się was pojąć, po to jesteście uczeni, żebyście innym wskazywali drogę.

— Tak, tak, drogę trzeba znać.

. . . . . .

— Zda się, że dobry jest ten panek.

— Trochę tylko pijaczyna, ale dobry człowiek.

— Są tacy panowie, co to upiją się i płaczą jak chłopi...

— A są, są i wśród nich tacy ludzie z sercem — mówili dwaj chłopi wracający do domu.

1900 r.

SĄD

I

Kowaluk wzniósł do góry orczyk i zwrócił się do muzykantów.

— Grajcie, jak należy, jak powinno być, to wesele zasłynie na całą Ukrainę: i w Kołomyi, i w Stanisławowie. Temu już nic z wesela, ale jest tu jeszcze dwóch takich, co pohulają.

Wskazał na Fed'kę Melnyka, który leżał na śniegu ze zmiażdżoną głową. Obok siedziała jego żona i trzymając w rękach nową czapkę pytała:

— I co nam teraz począć, co dzieciom przykażesz?

I jeszcze coś mówiła do niego, jak gdyby przekazywała na tamten świat.

A Dmytro Zołoty chodził przed bramą z kawałem tęgiej hołobli i mówił do tłumu zebranego na ulicy:

— Żeby mi nikt nie śmiał tu wejść, bo od razu uśnie od tej hołobli — to wam zapowiadam.

— A kogo biją?

— Bogaczy.

— A kto bije?

— Weselnicy.

— Czy zabili już Fed'kę?

— On już po tamtej stronie.

— Jemu śmierć, a komu więzienie?

We wsi trwożnie rozbrzmiał alarmowy dzwon.

— Zaraz zbiegnie się tu cała wieś i nie pozwoli bić.

— Właśnie pozwoli, pozwoli, będą tu murem stać, tak jak wy — odpowiedział Zołoty.

W drzwiach sieni zaczęła się nowa bijatyka. Mychajło Peczeniuk wparł się rękami i nogami we framugę drzwi i ani Petryk Synycia, ani żaden z Zołotych — Iwan ani Kalenyk — nie zdołali wyciągnąć go na podwórze.

— Wy hołota — głodomory, a ja — silny, co dzień przecież mięso jem, a wy — niezabielaną polewkę.

— A teraz będziesz gryźć wilgotną ziemię!

Z sieni — jak odgłos z pobojowiska — dolatuje płacz kobiet.

— Nie gadaj tak z nimi, Mychajło, nie gadaj tak, nie gadaj, tylko proś ich! — krzyczała żona.

— Przestań, głupia babo, tu nie ma co prosić, tutaj — śmierć.

I kiedy ci tak wykrzykiwali, Petryk Synycia chwycił Mychajłę zębami za palce i od razu wyciągnął na podwórze.

— No, teraz Mychajle, amen!

— Mychajłycha, siadajcie na głowę, głowa — najważniejsza...

— Ech, ty doradco! Poradzę ci ja tą dębową pałą.

— Krew z niego bucha, jak z tego wieprza, a taka czerwona, zdrowa.

— Popatrz, żegna się... Biją, nie pozwalają nawet odmówić modlitwy.

— Koniec z nim, Mychajłycha podaje świeczkę, ale nie zapaloną.

— I co z tego, że silny, tylko mięsiwo zostało i tyle.

— A żona nawet nie płacze, zmordowała się z kretesem.

Z sieni wybiega gromada kobiet, a wśród nich — Kasijan. Obaj Zołoci i Synycia, rzucają się na nimi.

— Nie schowasz się, bogaczu, w babskich podołach!

Tłum kobiet otoczył Kasijana.

— Nie dajcie, nie dajcie mnie!

— Kasijanko boi się, a jemu więcej niż innym należy się nauczka! On najokrutniejszy z bogaczy.

— Boi się, to nie to co Mychajło: ten się nie bał.

— Patrzcie no, patrzcie, jak baby plują na Zołotych.

— Schwyciły Petryka i hurmem na niego napierają!

— Nie dadzą rady...

— A wy co się tu wtrącacie? Majstry z was tylko od bicia żon i szynkarzy, a jak dojdzie do samego sedna, to wy zaraz odskakujecie na bok i skamlecie jak te szczenięta.

Tak powiedziała do gapiów jedna z bab broniących Kasijana.

— A wy, sołtysie, czemu nie idziecie, żeby zaprowadzić porządek? Patrzcie, baby za was to robią.

— Mądryście ponad miarę! Idź, sołtysie, i zdychaj dlatego, że hultaje zmówili się, żeby bić bogaczy!

Rozjaśniło się całkiem. Chaty stały na białym śniegu niczym stado czarnych dużych ptaków. Las szumiał spokojnie. A dzwon ciągle jeszcze bił na alarm.

Z tłumu kobiet wyszła żona Zołotego, wzięła okrwawionego męża za rękaw i powiedziała:

— Mężulku, popatrzże na ludzi, na wieś, na las i opamiętaj się! Cóżeś to nawyczyniał? Przecież to ludzie, nie bydło!

Za nią wyszła żona Kalenyka.

— A ty, nieszczęsny, idź teraz prosto do więzienia, w domu się nie pokazuj, bo ucieknę z dziećmi.

Muzykanci przestali grać, a Kowaluk ciągle jeszcze stał z orczykiem i nie wiedział, co z nim robić. Słońce wychyliło połowę złotego oka.

Trzech braci Zołotych rzuciło dębowe pały i motyki i skierowało się do lasu. Kowaluk rozpłakał się, a Petryk Synycia zawrócił ku chacie, lecz upadł na progu w drgawkach, z pianą na ustach. Tłum ruszył z miejsca, zaczęto podnosić zabitych.

II

W chacie Onufrego Melnyka zebrała się cała wieś, żeby sądzić zabójców. Bogacze nie mieli prawa uczestniczyć w sądzie: sądzili tylko biedacy. Onufry wyznaczył i sędziów, i prokuratora, i obrońców. Siedział za stołem i mówił:

— Cała wieś teraz chodzi niby struta, boją się ludziska jeden drugiego, w niedzielę w cerkwi gadają tylko o biedakach. Po wsi węszą żandarmi, dzwonią dzwoneczki przyjeżdżających komisji. Rozkopują groby, tną, krają trupy, a nam biednym — znikąd pomocy ani dobrej rady. I tak sami będziemy ich sądzić i jeśli usłyszymy, że są winni, to ukarzemy.

Tak mówił Onufry zwracając się do biedaków. A ci zeszli się niemal z całej wsi. Wypełnili chatę, zajęli piec, łóżko, sień i całe podwórze.

— Jeśliby przyszedł sołtys i zechciał nas rozpędzić, to wy go nie wpuszczajcie, a jeśli zechce siłą się przepchać, to go w mordę i niechaj się wynosi! A teraz niech pan prokurator przeczyta nam akt oskarżenia.

Z ławy wstał Jakiw Didyk i zaczął:

— Iwan Zub — człowiek, jak wiecie, biedny — wyprawiał córce wesele. Wiadomo, jak to u biednych bywa: biedny zawsze rad, kiedy bogacz do niego zawita: wtedy jakby i obrazy świecą jaśniej i ma kto zasiąść pod nimi. A no, zebrali się tam sami biedacy, ale Zub zaprosił jeszcze trzech bogaczy: Fed'kę Melnyka, Michajłę Peczeniuka i Kasijana Kropywkę. „Witajcie, dajże wam, Boże, zdrowie i dziękuję, że przestąpiliście próg mojej chaty, nasze wesele będzie radośniejsze" — mówi Zub i uwija się koło bogaczy, a biedacy cisną się u progu i słuchają: „Proszę, kiedy łaska, bierzcie i jedzcie!" — i wszystko podsuwa bogaczom. A bogacze, wielce szanowni, tylko piją i piją, a biedaków coraz dalej od stołu i łóżka odpychają. A Zub jakby całkiem zapomniał o biedakach; tylko bogaczom dogadza. To będzie punkt pierwszy. No, więc Petryk Synycia mówi:

— Ejże, Zub, chybaś, stary, zapomniał, że oprócz tych trzech — masz jeszcze innych gości!

A Zub podpił już niezgorzej i mówi:

— Nie pouczaj mnie w mojej chacie. Jak zechcę, tak będzie.

— Oj, nie będzie tak, przyszedłem na wesele tak jak tamci, przyniosłem takież dary jak wszyscy, więc i mnie się honor taki jak innym należy.

Tak mówi Synycia, a biedacy wyciągnęli uszy i te słowa bardzo im przypadły do serca, po prostu — słodsze niż miód. I wtedy na tym wszystko się skończyło. Zaczęto podawać wieczerzę. Przed bogaczami — słonina i mięso, a przed biedakami tylko kukurydzana kasza i ociupina mięska. Biedacy warczą, jedzą nieochotnie. A bogacze aż łokcie se potłuścili. Wtedy Iwan Zołoty wziął ze stołu bogaczy butelkę gorzałki i mówi:

— Wypijemy, bracie, chociaż gorzałeczki, kiedy jeść nie dają.

— Słuchaj no, Zołoty, a to co przed tobą stoi, czyż to nie dar boży? — pyta Zub.

— Ale czemu przed bogaczami tych darów bez liku, a przed nami tyle co nic? — pyta Zołoty.

A bogacze tylko kraśnieją i spoglądają wkoło, ale milczą.

Skończyła się wieczerza. Zagrała muzyka. Tańczą. Peczeniuk puścił się w tany z Kasijanychą i tylko wszystkich rozpycha. Nie ścierpiał tego Petryk Synycia i wyrżnął w pysk Mychajłę, a Mychajło — niedługo myśląc — Petryka.

— Ejże! Dosyć już takiej zabawy! — krzyczy Zub.

A Kasijan Kropywka mówi:

— Wiecie co, Zub, macie oto pięćdziesiąt lewów, opłacę całe wasze wesele, ale wymiećcie precz z chaty to śmiecie. To będzie punkt drugi.

Doszło do tego, że ani chybi komuś tu śmierć sądzona. Ech, Panie święty! Jak Kalenyk Zołoty wyrżnął Kasijana w mordę, to aż pełna miska krwi się nalała. A Mychajło jak chwycił Kalenyka za skórę na łbie, to aż mu cały kłak włosów wyrwał i tylko gołe mięso świeciło.

— A no, bogacze, albo z miejsca stąd umykajcie, albo posypią się z was wióry.

Powinni byli usłuchać. Za chwilę zaczęła się bijatyka. Wszyscy co tchórzliwsi pouciekali, zostali tylko trzej bogacze, pięcioro biedaków i baby. Baby zostały wszystkie, wiedzą, że w zwadzie nikt ich nie tknie. Najpierwszego ze wszystkich wyprowadzili Fed'kę Melnyka. Wyprowadzali Kowaluk, Petryk i Iwan. Kowaluk tylko raz go walnął kłonicą po głowie, a czaszka — chrup — i pękła, a Fed'ko od razu zasnął na miejscu jak to kurczątko.

No, ale z Mychajłą Peczeniukiem nie poszło tak łatwo. Chłopisko zdrowe, niby ten niedźwiedź, i sami wiecie, że nie z tchórzliwego rodu. Z tym to ze trzy godziny zmitrężyli w chacie: ich czworo, a on jeden. Po prawdzie, to baby także pomagały, ale co mogą baby! Powalili go w chacie, ale poodrzucał wszystkich czterech, jak te gałuszki*. Zwalili go w sieni, ale znowu się nie dał. Przywlekli do drzwi, a on zaparł się w odrzwiach. Wtedy Petryk Synycia schwycił go zębami za palce i wyciągnął, a jak wyciągnął, to już go wykończyli kłonicami.

Dobijali Petryk, Kalenyk i Iwan. Chcieli zabić jeszcze Kasijana, ale ten zwołał baby na pomoc, żeby go ukryły pod podołkami, a wreszcie zaczęło świtać i ludzie się opamiętali.

— To znaczy, że zabili Iwan, Kalenyk i Dmytro Zołoci, Petryk Synycia i Nykyfir Kowaluk.

— Prokurator wygłosił oskarżenie, a teraz posłuchajmy oskarżonych — powiedział Onufry.

— Iwan Zołoty!

— Tutaj.

* Ukraińska potrawa — grube kluski krojone z wałeczków ciasta.

— Jesteś winny zabójstwa Mychajły i Fed'ki Melnyka?
— Nie, nie winien.
— A kto winien?
— Nie my przecież winni, tylko bogacze.
— Dlaczego bogacze?
— Dlatego bogacze, że chcieli nas wygnać z wesela.
— Chcieli, ale wy nie ustąpiliście i przepędziliście ich na tamten świat.
— A kto wam dał prawo mnie pytać?
— Iwanko, milcz, gadzino, nie kręć, bo zaraz dostaniesz. Odpowiadaj: ty zabiłeś?
Tu ludzie zaczęli pomagać Onufremu.
— Ty, Zołoty, mów wszystko wedle prawdy, bo jak nie, to spróbujesz dębowej pały — mówili chłopi z sieni.
— Jak Boga kocham, tylko raz uderzyłem!
— Czym?
— Motyką.
— Po czym?
— Po plecach.
— No, a Kalenyk?
— Ja nie wiem.
— Jeśli nie wiesz, to siadaj.
— Kalenyk Zołoty!
— Jest.
— Ty zabiłeś Mychajłę?
— Zabiło go bogactwo.
— Tylko nie mędrkuj, Kalenyk.
— Jakież tu mądrzenie. Byłem pijany, było wesele, grała muzyka, a bogacze chcieli nas przepędzić, więc uradziliśmy, żeby ich stłuc.
— Dobrze, stłukliście, ale kto zabił?
— Nie pamiętam.
— Krótką jakoś macie pamięć.
— Czym biłeś?
— Wszystkim, co się nawinęło.
Onufry już nic nie powiedział, machnął tylko w stronę parobczaków. Ci chwycili Kalenyka.
— Dajcie mu piętnaście pałek, to zacznie gadać.
I śledztwo toczyło się dalej.

Ludzie chcieli karać natychmiast, lecz Onufry nie pozwalał i badał następnych oskarżonych. Ale kiedy oskarżeni nie chcieli się przyznawać Onufremu do winy, ludzie stojący w sieni krzyczeli: „Oni zabili, niechaj odpokutują za grzechy".

I wyciągali jednego po drugim, oddając w ręce tych, którzy stali za nimi. A ręce, których było wiele, chwytały ich, karały i ryk niósł się poprzez wieś, zostawiając po sobie straszny lament kobiet i fale zamierającego gniewu.

1901—1902 r.

DZIECIĘCE NIESZCZĘŚCIE

— Wasylku, weź no Nastię i zaprowadź do wujka, tamtą oto ścieżką, co koło lasu biegnie, wiesz przecie. Tylko ostrożnie trzymaj za rączkę, nie szarp, bo ona jeszcze maleńka; ale na ręce nie bierz, nie dasz rady.

Chciała usiąść, lecz zgięła się od nieznośnego bólu, położyła się.

— A czy ja wiem, gdzie ją prowadzić po nocy? Wy umierajcie, a my pobędziemy koło was, a jutro pójdziemy.

— Widzisz, Nastiu, kula gwizdnęła i zabiła mamę, a to przez ciebie; czemu płakałaś, kiedy żołnierz chciał objąć mamę? Wadziło ci to? Uciekaliśmy, a kula bzyknęła... A teraz nie będziesz miała mamy, pójdziesz na służbę... Nie mówi już — nie żyje. Mógłbym ci teraz zdrowo porachować kości, aleś już sierota. No, i do czegoś zdatna? Kiedy umarła nasza sąsiadka Iwanycha, to jej dziewczęta ciągle zawodziły: „matuś, matuś, a gdzieżże cię szukać, a skąd oczekiwać?" A ty i tego nie umiesz, a ja chłopiec jestem i lamentować mnie się nie godzi. Patrz, wojsko puszcza światło z tamtego brzegu, jakby kto wodę wylewał z sita, błyśnie i od razu zobaczy, gdzie żołnierz, gruchnie w niego kulą, a ten upadnie jak mama. Prędzej, kładź się koło mamy, bo zaraz polecą kule. Słyszysz, jak gwiżdżą?

— A tam, widzisz, za Dniestrem, żołnierze ogniste kule podrzucają, wypuszczają wysoko, wysoko, a kula pali się i pali, a potem gaśnie. Bawią się nimi, och, jak ich dużo!...

— Patrz, armata: hu, hu, hu; ale ona w ludzi nie strzela, tylko w cerkiew albo w chatę, albo w szkołę.

— Nie bój się nigdy armaty. Kula w niej taka ogromna jak ja, a koła — jak we młynie. Ale ty nic nie rozumiesz. A ja za to umiem skakać jak koń... Chowaj się za mamę, znowu puszczają ogień, tylko teraz — biały jak muślin; zaraz wykierują na nas. Popatrz, jacyśmy biali, a kule gwiżdżą znowu. Aha, ale jak mnie trafi kula,

to położę się koło mamy i umrę, a ty sama drogi do wujka nie znajdziesz. Lepiej więc już, żeby ciebie kula trafiła, bo ja sam jakoś trafię do niego i opowiem mu wszystko, to wujek was obie pochowa. No, zabuczała, a czyż boli, kiedy kula uderza? Bzyknie tylko, wywierci dziurkę w piersiach, a dusza w tę dziurkę hyc — i do widzenia! Tu ci nie dom, gdzie jak chorujesz, to jeszcze wódką nacierają. „Jeść chcę"... chwała Bogu. A cóż ci dam jeść, kiedy nie ma mamy. Niechaj mama da! Powiedz tak mamie, no, powiedz! Co, odpowiada mama? Bierz, bierz za rękę, a ręka opadnie. A co, czy nie mówiłem? Głupia dziewczyna, z mamy dusza już wyleciała. A to przecież ona, ta dusza, i mówi, i chleb daje, i tłucze.

— Jak Boga kocham, Nastiu, wytłukę ciebie. Cóż ja ci dam jeść? Przyjrzyj się lepiej wojnie, jaka ona piękna, a z rana pójdziemy do wujka i będziemy jeść barszcz... Zaczekaj, zdaje się, że za pazuchą u mamy znajdziemy chleb... Milcz, mama za pazuchą ma chleb, masz, jedz, żarłoczna dziewczyno!...

— Znowu wypuszczają ten muślin, widzisz, biały jak śnieg. Idzie na nas, o! Nastiu, co ci to? Oj, oj, cała buźka we krwi i ręce? Kula cię zastrzeliła? Oj, biedulka Nastuńka, kładź się prędzej koło mamy... nie ma rady...

— Ale nie, to nie kula cię zabiła, to chleb nasiąkł krwią u mamy za pazuchą. A to niegodziwa dziewczyna, żre wszystko, jak to prosię, patrz, jak się umorusałaś, ręce też we krwi... Jak poprowadzę cię jutro rano do wsi taką umorusaną? Ale zaczekaj, będziemy przechodzić koło ruczaju, to wymyję cię w tak zimnej wodzie, że będziesz wrzeszczeć nieswoim głosem, a ja cię jeszcze wytłukę. Najadłaś się, no więc kładź się koło mamy, a ja koło ciebie; ty w środku, widzisz, wilk cię nie zje, śpij, jeszcze popatrzę na wojnę, a ty się wygrzewaj koło mnie.

A może kula na wojnie zabiła już ojca, a może do jutra zabije i mnie, i Nastię i wtedy nie będzie już nikogo...

Zasnął.

Do samego świtu biała świecąca narzuta drżała nad nimi i powolutku przesuwała się za Dniepr.

1916 r.

NIAŃKA

Siedzi maleńka niania Parasja i trzyma w podołku dziecko; dokoła niej takie same nianie: dziewczynki i chłopcy.

Wszyscy razem wyglądają jak duże jabłka strząśnięte z drzewa i rozsypane po ziemi...

Parasja proponuje, żeby zabawić się w pogrzeb i żeby wszyscy lamentowali.

— Dlaczego w pogrzeb? Dlaczego lamentować?

— A ja wam powiem, dlaczego: słyszałam, jak mój tatuś w nocy przykazywał, żeby tego małego nie było w chacie, bo to nie nasze dziecko, ale przejezdnego huzara.

Tatuś tak mówił do mamy: „Możesz go zabić, możesz zakopać, a mnie on niepotrzebny". A mama mówi: „a jakże ja żywe dziecko zakopię?" „Najpierw go zabij, a potem zakop". No, więc skoro świt wyszłam z małym i czekałam na was, a wy ciągle spaliście, a tatuś krzyczy: „Zabieraj się z tym przybłędą".

Maleńki Maksym, którego bardzo interesowali huzarzy, położył swoje niemowlę i zaczął dokładnie oglądać dziecko huzarskie.

— Przecież to takie samo dziecko, jak wszystkie... Twój tatuś to pewnie głupi.

— A jak twój tatuś chce zadusić tego dzieciaka?

— Wielkie rzeczy, wcale nie trudno zadusić takiego małego. Zadusi i pochowają.

— Ale twoja mama będzie lamentować, oj-oj!

— Spróbujemy zawodzić! Ale tylko same dziewczęta! Chłopcy, milczcie. Wy nie możecie zawodzić.

Dziewczynki lamentują naśladując baby, nad wygonem płynie pogrzebowa melodia.

Babka Dmytrycha krzyczy z bramy.

— Co wam strzeliło do głowy, dziewczęta? Zwariowałyście z tym

zawodzeniem? Przecież to grzech lamentować, jak nie ma nieboszczyka!

— Babciu, ale to huzarskie dziecko umrze, zaduszą je, więc nie grzech lamentować.

Babka żegna się, a dzieci lamentują dalej.

1921 r.

ZIEMIA

Pamięci mego ojca poświęcam

O zachodzie słońca wrócił Semen do domu i na swoim podwórzu zastał pięć kutych wozów, pełnych wszelakiego dobra, z kołyską na wierzchu. Wozy były zaprzężone w tęgie konie. Na przyzbie siedzieli starzy i młodzi, wszyscy nieznajomi.

Stary Semen, bosy, z butami przerzuconymi przez ramię, powiedział:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, dobrzy ludzie! Skąd przybywacie i jak się zwiecie?

— My z Bukowiny, wojna wygnała nas z domu; nazywam się Danyło, a ta stara obok mnie — to moja żona, Maria; to dwie moje synowe z dziećmi i córka też z dziećmi; chcielibyśmy u was przenocować, jeśli przyjmiecie.

— Nocujcie, bądźcie tu jako goście. Usiądę obok i pogwarzę z wami, a żona ugotuje wieczerzę. To moja druga żona, młoda i zaradna, jak zechce.

— A moja — to pierwsza, pięćdziesiąt lat już ze mną żyje, ale teraz coś się jej pokręciło w głowie i pewnie pochowam ją gdzieś na rozstaju. Rozum straciła w drodze. Dopóki jeszcze widziała naszą wieś, ciągle płakała i uciekała z wozu, synowe ją łapały, ale jak wieś zginęła nam z oczu, po prostu oniemiała. I siedzi jak niema wśród wnucząt...

— Nie dziwcie się, dziadku Danyło! Zostawiła swoje słowa na oknach i przy złotych obrazach swej chaty, a one tam, w pustej chacie tłuką się jak te ptaszyny, jak te sieroty, modlitwy szczebioczą po kątach. A stara bez nich zostanie niema... Wejdźcie ze mną do dużej izby i przed świętym Mikołajem odmówcie przy niej modlitwy, a może zrodzi się w niej słowo.

Obaj starcy przywiedli babkę do obrazów i głośno odmówili modlitwy. Ale babka milczała.

— Pogubiła swoje słowa przy swoich świętych, tam je musi odnaleźć.

Znowu jest na przyzbie.

— Nie moja to sprawa, ale czemuż to, powiedzcie, porzuciliście swoją ziemię na szybkich wozach, na wronych koniach?

— Na szybkie wozy i na wrone konie posadziłem dzieci swoje, wujku Semenie, żeby nie oddać ich wrogowi na pohańbienie. Kiedy popa i popadię* skuli i powieźli w góry, kiedy nauczyciela w nocy zabrano Bóg raczy wiedzieć gdzie, a wójta powiesili pośród sioła i postawili żołnierza, żeby go nie pozwalał grzebać — wtedy wyrzekłem się swojej ziemi, krewnych swych posadziłem na szybkie wozy, żeby ich nikt nie zhańbił. Kara boża spada na nas za grzechy całego świata. I przed ciężkim dopustem Pana naszego miłosiernego spróbowałem krew swoją, dzieci swoje uwieźć w świat chrześcijański.

— Na wieczerzę wołają, Danyło, nie gniewajcie Boga próżnym szemraniem.

*

— Jedzcie, jedzcie! Jako te ptaki lecicie nie wiadomo dokąd, a my, Danyło, spróbujemy tej gorzałki, a może rozprostują się wasze zgięte plecy.

Nikt nie chciał wieczerzać, tylko obaj starcy pociągali wódkę, ale jadła również nie brali do ust.

— Idźcie już, dzieci, spać ze swoimi dziećmi, niech wam Bóg pozwoli sny jasne oglądać, a my, starzy, jeszcze posiedzimy.

— Jeśli nie pogniewacie się, Danyło, to coś wam powiem.

— I rozum, i gniew swój zostawiłem na swoim podwórku, starym już przecie, nie mam swego gniazda.

— Nie godzi się staremu ptakowi porzucać starego gniazda: sił mu nie starczy na zbudowanie nowego. Przecież lepiej mu głowę złożyć w starym gnieździe, aniżeli gdzieś w rowie przy obcej drodze.

— Prawdziwie, Semenie, prawdziwie, dziękuję wam za te słowa.

— Gdzieżeście się to wybrali? W trop za panami? Cesarski skarbiec dla nich otwarty, a dla was zamknięty. Obcy tam język, ściany chłodne, wysokie i los rozrzuci was po kamiennych drogach, i tylko we śnie oglądać będziecie naszą miłą ziemię i na pośmiewisko

* Żona popa.

próżnującym panom na kamieniach jarą pszenicę siać będziecie. Bóg nie przyjmie was stamtąd idących, ale wyjdzie na powitanie wasze przed wrota, jeśli legniecie w boju na swej ziemi. Wróćcie na swoją ziemię miękkuchną, a tam pobłogosławi was Bóg nawet na szubienicy...

— Grzesznym, Semenie, grzesznym przed Bogiem i przed wami. Przecież moje niwy — to jak te dobrze pasione owce: czarne i kędzierzawe. Migiem zawracam wozy z powrotem, żeby nie gniewać Pana Boga.

— Nasza sprawa — to ziemia, porzucisz ją — zginiesz, a przylgnąłeś do niej — zabierze ci wszystkie siły, garściami wyczerpie ci duszę; w zapamiętałości ślisz się na nią, ona ci wszystkie wypruwa żyły, ale za to masz bydło i stada owiec, masz także stogi. Za siłę twoją napełni ci ona chatę dziećmi i wnukami, co to się śmieją jak srebrne dzwoneczki, a kwitną niczym kalina... Nie idź, Danyło, z panami, nie szukaj cesarza, bo jego nie potrzebujesz, zawsze jakiś przyjdzie do chłopa, żeby brać pogłówne.

— Daj wam, Boże, wszystko co najlepsze, Semenie, za wasze słowa. Wracam do domu, niech się dzieje wola boża.

A wtem zagadała stara Maria:

— Jedźmy, Danyło, do domu, jedźmy!

— A to ci chytra baba, jak jej na wierzchu — to zaraz wróciła jej mowa!

— No, a teraz wypijemy! Niechaj się wam szczęści! Niechaj Bóg wam pozwoli czarną godzinę przeżyć, a kiedy pomrzemy, niechaj kości wasze zetleją w naszej ziemi.

I pili obaj staruchowie — ze staruszką po społu — i śpiewali. Baba siedziała pośrodku, mocno obejmując obu i wyśpiewywała:

Tylko moja miła
Jak gołąbek siwa
Spać się nie położy!
Dziecię swe kołysze,
List drobniutko pisze,
I z wichrem gaworzy.

I prześpiewali tak aż do zorzy, o świtaniu zaś zaturkotały szybkie wozy: Danyło wracał do domu.

Słońce już wschodziło, kiedy żegnali się dwaj staruchowie, całując sobie wzajemnie ręce, a czerwone słońce hen, po ziemi, poprzez miedze słało ich cienie.

1922 r.

SYNOWIE

Dziad Maksym bronował jarą pszenicę młodymi mocnymi końmi. Wrony polatywały nad polem jak piórka. Maksym cisnął czapkę w bruzdę, koszula rozpięła się i spełzła mu na ramiona. Unosząca się spod brony chmura kurzu zasypała mu siwe włosy na głowie, na piersiach. Pokrzykiwał, wpadał w gniew, a ludzie z sąsiednich pól pogadywali:

— Stary pies, a siarczysty, i młode konie jeszcze potrafi krzepko zdzierżyć, siłacz od maleńkości dobrze karmiony, ale od czasu kiedy stracił obu synów, drze się i w polu, i we wsi.

Maksym zatrzymał konie.

— Stare kości jak ta wierzba: na opał — dobre, ale biegać za końmi już nie wydołają. Kiedy nogi przy koniach się podcinają, a w tańcu nie wydołają — nie warte już złamanego szeląga. Właź, stary, na piec, nadszedł twój czas.

Wstrząsnął siwą głową pod czarną grzywą konia i krzyczał znowu:

— Na piec, bracie, to jeszcze zdołam wleźć, ale piec zimny, poobijany. Obrazy na ścianach poczerniały, a święci spoglądają na pustą chatę jak te głodne psy. Stara całe życie przystrajała ich w barwinek, w bławatki i gołąbki przed nimi złociła, żeby byli łaskawi, żeby w chacie było jasno, żeby dzieci zdrowo rosły. I wiele jest tych świętych, ale wszystko to na nic się nie zda. Synów nie ma, starą pochowałem, a wy, bogowie, wybaczcie, ale nie do barwinków już wam; trzeba było wam samym więcej się troszczyć... Nuże, Srokaczu, dopóki Bóg wyznaczył, ciągnij, bracie, uprawiaj ziemię.

I chodzili tak z jednego końca pola w drugi, spowici w obłoki kurzu, a brony pobrzękiwały, wgryżały się w ziemię, spulchniały ją, żeby zgotować ziarnku miękkie łoże.

— Ech, Bosaku, a tyś nie koń — tylko pies: całe plecy mi po-

ogryzałeś, nie zostawiłeś całego miejsca. Chociażbyś mnie nie szarpał, życie mnie już tak zszarpało, że ledwie się trzymam na nogach. Przecież jeszcze przed świtaniem, bez kęsa w gębie, sypię ci owies i czeszę ciebie, i łzami starczymi oblewam, a ty mię gryziesz.

— Popatrz na Srokacza, ten ci jak człowiek tymi czarnymi oczyma za mną wodzi: on mnie żałuje, on czarną swą grzywą ociera staruchowe łzy, a z ciebie łajdak bez serca. Niedawno wyrwałeś mi cały kłak włosów i rzuciłeś pod nogi, w nawóz. A tak się nie godzi. Chociaż dobry z ciebie koń, ale nikczemnik. Nie mogę cię sprzedać, ale niech no by się tu zjawił święty Jerzy Zwycięzca, jak Boga kocham, podarowałbym ciebie, żebyś szedł z nim na smoka, bo do pracy nad ziemią toś niezdatny, nadtoś gorący.

I pośliniwszy palce starzec wytarł ranę na plecach i zasypał ją kurzem.

— Hej, koniki, wio!

Brony szły równiej, ziemia ustępowała, rozsypywała się, nogi Maksyma wyczuwały miękkość, tę miękkość, która rzadko gości w duszy chłopa: od ziemi płynie do niego ta miękkość i dlatego tak ziemię miłuje. Maksym rzucał garść ziarna i przygadywał: „Posłałem wam kołyseczkę mięciuchną, rośnijcie pod niebo".

Maksym uspokoił się, nie krzyczał już i energicznie osadził konie:

— Po kiego diabła cięgiem ćmisz tylko, stara krzywulo, czemu trzeszczysz w każdym stawie?

Obejrzawszy się dostrzegł długi ślad czerwonej krwi ciągnący się wzdłuż bruzdy i usiadł.

— Na szkło się nadziałem, do cholery!... Spróbuj bronować teraz pole, nie uprawionego nie zostawisz, chyba rozerwałoby cię na strzępy. A ty, pole nieszczęsne, czy wiele skorzystasz z tej krwi starej. Stara krew, jak ten stary nawóz, niczego nie urodzi; mnie ukrzywdziłoś, a tobie — żadnego pożytku.

Kulejąc wyprzągł konie, odprowadził do wozu, nałożył im siana.

— A ty, słońce, nie chmurz się na starego, że tak wcześnie obiaduje — nie może już chodzić.

Wydobył z worka chleb, słoninę, butelkę, obmył ranę wódką, a potem oberwał kawałek rękawa, owinął nim nogę i zawiązał sznurkiem od worka.

— A teraz, jak chcesz, możesz sobie boleć, możesz nie przestawać, wszystko jedno, będziesz bronować.

Wypił wódki, gryzł suchy chleb i znowu mamrotał ze złością:

— I to ma być chleb? Im to tylko parszywego konia czyścić należy, bo z dobrego — zedrą skórę. Chodzą do mnie całymi stadami te wycieruchy. „Staruszku — mówią — chleb wam piec będziemy, prać będziemy, zapiszcie nam tylko ziemi kęsiczek". Suki wyrudziałe, myślą, że dla nich o ziemię dbałem! Jak umrę, niech na mym polu rosną kwiaty i swymi maciupeńkimi główkami modlą się za starucha.

Ze złością cisnął chleb daleko w bruzdę.

— Nie na moje zęby — takie makuchy. Wypijmy, Maksymko, gorzałeczka idzie gładko...

— Hej, ty, umilknij, nie trzeszcz nad moją głową i komuś to wynajął się śpiewać? Temu oto obdartemu, pogryzionemu staruchowi? Leć do nieba do swego Boga i powiedz mu, żeby nie wysyłał do mnie głupiego ptaka ze śpiewem, a jeśli on jest naprawdę wszechmocny, to niech mi przyśle moich synów. Przecież z jego woli zostałem sam jeden jak palec na świecie bożym. Niechaj mię twój Bóg piosenkami nie schlebia. Precz!

Rzucił grudką ziemi w skowronka, a skowronek jeszcze dźwięczniej zaśpiewał nad jego głową i wcale nie zamierzał lecieć do Boga.

— Ptaszek z ciebie i nic, prawie że nic nie rozumiesz. Ale kiedy mój Iwan, jeszcze jako chłopię, uganiał za tobą chcąc cię schwytać, kiedy szukał twego gniazdeczka po miedzach, kiedy się bawił na pagórkach, wtedy ty, ptaszku, mądrze robiłeś, że nad nim śpiewałeś, wtedy trzeba było śpiewać. Twoja pieśń i pieśń pagórka Iwanowego słały się w dole, a nad wami słońce, i wszyscy byliście wtedy jak głos boży i nade mną, i nad połyskującymi pługami, i nad całym radosnym światem. A poprzez słońce, niczym przez złote sito, Bóg obsypywał nas jasnością, i cała ziemia, i wszyscy ludzie pobłyskiwali złotem. Tak oto słońce, jak w wielkiej niecce, miesiło wiosnę na ziemi... A z niecki tej braliśmy kołacze i kołacze leżały też przed muzykantami, i młodzi kochali się, i w kwiatach stawali pod koroną*, i płynęła wiosna jak morze, jak potop; wtedy

* W obrządku prawosławnym w czasie ślubu młoda para staje w cerkwi pod koroną.

to, ptaszku, śpiew twój wlewał się w moje serce, jak dźwięczny strumień wody do nowego dzbana.

— Leć, ptaszku, do tych krajów, gdzie jeszcze nie odebrano kołaczy i nie wyrżnięto dzieci.

Objąwszy rękami siwą głowę pochylił się ku ziemi.

— Wstydź się, siwa głowo, modlisz się i przygadujesz jak ta baba skora do łez, nic ci już nie pomoże na tym świecie.

— Ech, synowie, synowie moi, gdzieżeście złożyli swoje główeńki. Sprzedałbym nie tylko ziemię, ale i duszę i na okrwawionych nogach doszedłbym do waszego grobu. Panie Boże, kłamią te złote księgi w cerkwiach, kiedy mówią, że miałeś syna, kłamią, że go miałeś! Mówią, że Ty swego wskrzesiłeś, ale ja Cię nie proszę: „Wskrześ moich", a proszę tylko: „Pokaż mi ich grób, pozwól lec razem z nimi". Ty widzisz cały świat, a nad grobami synów moich oślepłeś... A niechaj pęknie to błękitne niebo, tak jak pęka moje serce!...

— Niechajby przyszła do starca chociaż którakolwiek... Czyżeście nie obejmowały synów moich, czyście nie kładły się z nimi na białej pościeli? Ba, byli przecież jak te kędzierzawe dęby... Przynieś na rękach swego bękarta, nie wstydź się, przychodź. Stary ci wszystkie dywaniki rozściele pod nogi i wszystkie najcieńsze płótna potnie na pieluszki. Chodzisz przecież niezaślubiona i płaczesz ze wstydu.

Wzniosłszy ręce ku niebu starzec wołał wielkim głosem:

— Przyjdź, narzeczono, przyjdź do ojca, nie trzeba nam popa.

Łkając głośno przypadł do ziemi i ziemią jak chustą ocierał łzy, sczerniał na twarzy i błagał jeszcze:

— Albo przyjdź ty, najmilsza jego, nawet bez dzieciątka, a na twojej szyi rozpoznam ślady jego rąk, a na ustach ślady jego purpurowych warg, a z oczu twoich, jak z głębokiej studni wyłowię jego oczy i schowam w mym sercu jak w pudełeczku. Jak pies poczuję zapach jego kędziorów na twoich dłoniach... Ukochana jego, przyjdź i uratuj starca.

— Ty jeszcze chodzisz po świecie, a z moich chłopców nie ma już ani jednego. Znajdźcie więc drogę do mnie i przynieście choćby wieść jakąś. Pokropcie moje siwe włosy chłodną rosą, bo każdy z nich pali jak rozpalony drut. Całą głowę moją pali ten ogień.

I wyrywał swoje siwe włosy i rzucał na ziemię czarną.

— O, siwe włosy, palcie ziemię, nie mam już tyle siły, żeby was nosić.

Całkiem wyczerpany przypadł do ziemi i długo leżał w milczeniu, a potem opowiadał pieszczotliwym głosem:

— Ostatni raz przyszedł Andryj, a chłop był uczony. „Ojcze — mówi — teraz jedziemy wojować za Ukrainę". — „Za jaką Ukrainę?" — A on podniósł szablą grudę ziemi i mówi: „Oto ona, Ukraina, a tu — i wskazał szablą na grudę — oto jest krew, idziemy ziemię naszą odbierać wrogowi. Dajcie mi, mówi, białą koszulę, dajcie czystej wody do mycia i żegnajcie". I błysnęła jego czapka i oślepiła mnie. — Synku, mówię, mam jeszcze młodszego syna, Iwana, weź i jego na sprawę; mocny jest, niechaj już lepiej was obu pochowam w naszej ziemi, żeby się tylko nie dostała okrutnemu wrogowi. „Dobrze, ojcze, pójdziemy obaj". Kiedy usłyszała o tym moja starucha, poznałem od razu, że śmierć owinęła ją niby białą płachtą. Podszedłem do proga i jakbym usłyszał, jak wypadły jej oczy i potoczyły się po ziemi niby martwe kamienie! Tak mi się przywidziało, ale światło już zgasło na zawsze w jej oczach...

— Odjeżdżali obaj wczesnym rankiem, a matka oparłszy się o wrota milczała, ale patrzyła jakimś dalekim wzrokiem, niby z tamtego świata. A kiedy im pomagałem wsiadać do pociągu, powiedziałem: „Andryju, Iwanie, nie zawracajcie, ale pamiętajcie o mnie, żem samiuteńki jako ten palec na świecie, że wasza matka zmarła przy wrotach..."

Do późnego wieczora prowadzał Maksym konie po polu i nie krzyczał już, zamilkł zupełnie. Dzieci goniące owce, ludzie, co dzwonili pługami, przejeżdżali mimo i ze strachu nawet się z nim nie witali. Cały w błocie, obdarty, kulawy, jakby się zapadał w ziemię.

*

Późnym wieczorem Maksym opatrzył krowy i konie, wydoił owce i wszedł do chaty.

— Ty, biedaczko, całkiem umilkłaś, zamarłaś, jakby cię ktoś dźgnął nożem, nie możesz wymówić nawet słowa... Ale ci rozniecę jeszcze ździebko ognia... — Ugotował zupę, ubrał się w białą koszulę, powieczerzał i ucichł. A potem przypadł ku ziemi i modlił się:

— Ty, Matko Boża, bądź gospodynią w mojej chacie, ty ze swym synem będziesz pośrodku, a po boku — Iwan i Andryj... Tyś jednego oddała syna, a ja obu!

1922 r.

STRATY WOJENNE

Siwy komisarz wyjeżdżał do wsi na podwodzie, którą musieli dostarczyć chłopi na żądanie władz, i dziwił się, że wieś jeszcze jest czysta i chaty wybielone.

— Tym chłopom sam diabeł nie da rady, nie tylko wojna: żrą jak te świnie i chleją rumuńską wódkę. Ciekawe, czy przyjdą i ile dadzą zarobić. Bo ja to umiem ich oskubać...

Maksym Onyszczuk z chaty już zauważył komisarza i od razu umknął za węgieł.

— A skądże ta Polska wzięła tylu tych urzędników! Wozimy, wozimy i nie widać końca. Lepiej się schowam, a żona niech powie, żem we młynie. Bokiem mi już wyłazi wożenie tej szarańczy.

Stary Kufluk wyszedł za wrota: nie miał koni, więc nie miał się czego bać.

— Patrzcie, wykarmiony jak wieprz! Teraz wszyscy bogacze pouciekają do lasu, żeby nie dawać podwód.

Stara Barbara powiedziała: „Niech będzie pochwalony" i wyszeptała:

— A to ci stary piernik, ten nie będzie się włóczył po nocach z policjantem, nie będzie dziewcząt chwytać za podoły...

Parafialny duchowny jak źrebię pocwałował do chaty, żeby się nie nawinąć komisarzowi na oczy.

— Oj, żono, znowu diabeł zesłał jakiegoś urzędnika do wsi; sprzątnij pokój i przygotuj dobry obiad.

— Ci Polacy to mają dobry apetyt...

Nauczyciel kłaniając się nisko komisarzowi, powiedział: „Padam do nóg" — nie bał się, że komisarz zajedzie do niego w gościnę.

. . . . . .

Obok kancelarii wiejskiej sołtys i ławnicy oczekują komisarza. Sołtys mówi:

— Ludzie dobre, siły mi już nie staje, stara z chaty przepędza, a dzieci krzyczą jak na psa. Nie mam spokoju ani w dzień, ani w nocy. Dawaj im jeść, dawaj wódki, szukaj z nimi we wsi buntowników, szukaj broni, szukaj ulotek z Wiednia, wykop spod ziemi zdradę Polski. Całą zimę drzwi się nie zamykają, stara marznie nawet na piecu. Znajdźcie sobie innego sołtysa, nie mam już sił na to brzemię. O, patrzcie, jedzie znowu, żeby go pokręciło!

— Sołtysie, a gdzie ludzie? Kazałem przecie, żeby zebrali się wszyscy przed kancelarią.

— Powiadomiłem ludzi przez dziesiętników, żeby się zebrali, może jeszcze przyjdą.

— Chłop zawsze głupi; jak oddawać — to zaraz wyciąga książeczkę zza belki, chowa za pazuchę i całymi dniami wyczekuje, żeby prędzej opłacić podatki, a jak otrzymywać pieniądze — to chłop na piecu. Ech, bodaj was diabli, będę miał mniej roboty, a pensja ta sama.

— Proszę pana, my już tyle nadostawaliśmy, że nie zdołamy donieść.

— Nie przeczę, gospodarzu, za czasów austriackich tak było, ale teraz będzie inaczej.

— Dałby to Bóg!...

— Sołtysie, idźcie pierwsi spisywać straty wojenne; kto nie przyjdzie, niechaj do siebie ma pretensję.

. . . . . .

— Jak się nazywacie?

— Mychajło Wachniuk.

— Ile morgów ziemi?

— Co tam za morgi, dzieci pozabierały.

— A ile wy uprawiacie?

— Może dziesięć, może więcej, a może i mniej.

— Piszemy dwanaście.

— Tyle nie będzie.

— Więc zapiszemy jedenaście.

— No, niechaj będzie...

— Straty wojenne macie?

— Jakież tam straty, alboż to kto nam zwróci, szkoda mówić i pisać.

— Nie rozumiecie jednego, sołtysie. Z Wiednia i Budapesztu zabierzemy wszystko złoto i opłacimy wszystkie wojenne straty.

— Oby Bóg mówił przez wasze usta...

— Teraz my wasi, a wy nasi.

— E, z tym to nie wiadomo jeszcze, jak będzie.

— Polska będzie, a wy jeśli będziecie mieli rozum, nabierzecie złota od Madziarów, od Niemców, od Moskali i będziecie pod polskim panowaniem żyć w zgodzie, a swoich buntowników przepędzicie ze wsi. No, sołtysie, jakież straty?

— A no, parę koni i wóz na samym początku wojny zabrali Austriacy, konie z wozem — tysiąc koron. A potem żołnierze zabrali jeszcze krowę i ciołkę, razem liczę osiemset koron.

— Co jeszcze?

— Potem Madziary zakłuły dwa wieprze za trzysta koron.

— Jeszcze co?

— A czyż można spamiętać wszystko i po co pamiętać zło, kiedy już minęło.

— Nie, zapiszcie wszystko, za wszystko zapłacimy.

— Brali, co im w rękę wpadło, zabrali wszystką słoninę i sanie, i drzewo spod chaty; jakże to spamiętać!

— Otóż widzicie, panie Wachniuk, wasze straty wynoszą razem dwa tysiące sześćset złotych koron, a jeśli to przeliczyć na marki — to starczy wam do samej śmierci.

— Ech, panie, Pan Bóg będzie te korony liczyć, a marek mi nie trzeba.

— To ofiarujecie mi wasze straty, a ja wam zaraz dam tysiąc koron.

— Po cóż mam dawać panom, którzy są ode mnie bogatsi.

. . . . . .

Ławnicy tak samo niechętnie zapisywali straty, a zebrani ludzie przeliczali już złote korony sołtysa na marki i niejeden żałował, że nie ma strat wojennych. Kiedy Kalman całą godzinę dyktował swoje straty, nie pomijając żadnego drobiazgu, chłopi zakipieli oburzeniem:

— Patrzcie go, sknerę, naliczył aż trzy tysiące złotych koron, a kulawy Dmytro całe jego dobro u siebie przechowywał, pomyśl tylko, ile pieniędzy teraz zgarnie.

— A ja w Karpatach przez dwa miesiące jadłem surowe kartofle,

straciłem konia i wóz, ledwie do domu się dowlokłem, pół roku chorowałem i tak wychodzi, jakby mnie się nic nie należało.

Dopóki mówili, reszta ludzi rozbiegła się po wsi zwoływać swojaków i sąsiadów, żeby nie stracili złotych koron. Po godzinie cała wieś zebrała się na wygonie.

Komisarz zwrócił się do nich:

— Widzę, ludzie, że wasza wieś mądrzeje i zapisuje wszystkie straty, ale pójdę coś przegryźć, bom zgłodniał.

Z sołtysem i ławnikami poszli do Kalmana, długo „przegryzali" i wyszli czerwoni niby raki.

Ławnik Korcz wiedział już, że komisarz potrzebuje rumuńskiej wódki, masła, jaj i kur. A za to, że powiadomił ludzi o tym, czego potrzebuje komisarz, otrzyma wyrównanie za wszystkie straty wojenne i to nie później jak za miesiąc.

I dopóki komisarz spisywał w kancelarii, baby naznosiły do komórki policjanta wiele wszelakiego dobra, a mężczyźni przynosili, schowane do rękawów, butelki rumuńskiej wódki. Policjant i Korcz wkrótce również zaczerwienili się tak jak ich ziomek. Cały wygon rozruszał się, rozweselił i w podnieceniu rozprawiał do głębokiej nocy, dopóki komisarz sporządzał spisy strat wojennych. Zdaniem ławnika Korcza, kur, jaj zebrano dla komisarza zbyt wiele, a zwłaszcza nazbyt wiele wódki.

O północy chłopi otoczyli komisarza, jak pszczoły matkę, i zaprowadzili na kolację do Kalmana. O świcie zebrani wsadzili komisarza do chłopskiej podwody, obłożyli kurami, jajkami, wódką i — życząc szczęśliwej drogi jemu i woźnicy Mykołajowi — radośnie wrócili do domu.

U Kalmana został tylko pijany Swic, który wrzeszczał do rana.

A kiedy Mikołaj na swoich dobrych koniach przejeżdżał przez las, parobcy napadli na niego i na komisarza, porwali wszystkie dary, a na dodatek dobrze ich sprali. Konie popędzili biczyskami i dopiero pod miastem komisarz i Mikołaj oprzytomnieli i zaczęli ocierać krew z twarzy: Mikołaj rękawem, a komisarz chusteczką.

— A to ci zdemoralizowane chamy, a to ci bydło! I może wyobrażają sobie, że otrzymają wyrównanie za straty wojenne? Diabła tam.

Tak się też stało.

1925 r.

MORITURI

W niedziele i święta przychodzili do cyrulika Tymki jeszcze przed wschodem słońca, aby ogolić się i podstrzyc czupryny. Jeden przynosił z domu chleb, drugi słoninę, trzeci jeszcze coś innego, ale nigdy — pieniędzy. Mało już pozostało we wsi takich stałych bywalców Tymki: jedni umarli, drudzy przepadli gdzieś na wojnie. Ale ci przywykli już w ciągu trzydziestu lat spotykać się tu i pozostali wierni temu przyzwyczajeniu.

*

— Nie palilibyście tego wstrętnego tytoniu, duszę się już od jego zapachu — i nie rżyjcie jak konie, ogłuszyliście mnie już całkiem!

— Cicho siedź, Nastia, tyś już przecie dawno głucha.

— Jak to nie ogłuchnąć w takim młynie, wstydzilibyście się, starzy!

— Nie słuchajcie tego grania na bezzębnym grzebieniu — powiedział Tymka.

— Ale mam męża, popatrzcie, ruina! I do tego jeszcze ochrypły i ślamazara...

— Miele językiem jak żarnami...

— Tfu, stary, żeby cię!...

— Jej by się chciało tak jak dawniej, żeby ją po miękkim miejscu poklepać, ale, wybacz, najmilsza, tego miękkiego już dawno nie ma.

— I ty coś takiego przy niedzieli mówisz, bezwstydniku! Przecież ty już dziś-jutro na tamten świat pójdziesz...

— Już lepiej na tamten świat pójść, niż z takimi starymi babami mieć do czynienia.

Chichot, śmiech. Nastia kaszle.

*

— Tymka, bracie, weź no kleszcze i wyrwij mi ząb, bo całą noc po ścianach się drapałem.

— Który ząb?

— O, popatrz.

Wasyl rozdziawił usta i pokazał pełny rząd białych zębów.

— Co za diabeł z twoimi zębami?... Takimi zębami żelazo można by przegryźć.

— A ja nie mogę wytrzymać!

— Nie, mój kochany, przed sumą nie będę rwał. Rób co chcesz, pocierp, teraz nie będę krwi puszczał.

— Ej, niemałoś ty naszej krwi puścił przed sumą, jakeś nas golił.

— To nienaumyślnie, a tu co innego.

— Waś, spróbuj wódką.

— Dzieci po całej wsi szukały, nie ma.

— Neszti rumuneszti?*

— Ja zaraz znajdę, choćby na końcu wsi.

— Ilu nas jest?

Policzyli.

— Kup litr, starczy.

Wszyscy szukali pieniędzy, niby niezadowoleni, ale każdy z nich chciał się zabawić.

*

— Rozpuszczajcie mydło, kto do golenia, kto do strzyżenia — siadajcie, słońce już wschodzi!

— Tymka, lepiej byś sobie założył sklep z papierosami albo z bibułką, bo kto z twoich rąk wychodzi, to musi sobie całą książeczkę bibułek nalepić na twarz, żeby krew z niego nie uszła.

— To ty, Nykoła, masz taką twardą brodę, że łatwiej by mi było dziką świnię ogolić i do cerkwi puścić niż ciebie.

— Nie można ci dogodzić — Jurkowi znowu wymawiasz, że ma za miękki włos.

— No, jego włos także się nie nadaje, taki jak u dziewczyny pod pach... Ręka mi już drży, nie wiem, jak ja was wszystkich ogolę? A może nagle któryś z was Bogu duszę odda i trzeba go będzie na ławę położyć!

* Nu ştiu româneşte (w jęz. rumuńskim) nie znam rumuńskiego, tu: nie ma wódki (powiedzenie ludowe zmieniające istotne znaczenie zdania).

Słońce już wzeszło. Goście Tymki siedzieli oblepieni bibułkami i czekali na wódkę. Wreszcie przyszedł Mykyta z butelką. Tymka zaczął go golić, a na stole czekała wódka i pokrojony chleb z czosnkiem.

*

— Pijmy, bracia, krótkie jest życie nasze! Pij, nie żałuj sobie!

— Jakby nam tak tego paskudztwa dawali, tobyśmy się jeszcze pokręcili po świecie. My już przecież ani wójta, ani rady nie wybieramy i posłów nie wysyłamy.

— Wszystko przeszło do czytelni, teraz tam urzędują.

— Też mi urząd: dziewczęta przebierają się za chłopców, chłopcy za dziewczęta, obejmują się bezwstydnie, bezczelnie, wesela wyprawiają i biorą pieniądze za bilety.

— Tak to się teraz bawią, ale rozumu to im nie brakuje, nie bójcie się! Młodzi widzieli kawał świata. Takiej Polski nie chcą za nic na świecie, a pańską ziemię chcą podzielić.

— Dobrze, jak Boga kocham, nic nie można powiedzieć, teraz za tej Polski nikt nie może wytrzymać: i majątkowy, i dochodowy, i gruntowy, i od psa, i od nawozu... i od wszystkiego, co jest na świecie!

— Ach, gdyby się tak uwolnić!... No, daj ci Boże zdrowie, Nastiu, i nie krzycz na nas, my już i tak się rozchodzimy.

— A co ja na was krzyczę, daj i wam Boże zdrowie, tylko nie zalejcie się jak wtedy, na Zielone Święta: ludzie do cerkwi idą, a oni leżą jak kłody...

— Wtedy były pieniążki, hej, gdzie te czasy?

Długo jeszcze gadali i zostawili dwa kieliszki dla Wasyla, na bolący ząb.

— No idźcie już do domu, bo zanim was żony do cerkwi zbiorą i zanim ja te włosy wymiotę — grzywy białych koni...

Wychodzili z chaty z rozpalonymi twarzami; słońce paliło ich wiele lat, więc i teraz przylgnęło do nich, a oni roznosili je do swoich domów.

— No, teraz będzie bieda — powiedział Nykoła do Maksyma.

— Jakaż tam bieda, dzieciom od ciebie wara!

— Dzieciom — to wara, ale starucha? Czeka już na pewno, aż jej oczy wyłażą, żeby mnie uczesać.

— Sam się uczesz.

— Ale, gdzieby to ona dała... tak bardzo lubi polować we włosach, zaraz pewnie poczuje, żem wódkę pił. No i zacznie się kazanie: „nie masz ty sumienia, stary, ani słońca, ani ludzi się nie wstydzisz".

— To schowaj się gdzieś w stodole.

— I tak przepadło, ona mnie do jutra z grzebieniem szukać będzie, aż znajdzie.

1925 r.

DZIAD HRYĆ

Pojechałem odwiedzić mojego starego przyjaciela Hrycia. Stary już dawno temu ogłuchł i rozmawiać z nim było bardzo trudno. Trzymał w rękach zieloną gałązkę, a obok niego na trawie siedział jego mały wnuczek.

— Przyjechaliście w dobrej chwili, bom się zupełnie odrodził, nie wiem tylko, czy zdziecinnieję, czy też wstydem okryję swoją siwą głowę. Oto znów słyszę tę samą muzykę, jaką grali, gdy moja starucha za mąż za mnie wychodziła; takie głośne dźwięki zabrzmiały mi w uszach, a do tej pory miałem je niby zalane ołowiem. To męka być głuchym, słowa wprost więdną na języku, a żona tylko śmieje się ze mnie i piszczy jak sójka w same uszy: „Aha, minęły już te czasy, gdyś na wiecach innych słuchał i sam przemawiał". Nieraz w tęsknocie za ludzkim słowem byłem gotów dać się zamurować. To smutne, gdy ciało jeszcze żywe, a porasta korą i staje się jak kłoda.

Wtedy człek musi się zamknąć w swojej duszy jak w rozwalonej chałupie, gdzie wszystko jest rozbite i poprzewracane. Stamtąd to niby z zimnej mgły albo mokrego popiołu wyciągać trza resztki rozbitych skarbów i wycierać ręce od sadzy. Rodzone dzieci stają się jak obce, zapomniałem nawet, że kiedyś były malutkie.

. . . . . .

Było to dawno temu. Zebrało się nas w mieście siła chłopów znad Czeremoszu, znad Prutu i Dniestru, kiedyśmy to dzieci przywieźli do szkoły. Na miejskim bazarze wszystkie przycichły jak rybki porozrzucane na drodze; aż je kusi, żeby wybiec na zielone pole. Matki siedzą na wozach, płaczą i po cichu przeklinają naszych nauczycieli; a my, ojcowie, cieszymy się: „Dopóty — powiadamy — będziemy głupcami, dopóty będziemy zginać grzbiety dla panów, dopóki dzieci naszych nie wykształcimy, a potem to i panów wypędzimy".

A już potem, kiedy nam dzieci w szkołach podrosły, to my, najtęższe chłopy, tylko buczeliśmy wkoło nich, niczym pszczoły dokoła kwiatów. Ale żal mnie gryzł później, kiedym to niby zamurowany cementem ogłuchł i kiedym się znalazł jakby w głębokim lochu, a z żalu tego zrobiłem się taki, żem zaczął zapominać o wszystkich radościach życia. A kiedym parę dni temu poczuł w sobie nową moc, to, Boże, widać wskrzesło we mnie wszystko słońce, com przez trzy pokolenia na sobie nosił, wszystkie pszenice, com je kosił, jeszcze nie wymłócone! Teraz to bogacz ze mnie, jeszcze całą Ukrainę nakarmię. Wszystkie mrozy, co pode mną przez wieki żyły, stawiają mnie teraz na nogi. Jak gdybym znów wybierał się do dzieci: starucha różnych różności napchała mi do torby — i to im zanieś, i tamto — nie żałuje mnie, objuczy mnie jak konia. A ja przez burze i zamiecie idę wesół i szczęśliwy: przede mną dzieci, a za mną — biała chata.

Co tam u nich słychać? Czy zdrowe, rosną, uczą się?

Odpoczywam po drodze jak dąb, co w ziemię zapuścił mocne korzenie, a moje gałązki pod niebiosami — w szkole. Teraz ożyłem i nabrałem mocy, jeszcze pochodzę po mojej drodze, gdyż pierś moja pełna jest dobroci i tkliwego kochania.

. . . . . .

— A kiedy wszystkie pokończyły szkołę — te nasze dzieci — i przyłączyły się do nas, a myśmy je otoczyli społem, to, dobrodzieju, gdzieby tam żandarmi dali nam radę! Silni i mądrzy podążamy za dziećmi tysiącami, a przed nami sami swoi. Wstaje Iwan Franko z czołem jasnym jak słońce, spokojnie nas uczy, a sam wszystko umie. Tłumaczy nam, że jeśli każdy z nas posiedzi za chłopską sprawę w więzieniu, to już nigdy niczego bać się nie będzie... A Pawłyk, zadyszany, wysokim głosem, gorąco, z zapałem opowiada nam o naszej nędzy, a z tyłu przy drzwiach Trylowski, cały we wstążkach jak dziewczyna, głośno krzyczy i wygraża, a za to młodzież jeszcze bardziej lgnie do niego. Słowem, po miastach ziemia pod nami huczała i niejeden pański ród musiał uciekać ze swego gniazda.

. . . . . .

— A kiedy Franko i młodzież zjechali do mnie na noc, to żona, choć nie lubiła wszelkich zebrań, nie dokuczała mi w komorze: widziała, że nasza piśmienna młodzież otacza go radośnie i cała pro-

mienieje, jak gdyby każdemu z nich złoty wianek na głowę włożył. A ja oparłem się o jesion w sadzie i powiadam: „Panie, ty cieszysz świat boży tymi gwiazdami, a nas, biednych chłopów, radujesz Frankiem. Będę się co dzień modlił do Ciebie za niego".

A w izbie rzekłem mu: „Jam niepiśmienny, lecz moi synowie te wasze stare i nowe myśli czytają mi jedną po drugiej. Bodajby Bóg dał wam siłę, żebyście odszukali wszystkie nasze narodowe dumki i te, co po starych klasztorach w ziemi są zakopane, i te, co panowie w pałacach swych zamurowali. Ale wspomnijcie i o nas choć trochę..." Nazajutrz, kiedym go wiózł do pociągu i spotkał na drodze pana, co pędził końmi jak na skrzydlatych smokach, tom ani z drogi nie skręcił, anim czapki nie zdjął. Ech ty, niegodziwy obszarniku, oto wiozę człowieka, któremuś do pięty nie dorósł!..."

. . . . . .

Tak rośliśmy, dzieci się mnożyły, a wszyscyśmy żyli w jedności ducha, choć wojna wielu do ziemi pokładła.

Wnukowie ruszyli na wojnę, a wnuczkę tom też odprowadził do miasta, by w szpitalach doglądała rannych. I nikt z nich nie powrócił. Starucha rozum straciła, cięgiem mi doskwierała i przeklinała: „Przez całe życie — powiada — włóczyłeś się po różnych zebraniach i dzieciska uczyłeś, a teraz rzuciłeś je w odmęt głową na dół". A dzieci moje nic się nie odzywają i nie chcą mówić o tym, żem kości ich dzieci po całym świecie rozrzucił.

Jużem postanowił wyruszyć za wnukami, lecz Polacy złapali mnie na granicy i przywlekli do domu... Przez długie lata siedziałem koło chałupy, alem nawet nie śmiał do niej wejść, żeby się posilić; urządziłem sobie koło bydła posłanie i tam mieszkałem zimą i latem. Ogłuchłem, oślepłem, prawie nic nie jadłem, chyba trochę ziemniaków i kapkę wody. Tak przechodziło obok mnie życie i moje dzieci.

A już najgorsi byli ci nasi, co poszli do służby. Kiedy, bywało, przyjdzie polski żandarm i gna syna, żeby jechał wozem z jakimś zleceniem, to ja już siadam na wóz, biorę bat i chcę tylko wiedzieć, dokąd mam jechać.

„No, stary, gdzie twoja Ukraina, ile morgów ziemi chcesz wydrzeć panu, i jakim ministrem ma zostać twój wnuk?" — „Jam głuchy — odpowiadam — nic nie słyszę". Albo też dziewki z nimi wożę lub na ulicach śmiecie zamiatam — w ten sposób swoje odpracuję. A ci

spośród naszych, co przeszli do służby u obcych, odwracają się ode mnie, niby że mnie nie poznają, i szwendają się biedacy jak te szczeniaki, wyrzucone przez gospodarza na puste pole. Jednak pewna młoda nauczycielka poznała mnie. Nie płacze, nie lamentuje: „Dziadku — powiada — co mam robić, naczelnik żąda, żebym przyjęła jego wiarę?" — „Gołąbku — odpowiadam jej — nie chodź do nich, skoro oni twoją wiarą gardzą, siedź lepiej w swojej chałupie i jedz czarny chleb".

. . . . . .

— A teraz mam do was wielką prośbę. Nie wiem, czy długo, czy krótko będę się czuł taki zdrów i odrodzony, ale kiedy umrę, przyjedźcie zaraz do mnie, bo strach mnie bierze, że po mojej śmierci dzieci moje zerwą ze ścian Szewczenkę i Franko i wszystkich naszych na strych wyrzucą. Przecie za ich prawdę zginęły moje wnuki. Ale dzieci moje tego nie rozumieją i patrzeć na nich nie mogą. A gdy będę już leżał w trumnie, zapytajcie moich dzieci wobec wszystkich, czy będą szanowały te portrety, jak ja je szanowałem, czy też obrócą je twarzą do ściany, żeby się przypodobać katom i żandarmom. Ten oto mój wnuczek pewnie by je szanował, ale tymczasem nie ma jeszcze sił.

Jeśli zaś moje dzieci nie zechcą szanować moich świętych, to kupcie skórzaną szkatułkę i połóżcie mi je na piersi. Powiadają, że skóra nie gnije przez całe wieki.

I jeszcze jedna prośba. Zostawiam pas ziemi temu, kogo sami wybierzecie, żeby kiedy się będzie zbierało do kupy kości naszych żołnierzy, i za mnie rzucił na kurhan parę łopat ziemi. Ale wysoko, wysoko, bo na tych kościach rozkwitnie nasza ojczyzna. A na swój pogrzeb wszystkom już przygotował, dzieci nie będą potrzebowały dać ani jednego gwoździa.

Nazajutrz raniutko przybiegł do mnie posłaniec i powiedział, że po moim wyjeździe dziad Hryć poprosił wnuka, żeby mu zagrał na fujarce, napił się mleka, zażartował zjadliwie ze swojej staruchy, nałożył czystą koszulę, wziął świeczkę do ręki, położył się do łóżka i zaraz umarł.

1925 r.

NITKA

W chacie cicho, za oknami czarno. Obraz Matki Boskiej ledwo ledwo oświetlony i — kądziel.

Semen, jej mąż. Ona wie, że kocha ją nawet we śnie. Obok niego Maria i Wasyl. A przy niej, w kołysce, najmłodszy — Jurko. Na ścianach obrazy. I taka wielka radość, że ona kocha i ją kochają.

W izbie czysto, tylko usiąść i prząść.

— Krzepki jest mój mąż, jeszcze będę miała dzieci. Ile mu dzieci urodzę... wszystkie wyżywi. A do mnie należy odziewać je, kochać i dla nich pracować.

Nitka długa, długaśna, nieskończona i nikt jej nie doprządł do końca.

— Trzeba je przyodziewać i Pan Bóg przykazał, bym je kochała. Chcę, by mój mąż czuł na swym ciele wszystkie me palce — wszystkie dziesięć, Marię trzeba będzie wystroić na Wielkanoc, a chłopcy wszystko podrą — wiedzą, że mama uszyje im nowe ubranka.

Mąż śpi jak zabity. Maria zrzuciła z siebie pierzynkę, a obok niej w kołysce poruszył się Jurko. Okryła oboje i przylgnęła piersią do Jurka.

Przędziwo, oczy i nitka — długa, nieskończona...

— A gdy już dla nich naprzędę i płótno wybielę jak papier, to będę na nim wyszywała.

I stanę sobie przy wrotach i będę patrzała, jak idą — mąż mój i moje dzieci. Wszyscy są moi, kiedy tak idą pod słońcem.

Koło północy oczy zmęczone, palce zdrętwiałe, lecz trzeba nitkę prząść dalej i dalej. I całym swym młodym ciałem nachyla się nad kądzielą.

Trzeba zwyciężyć słabość, wszak ci, co śpią obok, oczekują ode mnie wszystkiego; muszę nitkę swą doprząść do końca.

Ale z obrazu zstąpiła na pomoc Matka Boska.

Lecz nie zechciała długo pomagać. Kiedyś nocą zeszła z obrazu i rzekła: „Nie będę ci więcej pomagała. Pójdź za mną".

1926 r.

ROSA

Stary Łazar skoro świt spulchniał grządki. Przedświtowe pasma brzasku wciągały słońce na ziemię. Łazar oparłszy się na motyce wstrząsał siwymi włosami i uśmiechał się — jakże lubił te tryskające ogniem narodziny dnia! W brzasku świtu nie przestawał sobie wyobrażać przyszłości swoich dzieci, wnuków i prawnuków.

Cicho, tylko ptaki ćwierkają. Rosa kąsa go w nogi, ale każda łodyżka z taką radością nosi na sobie tę rosę, jakby to był boski napój.

— Oj, ty roso, roso, kąsałaś mnie od maleńkości! Pasłem owce i płakałem na ciebie. W młodości, bywało, wracając od dziewczyny podwijałem czyste spodnie, żeby matka na mnie nie gderała; a kiedym został gospodarzem i wychodził kosić zboże, gryzłaś mnie i kąsałaś broniąc każdego źdźbła od kosy, żeby jutro jeszcze napoić je swoim nocnym trunkiem. Ale najgorsza bywasz na jesieni, bo wtedy zabierają ci wszystko, czym co rano liczko obmywałaś. Jesteś jak matka, co to nie odda swoich dzieci.

Tak, roso, nachodziłem się po tobie i dość mnie nagryzłaś, ale ostra byłaś niby miód, co to szczypie i odurza. Przez siedemdziesiąt lat nie ominęłaś mnie ani jednego ranka i ciąglem czekał na jasne słonko, żeby wielkie i dobrotliwe wysuszyło mnie, a ciebie, roso, uniosło do nieba, żebyś wieczorem opadła z powrotem, kiedy to każda trawka taka spragniona. Ty, Panie, polewasz rosą ziemię, jak my — rozsadę. A ty, boża wodo, dawałaś krzepkość i zdrowie żytom i pszenicy, ale i ja także, dzięki tobie, byłem zdrów i krzepki. Smutno mi bardzo, że nie zrosisz mnie, kiedy się święte słoneczko narodzi...

Spojrzał na swoją białą chatę.

— O, ty mój pałacu, wychodzę z ciebie po cichutku, żeby nie pobudzić wnuków. Rozciągnięci na pościeli śpią tak smacznie, że grzech skrzypnąć drzwiami; sen ich jest święty, przecież Bóg wziął ich na kolana i na bożych kolanach rosną. Moja starucha zaraz po mnie wstaje, okrywa dzieci i chodzi miękko jak kotka gotując dla

nich śniadanie. Boże miłościwy, czymże ci odpłacę za twoją łaskę? Przez długie lata słońcem, deszczem i burzą dawałeś mi siły, żeby dzieci moje i ich dzieci mogły żyć i rosnąć.

Tylko wnuki moje jakoś inne, niż bywały dawniej, mają teraz książki i pieśni ich są jakieś inne. Głupia starucha nie może się nimi nacieszyć i buduje Ukrainę; po prostu oszalała z tymi wnukami. Wyłudzają od niej pieniądze na teatr, to na książki i ciągną to stare pudło po czytelniach, a ta wraca z nimi do domu i cieszy się jak młoda dziewucha. „Oj, stary — powiada — gdybyś ty widział, jaki piękny Kozak z naszego Tomy — w siwej czapce i niebieskich spodniach; ludzie klaszczą mu w ręce, a on gada jak z książki, a koszula na nim aż się pali. Gdybyś tak choć raziczek na nich popatrzał". A ja na to: „Jam za stary, żeby patrzeć na coś takiego, i nie moja wina, że ty ze swymi wnuczętami przypomniałaś sobie panieńskie czasy. Powiedz mi tylko, skąd masz pieniądze na czapki, na niebieskie sukno, a jeszcze na ogniste koszule, wszak ślepa jesteś jak kret, więc nie tyś je wyszywała? Odkąd zwariowałaś z tą swoją Ukrainą, pieniądze nie trzymają mi się w woreczku".

Ale moje wnuki nie piją, nie włóczą się po spacerach, do szynku nie zaglądają, tylko cięgiem brzęczą jak pszczółki: „Ukraina, Ukraina..." Ten pędrak Kiryło przychodzi do mnie jak do dziecka i powiada: „Dziadku, posłuchaj, przeczytam ci coś ładnego".

I czyta; prawda, pięknie tam stoi napisane, ale ja niepiśmienny i tylko robię to dla dzieciaka, że siedzę i potakuję mu.

Grzeczne są moje wnuki, pobłogosław, Panie, ich nadziejom. Pragną nowego, od tego są młodzi!

Rozmyślania te przerwało mu słońce — wzeszło złote — i starucha, która go zawołała na śniadanie.

— Ty, wieczne słońce, znów błogosławisz mnie przed śniadaniem. Osłabłem już, twoja córka — rosa nic już ze mnie nie wypije, zostały same kości. Ale wnuków mam wiele. Rosa ma kogo obsypać swymi perłami. A ty, matko nasza, jasne słoneczko, błogosław im na śniadanie.

Stary Łazar obtarł zroszonym listkiem swoje wilgotne oczy i poszedł do chaty, do wnuków.

1927 r.

GRZECH

Zamyśliła się Kasijanycha. Cóż teraz będzie? Mąż wczoraj powrócił z frontu, napił się wody i zasnął. Ciągnie od niego dymem z parowozu. Na drążku migocze kaganek. Obok niego co chwila zrzucając z siebie kołderkę leży spora dziewczynka. Urodziła się z męża jeszcze przed wojną. A żołnierski bękart co chwila szuka piersi. Na ścianie niby góra kładzie się cień jej krągłej piersi, a wargi bękarta wyglądają na ścianie jak żarłoczne węże. I Kasijanycha myśli: „Ten malec niby upiór wyssał mi całą moją cześć kobiecą, a także wyssie ze mnie wszystką mą krew".

Co będzie, gdy mąż się przebudzi?... Oj, namota sobie te długie warkocze na ręce, jak zacznie włóczyć moje białe ciało od ławy do pieca! A potem wywlecze mnie na próg i ciało zostanie w izbie, a głowa upadnie w sieni i krew z niej psy będą lizały. Tak, suko, odkupisz swój grzech! A ten mój szczeniaczek zginie w błocie i hańbie, nikt go koszulką nie odzieje, a jeśli, nie daj Boże, wyrośnie, to będzie się tułał beze mnie jako najmita i nie będzie nic wiedział o swym ojcu, a ten gdzieś w stepach szerokich nic o nim nie będzie wiedział. O, Boże, za coś mnie tak ciężko ukarał, dlaczegoś mi rozum odebrał, kiedy tamten patrzał w me jasne oczy, a moje warkocze wsuwał sobie pod szynel za pazuchę? Tyś, Boże, winien, żeś mi wtedy odebrał rozum! Migoczesz jasnymi gwiazdami i śmiejesz się. Bądźże przeklęty, tak jak ja!...

Moja matka przez dwa dni stała smutna pod ścianą przy drzwiach, płacząc nad utratą swej czci, moje siostry we łzach prały pieluszki. A ojciec tygodniami nie wchodził do chaty i swój kawałek chleba zjadał na dworze. Ksiądz w cerkwi rzucił na mnie klątwę, ludzie ode mnie stronili. Nawet skała nie uniosłaby takiego brzemienia. I tylko dlatego nie rzuciłam się do Dunajca, że mój przybłęda jedwabnymi oczkami patrzył na mnie i uśmiechał się.

Schwyciła dziecko, do piersi przytuliła, mówiąc:

— Kto by mi dał taką siłę, żebym mogła zaraz, w tej chwili odejść stąd lub też naostrzyć nóż i wrazić mu w samo serce! O, Boże, Ty nas popychasz do grzechu, lecz nie dajesz nam sił, żeby go odkupić!... Nie zabiję cię, kochany, choć mnie kusi, żeby to zrobić, serce moje drży jak pajęczyna na wietrze... O, gdybym mogła wydrzeć sobie serce i zatkać ci nim gardło, żebyś umarł z dwoma sercami, a ja — bez serca!...

Ranek.

— Czyje to dziecko?

— Przecież wiesz, że nie twoje, tylko moje.

— Ha, trudno, wyżywimy i tego.

— Nie, nie chcę, żebyś żywił moje dzieci, ja go sama wyżywię.

Żelaznymi rękami przytuliła do siebie niemowlę myśląc: „Już, już schwyci za siekierę!" i pragnęła zginąć wpierw sama, żeby nie patrzeć na drgawki małych rączek.

— Oj, baba z ciebie, mój mężu, czy nie żartujesz, a czy łatwo ci będzie znosić hańbę twej żony?... A czy wiesz, że odkąd się stałam rozpustna, to wszyscy bezecnicy do mego okna pukali? Nie jestem ci już żoną, taka żona nie dla ciebie!... Zostawię ci Katerynę, już podrosła, jest twoja, a sama ze swoim dzieciątkiem odejdę.

Wybierała ze skrzyni swoje wiano. Wzięła sobie dwie koszule i kożuszek.

— A reszta zostanie dla Kateryny, to takie mądre i łagodne dziecko, będzie ci z nią dobrze.

Poszła ulicą z dzieckiem na ręku.

Za nią — matka i ojciec, i siostry, i sąsiedzi. Wszyscy wołali:

— Nie odchodź, nie odchodź!

Ale ona prawie biegła i gdy wyszła na wzgórek i w oddali ujrzała szczyty górskie i jasne rzeki westchnęła, dała piersi synowi i wyszeptała:

— Grzechu mój, grzechu, ja cię odkupię, a ty wyrośniesz mi duży, duży, mój synku!...

1927 r.

GŁUPIE BABY

Więźniom politycznym poświęcam

Nikt nie wie, jak się to stało, że baby urządziły na rynku niedozwolone zebranie. Zaczęło się od tego, że pewna kobieta ze Stecewa wróciła — cała wzburzona — od syna siedzącego w więzieniu w Kołomyi.

— Małom nie zamarzła pod tymi murami, nie puszczają do środka i już. Chodzę po mrozie, dusza aż cierpnie od zimna, gdybym go mogła zobaczyć choć za kratami...

Dokoła niej zebrało się więcej kobiet.

— Pytacie, za co siedzi? A kto ich tam wie? Za gazety. Syn zobaczył przez okno żandarma i wsunął mi za pazuchę jakieś papiery. Żandarm obszukał go od stóp do głów, przewrócił całą chałupę do góry nogami i usiadł. Pomyślał, pomyślał i powiada do mego męża: „Idź, przyprowadź szynkarkę, niech tu zaraz przyjdzie".

Przyszła, a żandarm do niej: „Zrewiduj no tę kobietę, czy nie ma przy sobie jakich papierów". I rzeczywiście, szynkarka wyciąga mi zza pazuchy te papiery, co mi dał syn. Żandarm ucieszył się, przejrzał papiery i powiada do syna: „Zabieraj się ze mną do komisariatu". I jak poszedł, tak po dziś... Rozpytywałam się wszędzie, szukałam, gdzie mogłam, aż wreszcie dowiaduję się, że jest w więzieniu, w Kołomyi.

Dokoła kobiet coraz więcej.

— A choćbym miała na śmierć zmarznąć, to wszystko jedno, i tak do niego pojadę, przecież to mój najmilszy synek, może on tam głodny, może go wszy jedzą, może tam marznie za kratami. Mąż krzyczy: „A na czyjej głowie zostawisz resztę dzieci?" A ja na to: „Jeśli mnie nie dowieziesz do kolei, to jak Boga kocham, na kolanach tam popełznę!" Mój widzi, że nie da rady, więc zaprzęga konie i jedziemy. Siadłam do tego pociągu, wiezie mnie, a ja sobie myślę: oto za chwilę ujrzę syna...

Zebrał się cały tłum kobiet. Chłopi z batami w rękach stanęli z tyłu za nimi, a tu już policjant zaczyna podsłuchiwać.

— Zanim to więzienie odnalazłam, zanimem się do niego dostała, minęło czasu, że nie daj Boże! Ale nawinął mi się jakiś dobry pan i pyta: „Po cóż ty, babo, tak pod murami marzniesz?" A ja w płacz. Odpowiedziałam mu, że tak i tak, i zaprowadził mnie na dziedziniec więzienia. Spisał ze mnie protokół, jak się nazywam, jak nazwisko syna, skąd...

Żandarm starał się baby rozpędzić, ale z nimi nie łatwa sprawa!

— Więc zobaczyłam się z synem i ażem się odrodziła, tak się nim ucieszyłam. „Nie martw się, mamo" — mówi — a wesół taki! I powiada: „Jest tu nas dużo takich, nic nam nie będzie; nawet jeśli przyjdzie nam posiedzieć roczek — dwa, to nic, młodzi jesteśmy, odsiedzimy". Tak mnie pocieszał. — Patrzę ja na te kamienne mury, na małe okienka za kratą i powiadam: „Jakże to, synku, wytrzymasz tu dwa lata?" Pobyłam tak z nim trochę, a tu słyszę: „Idź już sobie, stara!" A ja rada choćby już z tego...

Tu rozpoczyna się cała wojna, żandarmów coraz więcej i więcej, baby nie chcą się rozejść, krzyk... Jakaś kobieta z Karłówki krzyczy:

— Chcecie wszystkie nasze dzieci, co chodzą do szkoły, zgnoić po więzieniach, żeby potem chłopów do jarzma zaprząc!

— Rozegnaliście nasze dzieci po całym świecie. Mój uciekł na Ukrainę i dotąd nie wiem, czy żyje, czy nie!

— Mój przepadł gdzieś u Czechów...

— A mój u Niemców. Żeby wam było tak lekko żyć, jak mnie opłakiwać moje dziecko!

A żandarmów wciąż przybywa. Zgiełk wzrasta. Chłopi usiłują uspokoić żandarmów, że to przecież głupie baby, że nie wiedzą, co to porządek.

— To niech te dwie baby wystąpią, spiszemy protokół, a reszta niech się rozejdzie.

— Oho! Znamy te wasze protokoły! Zabierajcie nas wszystkie!

Długo czy krótko przemawiały się baby z żandarmami, dość że po pewnym czasie, otoczone przez żandarmów, ruszyły pochodem na magistrat.

Śnieg skrzypiał i zgrzytał pod nogami, a z tyłu podążali chłopi. Wszystkie kobiety mają na głowach czerwone chustki. Jak od-

różnić jedną od drugiej, a zresztą — kto by tam mógł dojść do ładu z taką kupą bab?

Tak się też stało. Aż do wieczora baby marzły na magistrackim dziedzińcu i zamieniały się chustkami, żeby nie można było ich rozpoznać, i nie podobna było ich rozegnać. W końcu trzeba je było prosić, żeby się wreszcie ich pozbyć.

A gdy się rozsypały po ulicach, to śmiały się i chichotały, jakby wracały z wesela.

Wiadomo — głupie baby.

1928 r.

UCZEŃ

W kancelarii gminnej zebrał się tłum rozjątrzonych, rozkrzyczanych kobiet. Tylko sołtys i żandarm z karabinem siedzą spokojnie za stołem; na ubitej z ziemi podłodze za sołtysem siedzi w kąciku brudny, obdarty chłopczyna i czarnymi oczkami rozgląda się dokoła.

— Czegoż wy, baby, chcecie od tego urwipołcia?

— Chcemy, żebyście go jakoś okiełznali, bo przez niego w całej wsi ani my, ani nasze dzieci spokoju nie mamy...

Zaczęły krzyczeć, wymachiwać rękami.

— Ale wytłumaczcie, o co chodzi, Tofanka, wszak wyście pobiegli po żandarma...

— Et, co tu dużo gadać o tym urwisie. Ściąga na łąkę małe dzieci i karmi je muchami i robakami. Dzieciakom wargi puchną, płaczą po nocach, spać nie dają. Dzieci zanoszą mu wszystko, co im w chacie w rękę wpadnie. On jada z Cyganami stęchłe mięso. Jeszcze takiego świat nie widział. Odkąd umarła mu matka, chłopak całkiem zdziczał, nikt mu nie da jadła ani noclegu, nawet nikt mu koszuli nie upierze.

A chłopak z kąta odpowiada:

— Oj, głupia ta Tofanka! Skoro moją mamę ziemią zasypali, to kto ma mnie karmić i opierać? Jak mi się uda co zwędzić, to zjem i jużem niegłodny, jak ściągnę co z płotu, to tym się przyodzieję. Biją mnie, mocno biją, ale jakoś to wytrzymam. Skoro nie mam mamy, to muszę cierpieć...

— Patrzcie go, bodajby choć zapłakał, przepraszał, a ten nic, tylko jeszcze mędrkuje...

— Tofanka, powiedzcie wreszcie, co on nabroił?

— Wyprawiłam swego Łukynkę do szkoły, umyłam go, nakarmiłam, włożyłam mu czystą koszulę, wziął swój kałamarz, torbę z książkami i schował chleb za pazuchę. Potem piorę wełnę przed

chałupą i o niczym nie myślę. Minęła może godzina, albo może nawet pół godziny, a tu wbiega przez wrota coś takiego, po prostu diabeł różnymi farbami wymalowany i wrzeszczy tak, że uszy puchną. Tylkom po głosie poznała, że to mój chłopaczyna. Złapałam go na ręce, wniosłam do izby, myję go, tarmoszę, a on cięgiem krzyczy. Patrzcie, całe rękawy i piersi mam zapaskudzone farbami...

Baby oglądają plamy na kaftanie Tofanki i próbują, czy farba puści, czy nie.

— Chłopczyna ochrypł z płaczu i opowiada mi, że kiedy szedł do szkoły, ten łobuz dogonił go na łące i mówi: „Słuchaj no, Łukynka, zdejmaj koszulę, a ja cię zaraz wymaluję w różne kolory. Dzieci będą za tobą goniły i śmiały się". — No, więc mój mały zdejmuje ze siebie koszulę, a tamten przy stawie wymalował go we wszystkie kolory. „A teraz — powiada — pobiegaj po łące, będziesz motylem". A sam cap za koszulę i pasek, i wszystko, i myk w kukurydzę. Wystroił się, oblał się farbą i poszedł przybłęda do szkoły...

Tofanka chciała się rzucić na chłopca, ale żandarm ujął się za nim.

— Przecież mówię, że Tofanka głupia. Myślała, że mnie strach obleci, kiedy zobaczę żandarma i sołtysa. Ale ja i na drodze bym się jej nie bał, zwiałbym jak wiatr. Na stawie też bym się nie bał, dałbym nura do wody i już! Niemałom wycierpiał cięgów, dopókim nie nabrał rozumu. Krew mi szła z oczu, z uszu i z gardła, zanim zmądrzałem; nogi też mam teraz mocniejsze. Teraz potrafię uciec od każdego...

— Moi ludzie, i to ma być skrucha! — Sołtysie, zróbcież co z tym łobuzem. Przecież on nam popsuje wszystkie nasze dzieci. Patrzcie go, jak to białkami rusza, kpi sobie z nas wszystkich. A to ci diabelskie nasienie!

— Mały, powiedz no, czy masz jakiego wujka, ciotkę lub kogo z krewnych?

— Adyć mam ich sporo. Ale kiedy zaraz po pogrzebie mamy zabierali od nas płachty i płótna, to jeszcze mnie brali do siebie, a potem to już tylko bili, wypędzali i jeść nie dawali. Trudno, musiałem więc kraść. Dopóki było ciepło, sypiałem w zbożu albo w kukurydzy, a jak się zrobiło zimno, tom chował się do obór między krowy. Krowy mają dech ciepły, to mnie grzały. Dzieci przynosiły

mi coś do jedzenia, a nauczycielka dała mi nawet kaftan, o, taki długi, długaśny...

— Idź no po jego ciotkę, tę, co to mieszka pod lasem. Powiedz, żeby tu zaraz przyszła, do kancelarii.

— No i cóż zamierzacie zrobić z tym nicponiem? Powinniście go ukarać, zamknąć do zimnicy. Bo inaczej nie będzie można dzieci wypuścić z chałupy.

— No to karajcie, wytrzymam to, i tak mam już cały tyłek w siniakach. Spojrzyjcie, ile tu śladów po kijach!...

Tu chłopak podniósł koszulinę i odkrył swoje ciało.

— Patrzcie, patrzcie! Ani wstydu, ani sumienia... — zaszemrały baby.

— O, idzie jego ciotka...

W jednej chwili chłopczyk ukrył się między nogami żandarma.

— Oj, panie żandarm! Ta ciotka zacznie mnie zaraz bić! A ma taką twardą rękę! Ja widzę wszystko, co się dzieje na wsi, tom zauważył, że do niej chodzi ten Basok. A kiedym jej to powiedział, to goniła za mną aż do sianokosów i tak cisnęła za mną pałką, że mi kawałek mięsa wyrwała. Ona by mnie zabiła. Baby nigdy się tak nie rozzłoszczą, jak wtedy, gdy im powiedzieć, że ktoś do nich chodzi. Niemałom już za to oberwał, a najwięcej od tej ciotki. Gdybym nawet ukradł im koszulę albo kawał słoniny, to mniej by mnie biły...

Wszystkie baby obróciły się do ciotki łobuza i zaczęły między sobą szeptać i kpinkować.

— Panie żandarm! Ja wiem o wszystkim, co i gdzie jest na wsi. Wiem, gdzie leży słonina i gdzie są zakopane karabiny; wiem, gdzie w szynku stoi zegar — nikt mnie przecież do izby nie wpuści, więc muszę chodzić i podglądać. Możecie mnie nawet powiesić. Widziałem, jak Łeś swego parobka do góry nogami powiesił. A potem ilu żandarmów się zeszło i doktor go krajał... Ale potem sprawili mu piękny pogrzeb. Tylko nie oddajcie mnie tej ciotce bo ona przez tego Basoka strasznie na mnie rozzłoszczona. Niech będzie więzienie, jak szubienica, to szubienica, ale przecież muszę sam się o siebie troszczyć...

1931 r.

SAMEMU SOBIE

Bądź mi jak nocne niebo jesieni — surowe. Bądź czyste niby pług, co ziemię czarną orze. Bądź matką, co ciemną nocką dziecko swe do snu kołysze i cicho, cichutko nuci.

Strój się tak jak dziewczyna stroi się wczesnym porankiem, zanim wybiegnie do sadu, by spotkać swego miłego — tak strój się, o moje słowo.

Szepcz ludziom, jak strumyk swemu brzegowi szepcze.

Druzgocz jak piorun, co w dęby najtęższe uderza, na drobne je drzazgi rozszczepia.

Płacz, jak płaczą miliony, co snują się cieniem po świecie.

Wzlatuj, jak moje żądze batami podcięte, a batów tych bodaj jest więcej, niźli promieni ma słońce. Podchwytuj cudze żądze, razem się z nimi splataj, by społem z nimi spłonąć.

A gdy ci sił już nie starczy, pod wierzbą płaczącą odpocznij, patrząc na ciche jezioro.

Takie bądź, moje słowo!

1896—1897 r.

W POWIETRZU PŁYNĄ LASY

W powietrzu płyną lasy i wioski pośród nich.

Na niebie chmury niby mech do ziemi wśród leśnej ciszy przymarzły — szary jak lodem pokryty. Te szare chmury tam, nad zachodem zastygły i jakby skamieniały.

Słońce jak krwi wyzbyte — blade i blade są jego promienie.

Ukryje się o zachodzie za owe szare skały. Obejdzie je i jak złodziej cicho się pod nimi przekradnie.

O, gdyby kto zdołał rozbić te zamarzłe chmury, to stanąłby wyżej niż słońce. Stworzyłby nowe gwiazdy, bo moc ich tam siedzi skowanych.

. . . . . .

Gdybym mógł rozbić tę skałę, co duszę moją skowała!

Zaszumiałyby lasy, zaśpiewałyby sioła.

Tam głos mej fujarki zakuto, a kiedy śpiewała, las ku wschodowi się kłonił.

Tam kryją się także szmery tego listowia przy drodze, co cicho szeptało, by przez nie owieczki moje nie przeszły, zasiewów nie podeptały. Tam są przysięgi mej lubej. A każde jej słowo śpiewało.

Niechby fujarka zagrała, niechby me owce wróciły, a luba znów przemówiła!

Nie ma ich już...

Dusza zakuta w skale jak rabuś. Nie wyjdzie stamtąd dziewczyna w białą sukienkę ubrana, gdyż nie ma już mojej fujarki ni owiec, ni ukochanej.

Nie zaszumi już las, nie zaśpiewa już wieś...

1897 r.

WCZESNYM RANKIEM WŁOSY CZESAŁA...

Wczesnym rankiem włosy czesała. Przez okno wpadały jesienne promienie snując się z włosów niby cieniutkie srebrne nici z grudy złota.

Czesała włosy, a za oknem szerokie liście orzecha cicho się kołysały i goniły promienie z jednej szyby na drugą.

Szum orzecha wkradał się do jej myśli. Coraz wolniej i wolniej przesuwała grzebieniem po włosach, aż wreszcie przestała.

Obiema rękami oparła się na stole, a włosy zsunęły się i zasłoniły jej ramiona i krzesło. Opadały w dół jak złote fale wodospadu. Opadające fale żłobiły sobie dróżki, a teraz opływały jej szyję.

A szyja ta czysta, jak biały kamień wymyta.

— Oto już jesień. Czyż ty mi, listowie, szepczesz, że on mnie już

nie kocha? A może powiadasz tak samo jak ludzie, żem niepotrzebnie jego namowom uległa? Lub niesiesz mi jego myśli, że już się starzeję i kochać mnie dalej nie można? Powiedz mi, powiedz, orzechu, co szepczesz?

Skłoniła głowę na białe ramiona. Opadło pasemko włosów i zasłoniło błękitne żyłki na białych rękach utkane.

— Powiedz, orzechu, powiedz, kochany!

I zapłakała. Łzy się toczyły po rękach jak krople, którymi pryska wodospad.

A za oknem orzech szeptał szerokim listowiem: „Czesz włosy, czesz, głupia, on ciebie naprawdę kocha!"

CÓŻEŚ TY, SERCE MOJE...

Cóżeś ty, serce moje, tak pełne grzechu? Dlaczego, serce moje, nie pękniesz?

Wieczór. Księżyc zapala się na niebie, młodzieńcza pieśń do gwiazd przerzuca mosty, samotna fujarka parobka skarży się żałośnie i dolatuje od stodoły do pańskich okien. Spokojnie snują się dymy nad doliną, gromadki czarnych owiec szukają swoich wrót, za nimi dzieci wznoszą na drodze pył.

I czemuż ty, serce moje, żałośnie płaczesz w piersi jak opuszczony ptak? Dlaczego, serce moje, nie pękniesz?

Jedzą wieczerzę. Matka krząta się za stołem, brzęczą łyżki, rodzina spożywa zgotowaną przez matkę wieczerzę.

Sierota tuli głowę do kanciastych odrzwi i wspomina coś, co już dawno minęło. Odmawiają modlitwy, układają się do snu, światło księżyca zalewa okno...

Dlaczego, serce moje, drżysz niczym na wietrze listek? Czemuż ty, serce moje, nie pękniesz?

1897 r.

MOJE SŁOWO

Półgłosem, bladymi wargami opowiem wam o sobie. Nie szukajcie w mym słowie skargi ni smutku, ani radości.

W białej zgrzebnej koszuli od mamy odszedłem i sam byłem biały jak śnieg.

Drwili z mej białej koszuli, krzywdzili mnie, serce ranili.

A ja chodziłem cichutki jak biały kotek.

I czułem całą podłość moich nieśmiałych kroków i moje dziecięce serce krwią opływało.

Sypiałem w cudzym kącie wśród brudnych, splecionych w rozpuście ciał.

Listeczek białej brzozy wśród śmieci.

. . . . . .

Zdjąłem koszulę, w którą odziała mnie mama. Mój cały dziecięcy świat i chłopska przeszłość mego rodu zostały poza mną daleko.

Przede mną stanął inny świat — nowy i czarny.

Chwyciłem go za poły, niby malutki żebrak, a on wyniośle patrzył na mnie.

Więc oniemiały z bólu milczałem długie, długie lata.

O, słowa moje nie powiedziane, łzy moje nie wypłakane, o, śmiechu mój nie wyśmiany!

Ległyście na mnie brzemieniem jak na obczyźnie walą się na grób kamienie z roztrzaskanego krzyża.

. . . . . .

Znalazłem towarzyszów.

Ci pogodzili się z nowym światem. Mówiłem im o mym porzuconym świecie i o tym nowym, który niesłusznie nas deptał.

Mówili mi, że kłamię.

Więc rwałem się w niemocy i upadałem w błoto, alem ustąpić nie chciał.

Raz jeszcze mówili, żem kłamca. I opuścili mnie.

A kiedym płakał, mama mi rzekła szlochając:

— Pozostań takim, jakim jesteś, tak czy inaczej, panowie cię nie przyjmą, nie trzeba mnie było porzucać.

Zostałem sam jak krzak wśród pola.

. . . . . .

Siedziałem pośród pola.

Moje dumy snuły się po długich skibach urodzajnej roli. Ssały ziemię i karmiły mnie samotnością.

I niosły mi słony pot i ciche pieśni ciągnące się za oraczem, za pługiem, za poganiaczem. I napełniały mnie takim spokojem, jaki unosi się nad jarzmem wołów wprzęgniętych do pługa.

Widziałem także ogniska i wokół nich małych pastuszków i owce w polu.

Tutaj to będę królował jak bujny wiatr, tutaj zaśpiewam swoją pieśń!

. . . . . .

Stworzyłem sobie własny świat.

Na prawo ode mnie pola sina dal, czarne zagony i błyszczący pług, i pieśni, i słony pot.

Na lewo — czarna maszyna, co z paszczy ognistej przekleństwem zionie.

A w moim sercu — mój świat z jedwabiu utkany, czystym srebrem wyszyty, perłami przetykany.

W moim królestwie.

. . . . . .

Wyciosam świat mój niby kamień.

Będę ostrzył swe słowo na krzemieniu swej duszy i trującym zielem przesycone będę ciskał na lewo.

I będę słowo moje rozszczepiał na maleńkie słoneczne promyki i zanurzywszy je w każdym kwiatku będę ciskał na prawo.

A kamień swój będę ociosywał bez ustanku. I położę go na swej mogile jak martwe piękno.

A wiśnia u mego wezgłowia wszystkie me bóle wessie w swe kwiecie.

. . . . . .

I w świecie moim żyję, żyję!

I błądzę jak szalony w obłokach swej fantazji.

Rozsyłam nieustannie swej duszy wszystkie moce, aby w dalekich krajach me szczęście odnalazły.

Po cichym stawie mej przeszłości płyną niewody mych serdecznych pragnień, żeby wyłowić wszystkie jasne chwile mego życia.

Lecz rwą się niewody, nie mogą niczego wyłowić.

Niby chłop z pola — tak powracają do mnie znużone i puste.

A ja — smutny — drzemię wśród obłoków.

. . . . . .

Gdy padnie grom, podnoszę znów ku niebu moje czoło.

I lecę, lecę na czarnych chmurach...

Złotą strzałą przeszywam jasne wyżyny.

W czarnych kędziorach chowają się gwiazdy jak w czarnych chmurach.

Pod mym spojrzeniem zimne chmury spadają ciepłym deszczem na ziemię.

Lecz dojść do słońca nie mam sił.

I spadam z wysokości w dół.

Jak stary żołnierz wlecze się na swych drewnianych nogach, tak samo wlokę się ja.

. . . . . .

Lecz skrzydła odrastają, więc lecę znów do słońca i do szczęścia

I znów przecinam niebieskie sfery i znów spadam.

. . . . . .

Byłem szczęśliwy.

Szczęśliwy, gdy w dzieciństwie patrzyłem w oczy mamy, widząc jak przez nie płyną jasne obłoczki szczęścia — wtedy szczęśliwy byłem.

Lecz teraz na te oczy śmierć położyła swą dłoń.

A ja wciąż szukam szczęścia pod niebem i znów spadam.

1899 r.

K O M E N T A R Z E

W skład niniejszego zbiorku „Utworów wybranych" Wasyla Stefanyka weszło 46 najlepszych nowel, jakie napisał w różnych okresach swego życia. (Ogółem Stefanyk napisał ponad 60 nowel).

Książka składa się z dwóch części: pierwsza zawiera wybrane nowele, druga — wiersze prozą.

Nowele

„Klonowe liście" — najlepsza przedwojenna nowela Stefanyka. Pisarz lubił ją najwięcej ze wszystkich swoich utworów. Siedem różnych wariantów świadczy o tym, z jaką miłością była pisana.

Nowela ta jak w soczewce skupia w sobie wszystkie zasadnicze i charakterystyczne cechy twórczości Stefanyka: jego nieugiętość wobec prawdy życia, jego wrażliwość na sprawy społeczne, gorącą miłość dla ubogich, umiejętność głębokiego wniknięcia w wewnętrzny świat bohatera, zwięzłość, doskonałe operowanie formą dialogu i subtelną analizę psychologiczną bohaterów i innych postaci.

Nowela ta została napisana w drugiej połowie 1900 r.

„Niebieska książeczka". Pierwowzór tej noweli, pod tytułem „Fornal Anton" ukazał się w druku już w r. 1890 w gimnazjalnej gazetce „Postęp", w N-rze 3, redagowanym w Stanisławowie i został odbity na hektografie w Tarnopolu. Nowela ta zatytułowana „Niebieska książeczka" była najpierw drukowana w gazecie „Pracia", Czerniowce, 1897.

W r. 1899 w Czerniowcach został wydany pierwszy zbiór utworów Stefanyka pod tytułem „Niebieska książeczka", do którego wszedł szereg nowel realistycznych: „Mamin synek", „Katrusia", „Jesień", „Anioł", „Portret", „Rodzina Łesia" i in. Zbiorek ten rozpoczyna nowela „Niebieska książeczka".

„Dzieci". Nowela ta pierwotnie ukazała się w druku w zbiorku „Kamienny krzyż", Lwów; 1900 r.

„Odprowadzała go wieś cała". Nowela po raz pierwszy ukazała się w gazecie „Pracia", Czerniowce, 1897.

„Zmarnował się“ — jest jakby dalszym ciągiem noweli „Odprowadzała go wieś cała“. Tematem tej noweli jest samobójstwo ciotecznego brata pisarza, Łuki, który powiesił się we Lwowie, gdzie odbywał służbę wojskową.

Pierwotnie ukazała się w druku w gazecie „Pracia“, 1897.

„List“. Stefanyk dedykuje tę nowelę „więźniom politycznym — chłopom, aresztowanym w wigilię“. Tematu do noweli zaczerpnął autor z prawdziwego faktu, jaki zdarzył się w kwietniu lub w maju 1897 r. we wsi Pistyni, koło Kosowa.

Nowela ukazała się w druku w Czerniowcach, w gazecie „Pracia“, 1897.

„W karczmie“. Drukowana po raz pierwszy w gazecie „Pracia“, 1897.

„Świętoszka“. Po raz pierwszy drukowana w gazecie „Pracia“, 1897.

„Wieczorna godzina“, „Posiedzenie“, „W drodze z miasta“. Nowele te napisane w końcu 1897 i na początku 1898 r. Stefanyk złożył w redakcji pisma „Litieraturno-naucznyj Wiestnik“. Jeden z członków redakcji odpowiedział mu, że autor posiada „talent obserwatora“, że umie jak fonograf lub stenograf powtarzać rozmowy chłopów w gwarze używanej na Pokuciu, że jego miniaturowe nowelki są „naszkicowane żywo“, lecz przedstawiają jeszcze „surowy materiał“.

W liście datowanym z Krakowa 11. III. 1898 r. Stefanyk odpowiedział Osypowi Makowejowi, który był wówczas redaktorem tego pisma:

„Wieczorna godzina“ jest tą dziwną godziną, która budzi w duszy wszelakie wspomnienia. Z początku wspomnienia te kłębią się, rozpraszają niby chmurki na niebie, potem pozostaje tylko jedno i napełnia duszę tęsknotą. Jest to obrazek bez ram, lecz mimo to — obrazek.

Rozmawiają ze sobą trzej proletariusze. Powracając z miasta mówią o życiu, które minęło i skończyło się wczoraj. Mówią o przeszłości, o tradycjach i już zaczynają przeplatać rzeczywistość fantazją. Jest to zawiązek baśni lub bajki o dobrobycie. Co może być bliższego sztuce, niż trzy chłopskie głosy rozbrzmiewające po polu i tworzące bajkę? Czyż potrzebny jest tu głos autora lub opis tych ust, które mówią? Czyż sztuka jest gimnazjalnym nauczycielem?

Albo• też: zebrali się wyborcy na „Posiedzenie“. Toczy się przyjacielska pogawędka. W rozmowach tych uwypukla się postać starego, głęboko wierzącego chłopa i młodego, który już coś niecoś czytał z postępowej (radykalnej) literatury, oraz starosty — tchórza. Zarysowują się jakieś zmiany na najbliższą przyszłość, które rozdzielą ich na przeciwne obozy. Lecz wszystko to jest jeszcze niejasne, jak niejasne są myśli przynoszone z miasta do wsi. Obecnie można zaobserwować podobne posiedzenia na całej Rusi. Chciałem dać właśnie obraz takiego posiedzenia, nie zaś obraz złodziejki. Dlaczego redaktor radzi mi opisać złodziejkę?“

Wszystkie te trzy nowele po raz pierwszy wydrukował „Litieraturno-naucznyj Wiestnik“ w 1898 r.

„Rodzina Łesia“, „Katrusia“, „Jesień“, „Nieszczęście“. Te cztery nowele ukazały się najpierw w zbiorku „Niebieska książeczka“, Czerniowce, 1899.

„Zdarzenie“. Autor zaczerpnął temat do tej noweli z prawdziwego wypadku, jaki zdarzył się we wsi Trojca na Pokuciu w grudniu 1898 r.
Nowela ta była najpierw drukowana w zbiorku „Niebieska książeczka“ 1899.

„Wigilia“. Nowela ta ukazała się po raz pierwszy w gazecie „Buducznist“, Lwów, 1899.

„Kamienny krzyż“. Stefanyk zbierał starannie materiał do tej noweli, jednej z najlepszych, i długo nad nią pracował. Jeszcze jako student Uniwersytetu Krakowskiego często chodził na dworzec kolejowy, przez który przejeżdżali ukraińscy chłopi-emigranci, długo z nimi rozmawiał. Wrażenia te stały sie później tematem nowel Stefanyka.
W artykule - wspomnieniu pt. „Pod wrażeniem wystawienia »Ziemi«“ w 1935 r. Stefanyk pisał:
„Kiedym wracał po przedstawieniu do domu, powstawały przede mną postacie niektórych bohaterów moich opowiadań, szczególnie Iwan Diduch z »Kamiennego krzyża«. Diduch za nic nie chciał porzucać swojej kamienistej ziemi, lecz synowie, synowe i córki nie dawały mu spokoju“. Później Iwan Diduch pisał do Stefanyka, że „dokoła niego wszystko jest obce i że jego ferma jest mu niemiła“.
Nowelę tę wydrukował „Litieraturno-naucznyj Wiestnik“ w 1899 r. Po raz drugi drukowana była w zbiorku „Kamienny krzyż“, Lwów, 1900, do którego weszło jeszcze osiem innych nowel.

„Podpis“. Jest to prawdziwe opowiadanie o tym, jak Jewdokija Stefanyk, bratanica pisarza, uczyła podpisywać się chłopów swojej rodzinnej wsi Rusów, żeby ich uchronić od dużych opłat za zaświadczenia podpisów na wekslach.
Nowelę tę pierwotnie wydrukował „Litieraturno-naucznyj Wiestnik“ w 1899 r.

„Pole“. Po raz pierwszy ukazała się w zbiorku „Kamienny krzyż“, Lwów, 1900.

„Tak było kiedyś“. Po raz pierwszy drukowana w dzienniku „Hromadśkyj hołos“, 1900.

„Podpalacz“. Pod względem objętości największa nowela Stefanyka. Autor z początku zamierzał opracować ten temat w formie dramatu.

„Podpalacz" był po raz pierwszy zamieszczony przez „Litieraturno-naucznyj Wiestnik" w 1900 r.

„Zwiastuny", „Maj", „Pogrzeb", „Sen", „Wschodząca ozimina" — wszystkie te nowele zostały po raz pierwszy drukowane w zbiorku „Doroha", Lwów, 1901.

„Cudaczny panek". Drukowana w zbiorku „Doroha", 1901.

„Sąd". Jest to ostatnia nowela napisana w przedwojennym okresie twórczości Stefanyka. Tematu do noweli zaczerpnął autor z zajścia, które zdarzyło się w rodzinnej wsi Rusów, w jesieni 1901 r. Na weselu, które Iwan Diduch (Zub) wyprawił swemu synowi, doszło do bójki między biedakami i bogaczami. Biedacy zabili dwóch bogaczy, a jednego pokaleczyli. W Rusowie o zdarzeniu tym ułożono pieśń.

Nowela ta napisana w 1902 r., po raz pierwszy wydrukowana została w roku 1905 w zbiorku „Moje słowo".

„Dziecięce nieszczęście". Po czternastoletniej przerwie jest to pierwsza nowela, którą Stefanyk napisał w Wiedniu w 1916 r. Najpierw drukowana była w „Bukowińskim kalendarzu prawosławnym" z roku 1917 (wydawnictwo Towarzystwa „Ukraińska Besida" w Czerniowcach).

„Ziemia". Nowelę tę poświęca autor ojcu. W swoich wspomnieniach w 1935 r. Stefanyk pisze: „Była to rozmowa mojego ojca z uciekinierami z Bukowiny".

Nowela ta opublikowana była po raz pierwszy przez „Litieraturno-naucznyj Wiestnik" w 1922 r.

„Synowie". Po raz pierwszy zamieścił tę nowelę „Litieraturno-naucznyj Wiestnik" w 1922 r.

„Straty wojenne". Nowela ta po raz pierwszy drukowana była w 1926 r. w czasopiśmie „Czerwonyj szlach", Charków.

„Morituri". Nowela ta napisana w 1925 r., po raz pierwszy drukowana była w czasopiśmie „Czerwonyj szlach", Charków.

„Dziad Hryć". Prototypem głównej postaci opowiadania był chłop ze wsi Wołczkowce na Pokuciu, Hryhoryj Zapareniuk, znany działacz społeczny, przyjaciel Iwana Franko i Stefanyka. Jego świetne przemówienia poetyckie cieszyły się wielkim powodzeniem wśród galicyjskich chłopów.

Nowela ta, napisana w 1925 r. po raz pierwszy drukowana była w czasopiśmie „Czerwonyj szlach", Charków.

„Nitka". Bohaterką opowieści jest matka pisarza Oksana. Pozostałe osoby to: jego ojciec Semen, siostra Maria, brat Juryj oraz sam pisarz. Ten wiersz prozą po raz pierwszy został wydrukowany w czasopiśmie „Świt", Lwów 1926.

„Rosa". Po raz pierwszy ukazała się w kalendarzu stowarzyszenia „Proswita" na rok 1928, Lwów 1927.

„Grzech". Nowela ta po raz pierwszy ukazała się w czasopismach charkowskich w 1927 r.

„Głupie baby". Nowela napisana w grudniu 1928 r. Po raz pierwszy drukowana w czasopiśmie „Proty chwył", Lwów 1929.

„Uczeń". Nowela ta drukowana po raz pierwszy w czasopiśmie „Ridna szkoła", Lwów, 1932.

Wiersze prozą

„Samemu sobie", „W powietrzu płyną lasy". „Wczesnym rankiem włosy czesała" — pisane jak wynika z korespondencji Stefanyka w końcu 1896 lub na początku 1897 r.
Te wiersze prozą po raz pierwszy ukazały się w czasopiśmie „Radiańska Ukraina", Kijów, 1941.

„Cóżeś ty, serce moje?..." Ten wiersz prozą poświęcony jest Oldze Hamorak, przyszłej żonie Stefanyka. Utwór ten został napisany w 1897 r. Drukowany po raz pierwszy w czasopiśmie „Radiańska Ukraina", Kijów, 1941 r.

„Moje słowo". Jest to utwór autobiograficzny, o czym wspomina sam pisarz w liście do Olgi Hamorak, w lutym 1899 r.
„Jest to moja biografia napisana w tonie »Wahrheit und Dichtung« — Goethego".
„Moje słowo" po raz pierwszy zamieścił „Litieraturno-naucznyj Wiestnik" w 1901 r.

SPIS RZECZY

	Str.
Klonowe liście — *tłum. K. Marska*	9
Niebieska książeczka — *tłum. A. Rotecka*	17
Dzieci — *tłum. A. Rotecka*	20
Odprowadzała go cała wieś — *tłum. A. Rotecka*	22
Zmarnował się — *tłum. A. Rotecka*	24
List — *tłum. K. Marska*	27
W karczmie — *tłum. A. Rotecka*	30
Świętoszka — *tłum. A. Rotecka*	33
Wieczorna godzina — *tłum. A. Rotecka*	36
Posiedzenie — *tłum. A. Rotecka*	39
W drodze z miasta — *tłum. A. Rotecka*	45
Rodzina Łesia — *tłum. A. Rotecka*	50
Katrusia — *tłum. A. Rotecka*	53
Jesień — *tłum. A. Rotecka*	58
Nieszczęście — *tłum. A. Rotecka*	62
Zdarzenie — *tłum. A. Rotecka*	64
Wigilia — *tłum. A. Rotecka*	67
Kamienny krzyż — *tłum. K. Marska*	71
Podpis — *tłum. K. Marska*	81
Pole — *tłum. A. Rotecka*	84
Tak kiedyś było — *tłum. A. Rotecka*	85
Podpalacz — *tłum. K. Marska*	90
Zwiastuny — *tłum. A. Rotecka*	103
Maj — *tłum. A. Rotecka*	106
Pogrzeb — *tłum. I. Bajkowska*	110
Sen — *tłum. I. Bajkowska*	112
Wschodząca ozimina — *tłum. I. Bajkowska*	114
Cudaczny panek — *tłum. I. Bajkowska*	116
Sąd — *tłum. I. Bajkowska*	121
Dziecięcie nieszczęście — *tłum. I. Bajkowska*	128
Niańka — *tłum. I. Bajkowska*	130
Ziemia — *tłum. I. Bajkowska*	132

Synowie — *tłum. I. Bajkowska* 136
Straty wojenne — *tłum. I. Bajkowska* 141
Morituri — *tłum. A. Rotecka* 145
Dziad Hryć — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* . . 149
Nitka — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* 153
Rosa — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* 154
Grzech — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* 156
Głupie baby — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* . . 158
Uczeń — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* 161
Wiersze prozą — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa*
Samemu sobie 164
W powietrzu płyną lasy 164
Wczesnym rankiem, włosy czesała 165
Cóżeś ty, serce moje... 166
Moje słowo 166
Komentarze — *tłum. R. Czekańska-Heymanowa* . . 170

CENA
Пол/17
S-816

CZYTELNIK